ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 12/567 1994

• « La Culture » • Revue mensuelle •

Cz. MIŁOSZ: **SEN ROZUMU**

B. KERSKI:
NIEMCY — KRAJOBRAZ PO BITWIE

K. WOLICKI: **W KALEJDOSKOPIE**

A. POSPIESZALSKI: **KSIĄŻKA PAPIEŻA**

INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW ROCZNIKA „KULTURY" ZA ROK 1994

SPIS RZECZY

Czesław Miłosz:	*Sen rozumu*	3
Robert Kaczmarek:	*Rozsądek i sprzeczności „Strategii dla Polski"*	12
Gustaw Herling-Grudziński:	*Dziennik pisany nocą*	25
	WIERSZE	
Emil Biela:	*Znaki czułości*	40
Zofia Ilińska:	*Niemen*	41
Mirosława Kruszewska:	*Psia tęsknota*	41
Mirosława Kruszewska:	*Starość*	42
Józef Ratajczak:	*Pochód*	43
Leszek Szaruga:	*Słowa sprzed czasu*	44
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Basil Kerski:	*Niemcy — krajobraz po bitwie*	45
	SPRAWY I TROSKI	
Janusz Mondry:	*Czechizacja Zaolzia*	58
Maciej Siembieda:	*Krew i żółć*	62
	KRAJ	
Krzysztof Wolicki:	*W kalejdoskopie*	67
Ewa Berberyusz:	*Kartki ze skażonej strefy*	75
SMECZ:	*Z ukosa*	80
	SĄSIEDZI	
Andrzej Romer:	*Litwa — czy jest lepiej?*	93
Adam Kruczek:	*Notatki rosyjskie*	99
Bohdan Osadczuk:	*Polska i Ukraina — jak wyjść z impasu?*	104
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Antoni Pospieszalski:	*Książka papieża*	110
	KRONIKA KULTURALNA	
Adam W. Kulik:	*Żywy głos Cerkwi*	117
Danuta Künstler-Langner:	*Tak różne są przypadki ludzkiego cierpienia*	121
—	*Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim*	128
	KSIĄŻKI	
Stefania Kossowska:	*„Napiszesz o mnie książkę"*	129
M. Broński:	*Czas ponurych obrazów*	135
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	137
	NOTATKI REDAKTORA	139
	POLEMIKI	
Ryszard Surmacz:	*Problem mniejszości niemieckiej*	143
	•	
—	*Wydarzenia miesiąca* oraz *Kroniki kanadyjska i norweska*	151
	•	
G. Herling-Grudziński, K. J. Orłowska, M. Pytasz:	*Listy do Redakcji*	156
—	*Odpowiedzi Redakcji*	158
J. Hurwic:	*Sprostowanie*	159
—	*Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za r. 1994*	160
—	*Sprostowanie Redakcji*	176

Varsovie
W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień/Décembre 1994

INSTYTUT LITERACKI

REDAKCJA «KULTURY» SKŁADA SWOIM PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

A.H. Cassel-Kokczyński, Londyn — zamiast życzeń świątecznych przesyła na:		
— Polaków w Rosji £stg 100,00	F.	860,00
— na Fundusz „Kultury" £stg 100,00	F.	860,00
Zofia i Jan Łukjaniec, Irvine, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób przyjaciółki ppor. PSK II Korpusu Lucyny Fiedorowicz-Monwid, zmarłej 26 sierpnia 1994 w Londynie. „Niech się Wilno przyśni Tobie". — Dol. 50,00	F.	265,00
François Prause, Chiangmai (Tajlandia), po raz 38-my	F.	300,00
Teresa Romer, St. Eustache, PQ (Kanada), po raz 22-gi — Dol.c. 60,00	F.	240,00
W bolesną rocznicę śmierci Fryderyka Topolskiego — żona, córka, zięć i wnuki z Toronto (Maria i Wojciech Topperman)	F.	204,21
Jan Zalewski, Chester (W. Brytania)		
— na pomoc dla Polaków w Rosji £stg 10,00	F.	86,00
— na Fundusz „Kultury" £stg 10,00	F.	86,00

DZIĘKUJEMY

OŚWIADCZENIE

Jeszcze raz prosimy naszych Prenumeratorów i Czytelników z Australii o przesyłanie listów i pieniędzy bezpośrednio do nas; pieniądze czekiem bankowym we frankach, płatnym w Paryżu albo międzynarodowym przekazem pocztowym lub przekazem na nasze konto pocztowe (wymienione na wewnętrznej stronie każdej okładki *Kultury*) —przekazy wyłącznie przez pocztę są najtańsze. Nasza prośba jest spowodowana nie tylko tym, że od roku „Vistula" nie przekazuje nam zainkasowanych pieniędzy, ale i dlatego że przez cały ten czas nie zawiadamia nas o wpłatach Czytelników i nie odpowiada na ich listy.

Redakcja KULTURY

Sen rozumu

Czy śmiać się z nich? Ależ z kogo? To było dawno, prawie wszyscy z nich umarli, a ci, co jeszcze żyją, zatarli ślady. To jednak, że się zbłaźnili, nie jest tylko ich sprawą, francuskich mistrzów myśli. Przecie oni, jak zawsze pewni, że uprawiając swoją specjalność czyli kształtując słowami idee, robią to w imieniu całej ludzkości, rzeczywiście byli mistrzami myślenia inteligencji zachodnioeuropejskiej, nie tylko, bo swoich czytelników na innych kontynentach. Ich żałosna nagość teraz, ich odpowiedzialność, na którą powoływali się, a o której nic nie chcieli wiedzieć, mówią za dużo o fantasmagoriach i majaczeniach społeczeństw ludzkich w ogóle, żeby zbywać ich przygodę lekko, jako wypadek jednego tylko kraju.

Tamten Paryż był mi dobrze znany i płaciłem cenę, a nawet niewiele brakowało, a zostawiłbym tam skórę. Toteż przeczytałem gruntowną analizę ówczesnego stanu umysłów wyższych w nadsekwańskiej stolicy z zaciekawieniem i satysfakcją, także z szacunkiem dla sumienności amerykańskiego badacza. Książka ta, Tony Judt, *Past Imperfect* (podwójny sens oddałoby przetłumaczenie tego jako „Czas przeszły niedokonany"): *The French intellectuals 1944-1956*, University of California Press, 1993, rok wcześniej ukazała się w Paryżu w wersji francuskiej.

Autor na trzystu stronach próbuje odpowiedzieć na pytanie jak historia Francji — i Europy — w dwudziestym wieku przyczyniła się do pewnych nawyków myślowych, które dzisiaj wydają się trudne do pojęcia. Zaczyna się od okresu międzywojennego, i — jako że ten pamiętam — ani mi do drwiny, chyba że chciałbym drwić z samego siebie.

We Francji nastąpiło wtedy załamanie się wiary w demokrację parlamentarną i mnożyły się akty samoobrzydzenia w literaturze i sztuce. Judt wspomina o surrealizmie, ze swojej strony, przyznałbym temu kierunkowi jeszcze więcej wagi, zwłaszcza takim objawom jak tomik wierszy naczelnych surrealistów sławiący dziewczynę, która otruła swoich rodziców bo krępowali jej swobodę czyli zaprotestowała przeciwko moralności (burżuazyjnej). Ideologia rozczarowania przybierała wtedy odcień przeważnie prawicowy, ogromny wpływ na opinię miała „Action Française" Maurrasa z jej nawoływaniem do środków gwałtownych. Popularność zyskały nihilistyczne i antysemickie powieści Céline'a. W polityce kunktatorstwo rządu Bluma obciążało rachunek Republiki. W każdym razie *ton*, na prawicy czy na lewicy, był podobny, zaciekły, wzgardliwy wobec praw jednostki, bo przecie szukano rozwiązań dla całej zbiorowości, całościowych. Rozczarowanie parlamentaryzmem nawiedzało też inne kraje Europy i to niezależnie nawet od tego, co przygotowywało się w Niemczech. Rok 1931 w Wilnie na przykład: tokował Henryk Dembiński, nie przysiągłbym, że jego antykapitalistyczne diatryby nie były zbliżone w tonie do wrzasków powstającej wtedy narodowej młodzieży. A czy nas (mnie też, tak jest) nie pociągał w *Czarodziejskiej Górze* Tomasza Manna fanatyk Naphta, przeciwnik łagodnego humanisty Settembriniego?

Judt przypomina, że współpracownicy najbardziej wpływowych pism powojennych: *Les Temps Modernes*, *Esprit* i *Témoignage Chrétien* mieli zarówno prawicowe jak lewicowe rodowody. Pochwała gwałtu, retoryka zbawczego terroru pozwoliłaby nawet postawić obok siebie takie postacie jak — z jednej strony — chwalcy Trzeciej Rzeszy Drieu La Rochelle, który popełnił w 1944 samobójstwo i Brasillach, rozstrzelany, a z drugiej — Jean-Paul Sartre i Maurice Merleau-Ponty. Ale wszystko to musiało wygotować się w tyglu klęski wojennej, rządu Vichy, *Résistance* i jej legendy, dość daleko odbiegającej od prawdy, skoro nieznaczny tylko procent mieszkańców kraju uczestniczył w Ruchu Oporu. Rząd Pétaina znajdował odzew i poparcie u znacznej części inteligencji, przede wszystkim katolickiej. Wyjątkiem był François Mauriac (Bernanos wyemigrował do Ameryki w 1938), ale redaktor *Esprit*, Emmanuel Mounier, przez pewien czas należał do grupy w orbicie Vichy (tzw. grupa Uriage). W 1944 nastąpiło zaciekłe polowanie na kolaborantów i pośpieszne poprawianie sobie biografii, tak że owa czystka przedstawiała się jako widowisko niezbyt budujące. Im ktoś

miał mniejszy udział w oporze albo żaden, tym gorliwiej nawoływał do surowej kary. Poza tym niezbyt łatwo było znaleźć podstawę prawną w wytaczanych procesach. Robert Brasillach został właściwie skazany i stracony za przestępstwo głoszenia drukiem swoich skrajnie prawicowych poglądów, co robił zarówno przed wojną jak w czasie wojny. W Polsce — gdzie warunki za okupacji były zupełnie inne niż we Francji — jeden nieszczęsny Emil Skiwski nadawałby się na kozła ofiarnego, ale chyba nawet najzacieklejsi nie żądaliby dla niego kary śmierci. Ściganie kolaborantów we Francji, które na ogół rozeszło się po kościach, nasuwa różne porównania z „lustracją" w Polsce lat ostatnich i wskazuje, że tego rodzaju przedsięwzięcia tylko rzadko mogą się udać.

Autor znajduje podobieństwa powojennej sytuacji we Francji, Italii i Czechach: dużo dwuznaczności, zamazania konturów, proteuszowej przemiany ludzi, którzy urządzali się nieźle w ustroju faszystowskim albo pod niemiecką okupacją i następnie nadrabiali skrajnością przeskakując na przeciwny brzeg. Wojna co prawda wzmocniła nawyki językowe datujące się sprzed 1939 roku, tak że młodzi pisarze nie umieli myśleć inaczej niż posługując się słownictwem walki, ataku, ruchu, kontaktu z masami i tak dalej, stąd ich podświadome ciążenie do takiego samego języka używanego przez stalinizm.

Wskutek wojny inteligencja francuska odkryła Historię jako przymus zaangażowania — czy ktoś chce czy nie chce. Dość zdumiewające, że Hegel pojawia się w kręgu jej zainteresowań późno, bo dopiero w latach trzydziestych, kiedy heglista Alexandre Kojève (Kożewnikow) wtajemniczał słuchaczy jego publicznych wykładów w dialektykę pana i niewolnika. W tamtych latach młody Sartre, na stypendium w Berlinie, zupełnie się historią współczesności czyli hitleryzmem nie interesował, odkrył natomiast Heideggera, czego owocem stało się jego główne dzieło, *L'Etre et le Néant* czyli „Byt i nicość".

Obowiązki wobec społeczeństwa, konieczność Rewolucji i służby sprawie. Judt wyraża przypuszczenie, że inteligencja francuska lat powojennych w niejednym przypomina inteligencję rosyjską dziewiętnastego wieku. I rzeczywiście, sam muszę tu dodać, że czytając „zaangażowane" teksty Sartre'a miałem dziwne uczucie, że skądś to już znam. Sartre oczywiście nie wiedział, że przed nim prawie to samo o związkach literatury ze społeczeństwem pisali Rosjanie, poczynając od Bielinskiego, a w Polsce Stanisław Brzozowski. Prawie na

pewno też nie wiedział, że „analizy egzystencjalne" przeprowadzał na długo przed nim Michaił Bachtin w swoim dziele o poetyce Dostojewskiego.

Historia, majestatyczna, skoro runął hitleryzm mający trwać tysiąc lat i Europa została wyzwolona, przede wszystkim dzięki bohaterstwu i wielomilionowym stratom Czerwonej Armii. Jej zwycięstwa miały dostarczać decydującego argumentu na rzecz wyższości ustroju socjalistycznego, do którego, mocą konieczności dziejowej, należała przyszłość. Zapewne, Francja została wyzwolona przez Amerykanów, tutaj jednak liczne emocjonalne zahamowania nie pozwalały się z tego cieszyć. Za dużo wstydu, za dużo goryczy, za dużo narodowego poniżenia. Mała partia komunistyczna francuska, wtrącona w okropną pułapkę przez pakt Ribbentrop-Mołotow z 1939 roku i używana do akcji przeciwko wojnie (*Mourir pour Danzig*), po ataku niemieckim na Rosję zasłynęła w *Résistance* dzięki dyscyplinie jej członków i zyskała tytuł „partii rozstrzelanych". To też przyczyniło się do wzrostu antyamerykanizmu, tak że język w jakim niedawno komuniści mówili o hitlerowcach przydał się w artykułach o imperializmie amerykańskim, okupacji amerykańskiej i tak dalej. Pisarz czy uczony przychylnie odnoszący się do Amerykanów otrzymywał piętno „kolaboranta". Prawdziwe wyzwolenie było na wschodzie, szczęśliwe kraje tamtej gorszej Europy zostały teraz ogarnięte zbawienną przemianą.

Stronice intelektualnych czasopism zapełniły się artykułami o nieprawościach kapitalizmu, jego dekadencji i koniecznej Rewolucji. Z książki Judta wynika, że w odrazie do kapitalizmu i do ustroju demokratycznego, który dostarcza mu „maski", pierwszeństwo niekoniecznie należy się Sartre'owi i Simone de Beauvoir, choć był to czas niepodważalnego autorytetu Sartre'a w Paryżu. Dzielnie sekundowali mu katolicy z *Esprit* i *Témoignage Chrétien*, posuwając się w przeciwstawianiu dwóch ustrojów, złego na zachodzie, dobrego na wschodzie, bardzo daleko, a cytaty, które dzisiaj ocenilibyśmy jako wyjątkowo niemądre wychodziły spod pióra Emmanuela Mounier. Trwająca tu i ówdzie w Polsce legenda jego „personalizmu" zdaje się więc opierać po prostu na braku informacji. Mounier usprawiedliwiał pokazowe procesy w imperium Stalina: rzekomo była to wola społeczeństwa, które musiało się bronić i utożsamiało się ze swoimi organami ścigania.

Założenie, że rewolucja w zachodniej Europie i na innych kontynentach jest potrzebna i nieunikniona prowadziło do filozoficznych debat o terrorze, który ukazywał się jako coś wyższego i świętego, tak jakby pisał o tym sam Feliks Dzierżyński. Maurice Merleau-Ponty, filozof i profesor, w swojej książce *Humanisme et Terreur*, 1947, uzasadniał terror przy pomocy dialektyki, jako wyższy stopień humanizmu, co, można podejrzewać, było głównie krasomówstwem. Jednakże jego czytelnicy i słuchacze, rodem z Kambodży, brali jego wywody najzupełniej dosłownie, jak się okazało kiedy w swoim kraju zdobyli władzę.

Jakkolwiek debaty o wyższych celach Historii odbywały się w uniwersyteckich murach, trudno było nie ustosunkować się do wiadomości przeciekających zza żelaznej kurtyny.

Autobiograficzna książka Wiktora Krawczenki „Wybrałem wolność" podawała fakty o istnieniu gułagów. Kiedy komunistyczny tygodnik *Les Lettres Françaises*, napisał, że książka jest „fałszywką", sfabrykowaną przez Amerykanów, Krawczenko wytoczył mu proces, który wygrał, ale szanowane nazwiska świadków obrony, twierdzących, że obozy pracy przymusowej są w Związku Sowieckim niemożliwe, więcej znaczyły w opiniotwórczym Paryżu i wyszedł z procesu moralnie oczerniony. Trudniej było uporać się z Dawidem Rousset, Francuzem i byłym więźniem niemieckich obozów koncentracyjnych. Ogłosił on artykuł domagając się zbadania przez organizacje międzynarodowe systemu sowieckich łagrów, na co odpowiedział mu w *Les Lettres Françaises* Pierre Daix i zarzucił mu kłamstwo. W procesie o zniesławienie w 1950 roku Rousset przedstawił wiarygodnych świadków i proces wygrał, ale i ten proces nikogo w intelektualnym Paryżu nie przekonał. Również dokładne na ogół reportaże z terroru w demokracjach ludowych — proces Petkowa w Bułgarii, następnie Rajka na Węgrzech, Slanskiego i towarzyszy w Pradze, nie podważyły wiary w prawa dziejowe, które są po stronie zasadniczo sprawiedliwego, bo postępowego, wschodniego bloku.

Jeżeli ktoś miał wątpliwości, posługiwano się argumentem nie dopuszczającym sprzeciwu: „Jeżeli odrzucić marksizm, historia nie ma sensu". Nikomu nie przychodziło jakoś do głowy odpowiedzieć jak to zrobił Karl Popper, że przyszłość społeczeństw jest niemożliwa do przewidzenia i że doktryna powołująca się na swoją znajomość przyszłości musi być fałszywa.

Judt sporo stron poświęca psychologii Sartre'a, który był wyrocznią dla takich jak on bezpartyjnych zwolenników komunizmu w krajach Zachodu. Zauważa u niego dziwne

poczucie własnej małej wartości, potrzebę korzenia się przed siłą ucieleśnioną w „masach". Podejrzewa nawet, że jego raczej bierny okres wojenny znajdował kompensatę w „zaangażowaniu" i aktywizmie za wszelką cenę.

Kluczem do zachowania się umysłowej elity był jednak obyczaj towarzyski. Kto wyłamywał się z niego, tracił wpływ, przestawano go słuchać. Obowiązywał co najmniej anty-antykomunizm. Występowanie przeciwko światłu ze wschodu utożsamiano z torowaniem drogi faszyzmowi. Mounier pisał: „Antykomunizm jest niezbędną i wystarczającą siłą krystalizacji na rzecz powrotu faszyzmu". Stąd izolacja jednostek ośmielających się wypowiedzieć własne zdanie, jak Raymond Aron, którego wprawdzie nie umiano pozbawić głosu, jednakże jego pisma (*L'opium des intellectuels*, 1955) przeważnie tylko reagowały na to, co było głównym nurtem. Przygody Alberta Camus, niegdyś redaktora podziemnego pisma *Combat*, następnie bliskiego przyjaciela Sartre'a, wskazują jak łatwo było zostać poddanym ostracyzmowi — w jego wypadku nastąpiło to po ogłoszeniu *L'homme révolté* („Człowiek zbuntowany") w 1951 roku, bo wspomniał tam o łagrach. Toteż prawdę o imperium Stalina pisali głównie cudzoziemcy, im jednak ich analizy były przenikliwsze — jak w „Zniewolonym umyśle" Miłosza (Judt *dixit*) — tym bardziej ich autorzy stawali się podejrzani.

Wiele sądów obiegowych w Paryżu wynikało po prostu z niewiedzy o innych krajach, a także z braku zainteresowania ich przeszłością i teraźniejszością. Ponieważ idee wypracowywane we Francji miały mieć wartość uniwersalną, stosowano je też do obszarów, których rzeczywiste życie było zupełnie nieznane. Podróże na wschód, np. Sartre'a, nabierały więc znaczenia podróży misyjnych, dla przekonywania tubylców jak są szczęśliwi, choć ci swoje przecież wiedzieli.

Rok 1956 — kiedy ukazał się raport Chruszczowa i wybuchło powstanie na Węgrzech — zamyka pewien okres, przynajmniej dla niektórych. Jorge Semprun (pisarz hiszpański mieszkający w Paryżu) tak o tym powiada: „Nie do zniesienia było życie w mroźnym świetle tej schizofrenicznej wiary, w obłędnym i kastrującym rozszczepieniu moralnego i intelektualnego sumienia. Sekretny raport oswobodził nas, a przynajmniej dał nam szansę wyzwolić się z tego wariactwa, z tego uśpienia rozumu".

Być może najwięcej wyjaśnia towarzyski obyczaj oraz zmieniające się mody. Wojna w Algierii dostarczyła okazji do nowego zaangażowania i moda na antykolonializm wyparła

modę na wschodni socjalizm, choć Sartre jeszcze w 1965 roku jeździł w podróż misyjną (do Wilna!). Poważny rozbiór przyczyn długotrwałej aberracji nie został jednak — zdaniem Judta — w Paryżu przeprowadzony, rozwiała się, przesunęła się gdzie indziej uwaga. Zaiste, czas przeszły pozostał niedokonany.

Wydziwianie dzisiaj jest zbyt łatwe i nie na wiele się przydaje, skoro fascynacja potęgą Historii ucieleśnioną w pochodzie sowieckiego piechura od Wołgi po Elbę nie ograniczała się do Francji. Kompleks własnej słabości i we Francji i w innych krajach tej fascynacji pomagał i rozumowania paryskich publicystów nie były obce wielu ich kolegom piszącym w innych językach. Wyjątkowy rozgłos paryskich wypowiedzi tłumaczy się — zdaniem Judta — nieobecnością — jeszcze — Italii i Niemiec w ogólnoeuropejskim koncercie. Przebieg prokomunistycznej choroby był zresztą w Italii podobny, chociaż ze znacznymi modyfikacjami, głównie dzięki mniejszej niż we Francji dozie egocentryzmu narodowego i większemu otwarciu na inne kultury.

Zdając relację z tych spostrzeżeń amerykańskiego historyka wkroczyłem na teren, na który nie lubię się zapuszczać, raz to zrobiłem w „Zniewolonym umyśle" i dosyć. W każdym razie myślę, że to, co przydarzyło się paryskim luminarzom nie przemawia na niekorzyść polskich, czeskich, węgierskich uczonych, pisarzy i artystów, bo jeżeli tamci, mając tak znaczną wolność wyboru wybierali źle, ci mogliby przynajmniej powołać się na ograniczone pole intelektualnego manewru.

Niemały to paradoks, że we Francji, kraju Praw Człowieka i Obywatela słabe były — w przeciwieństwie do krajów anglosaskich — tradycje liberalizmu, czyli obrony praw obywatelskich, silne natomiast jakobińskiej gwałtowności. Jakie dziedzictwo pomagało w Polsce umysłowemu zniewoleniu? Chyba nie Złota Wolność szlachecka? Ale, że mogła to być szkoła romantycznego zaangażowania, zawsze w służbie, zawsze ze wzrokiem śledzącym wyroki bogini Historii, trudno wykluczyć.

Zostawmy przeszłość, co jest najciekawsze, to jakie wnioski można z przeszłych aberracji wyciągnąć dla przyszłości. Całe omawiane tutaj zjawisko świadczyło o asymetrii i obawiać się można, że następująca cytata nie straciła wiele z aktualności: „Wschodnioeuropejscy intelektualiści wiedzieli wszystko o Francji, wiedzieli wszystko o Niemczech, Anglii czy Włoszech. Kultura zachodnioeuropejska była kulturą

europejską, zachodnioeuropejska historia polityczna była kośćcem przeszłości kontynentu, podczas gdy kulturalne i polityczne pomniki drugiej połowy Europy znajdowały się poza polem widzenia. Wschodnioeuropejscy intelektualiści traktowali Woltera, Diderota, Balzaka, Hugo, Anatola France (nie mówiąc już o Robespierze, Blanqui i Clemenceau) jako część własnego kulturalnego dziedzictwa. Wzajemności nigdy nie było. Wtórny, marginalny status kultur i ludów wschodniej Europy był przykrą ale uznawaną prawdą. Jak długo poeci, muzycy, powieściopisarze i filozofowie z Wilna, Lwowa, Pragi, Budapesztu i Bukaresztu mogli przenikać w świat Francuzów, wybaczali paryskim intelektualistom brak odpowiednich gestów w odpowiedzi. Co jednak charakteryzuje sytuację po roku 1945, to właśnie to — że Francuzi zamknęli swoje intelektualne granice. Wspólnota światowych intelektualistów została na nowo zdefiniowana z wyłączeniem tych, którzy stali się ofiarami stalinizmu, z własną zgodą czy bez. Wschodnioeuropejscy pisarze też to zrozumieli — jak wskazałem wyżej — sami z początku byli skłonni rozróżniać w ten sposób. Co natomiast zdawało się nie do wybaczenia i nie do pojęcia, to niezdolność Francuzów zobaczenia tego, co oni — Polacy, Czesi i inni — teraz już widzieli. Bo inteligencja wschodniej części Europy była teraz podwójnie wyłączona: pozbawiana swojej narodowej kultury przez komunistów i mająca dostęp do uniwersalnej kultury Europy zamknięty przez jej pełnoprawnych strażników".

Pozostaje zapytać na ile opisana asymetria należy do fazy minionej. Pokolenie Sartre'a i Camusa znalazło następców w pokoleniu Lévi-Straussa, Barthesa, Lacana, Foucaulta, ale przecież myśl nadal budowała swoje zamki w sztucznej przestrzeni z której doświadczenie historyczne milionów ludzkich istnień tam na wschodzie było wyłączone. Jeżeli przyjąć, że światopogląd tamtego, starszego, pokolenia kształtowały czynniki trudno uchwytne, jak szczególny przebieg wojny we Francji, gwałtowność słownictwa, echa jakobińskiej retoryki Cnoty, konformistyczna towarzyskość dobrze myślących, moda, możliwa a nawet prawdopodobna będzie zależność poglądów następnego pokolenia od czynników równie kapryśnych, od tonu bardziej niż od jasności rozumu. Kto wie, czy od międzywojennego samoobrzydzenia i pogardy dla demokracji burżuazyjnej nie przebiega prosta linia aż do nowych -izmów, do bezustannych podejrzeń, demaskacji, dekonstrukcji, przy założeniu, że każda ludzka wypowiedź ukrywa coś, do czego nie chce się przyznać. Co prawda w

zupełnie zmienionej Europie ostatnich dekad szybko następujące po sobie paryskie mody znalazły nowe tereny, emigrując za ocean, na uniwersytety wzgardzonej do niedawna Ameryki, świecąc tam opóźnionym światłem nieistniejących gwiazd. Tylko w Ameryce można spotkać marksistów spod znaku Althussera, wyznawców Lacana i Derridy. Judt zresztą widzi pewną niestosowność w tej wędrówce za granicę wybitnych nazwisk, które otoczkę blasku w domu straciły.

Inna Europa: przede wszystkim wskutek okrzepnięcia Niemiec i Włoch. Zapewne to też wpłynęło na inną perspektywę we Francji poczynając od lat siedemdziesiątych. Choć nowe odsłania się wszędzie tak samo: jako triumfalny pochód języka angielskiego, amerykańskich filmów i telewizji, czyli dokładnie jako ta cywilizacja, która taką grozą napełniała literatów piszących w *Les Temps Modernes* i *Esprit*. Tyle, że nie ma już podziału planety na dwie części, jedną, na której pleni się nielogicznie okrutne i chaotyczne życie, i drugą, na której spełniał się, choćby kosztem życia, filozoficzny zamysł.

Czesław MIŁOSZ

Rozsądek i sprzeczności „Strategii dla Polski"

Szereg założeń „Strategii dla Polski" wskazuje na uzupełnienie liberalnych aksjomatów „niewidzialnej ręki rynku" rozsądnym interwencjonizmem rządu. Zapowiedź opracowania pełnego pakietu zarządzeń wykonawczych określających z jednej strony strefy nie podlegające prywatyzacji, a z drugiej precyzujących zasady procesów likwidacyjnych i upadłościowych stanowi wyraz politycznej woli rozsądnego zarządzania gospodarką pozbawioną dopływu wielkiego kapitału.

Latem 1994 roku masowa prywatyzacja stała się przedmiotem napiętych sporów i racjonalizm „Strategii" był silnie krytykowany. Jakie są więc realia zmian własnościowych na wielką skalę?

Prywatyzacja

Pięć lat po zmianie ustroju niewiele wskazuje na to, by prywatyzacja kapitałowa na wielką skalę wchodziła u nas w grę. Skuteczność zaś prywatyzacji opartej o powszechny system bonów w przegrupowaniu kapitałów jest bardzo ograniczona. Po pierwsze masowa wycena przedsiębiorstw dostarcza nierealnych danych, w szczególności do cyfrowych aktywów przedsiębiorstwa wliczane bywają ich pasywa, co prowadzi do zamaskowania rzeczywistych stosunków wartościowych na rynku. Po drugie powszechna prywatyzacja rozwija raczej refleks spekulacji, niż gospodarowania, dla jednostkowych posiadaczy bowiem liczy się zysk z natychmiastowej sprzedaży, którego wartość cyfrowa wynikać będzie z przypadku i

spekulacji. Ponadto niski stan dyspozycyjnych finansów na rynku wewnętrznym ograniczy ciężar tzw. *noyaux durs*, to jest głównych akcjonariuszy. W rezultacie oczekiwać można częstych przypadków pozornej prywatyzacji, gdy kontrolny pakiet znajdzie się w rękach państwa. Wreszcie powszechny run na prywatyzację wszystkiego, co jeszcze stoi, utrudnić może ochronę ważnych interesów społecznych.

Jak dotąd wpływ prywatyzacji dużych firm państwowych na zmianę tkanki gospodarczej jest niewielki w całej Europie Wschodniej. Przeniesienie prawa własności czy to na małych akcjonariuszy, czy większy kapitał pociąga za sobą niewielką zmianę strategii przemysłowej. Przy tym rola kapitału zagranicznego bywa dwuznaczna i rozsądne jest zwiększenie ruchliwości własnych kapitałów przez preferencyjne kredyty i politykę niskiej stopy procentowej.

Unowocześnianie firm państwowych i infrastruktury wymagać będzie wielkich środków, także walutowych, i nie jest jasne, jak rząd będzie dążyć do tego celu zakładając jednocześnie „bezwzględne wywiązywanie się ze spłat i obsługi długu zagranicznego". Lewicowa koalicja świadoma jest trudności w gromadzeniu waluty na ten cel, bowiem w dziedzinie handlu zagranicznego i rachunku obrotów bieżących tekst „Strategii" sugeruje jedynie ustabilizowanie deficytu na poziomie półtora procenta produktu wewnętrznego do roku 1997. Problem dostarczania przez Polskę kapitału na rynek światowy urósł w świadomości społecznej do rangi warunku integracji z tym rynkiem, konieczne jest zatem bliższe przyjrzenie się realiom oddłużania.

Co z tymi długami

W połowie kwietnia Polska Agencja Prasowa podała, że Klub Paryski, zrzeszający 17 państw wierzycieli Polski, zredukował 33-miliardowy dług publiczny o 8 miliardów dolarów. Minister Krowacki powiedział wówczas, że Polska zacznie spłacanie nowego zadłużenia już w bieżącym roku i spłaci długi w ciągu czternastu lat.

Z końcem sierpnia krajowa PAP doniosła o zgodzie prywatnych banków zrzeszonych w Klubie Londyńskim na wykup przez nasz kraj jednej czwartej 13-miliardowych długów prywatnych, według obniżonej taryfy 41 centów za dolara długu podstawowego. Na wykup potrzeba około dwóch miliardów dolarów. Według informacji wicepremiera

Kołodki w przyszłorocznym budżecie państwa przewiduje się na ten cel 17 bilionów złotych (około 770 milionów dolarów), co oznacza, że pozostałą część pokryć mają nowe pożyczki. Reszta długów prywatnych ulegnie 45-procentowej redukcji i konwersji na obligacje trzydziestoletnie.

Realna wartość powyższych informacji jest taka, że na obsługę zadłużenia będziemy wydawać dużo pieniędzy zarówno z budżetu, jak i z nowych kredytów. Wynikają stąd dwa pytania: jak budżet wygospodaruje potrzebne środki oraz czy ogólny dług będzie się zmniejszał.

Rozważmy najpierw walutowe realia budżetu. Według danych NBP bilans handlu zagranicznego za pierwsze półrocze 1994 był ujemny. GUS wykazuje deficyt polskiego handlu zagranicznego od roku 1991, a BNP — od 1993, kiedy przekroczył on dwa miliardy dolarów. W tym okresie Wspólnota Europejska wprowadziła kwoty importowe na stal, tekstylia, produkty rolne i niektóre przetwory.

Żaden zachodni rząd nie odstąpi od priorytetu walki z bezrobociem. Oznacza to w szczególności nie tylko utrudnienia dla taniego importu we wrażliwych sektorach gospodarki zachodniej, ale także bardzo prawdopodobne wyhamowanie delokalizacji produkcji na tereny Europy Środkowej w tych wypadkach, gdzie dotychczas stosowano finansowe zachęty dla rozwijania za granicą firm produkujących na zwrotny eksport ku własnemu obszarowi.

Kolejną barierą eksportową dla krajów Europy Środkowej jest dynamika bezkonkurencyjnie taniej podaży z Azji i Ameryki Południowej, którym udało się zablokować klauzulę społeczną w końcowej fazie rokowań Gatt. O determinacji tamtejszej ludności świadczyć może demonstracja zorganizowana w Bombaju przez... partię komunistyczną, w której sto tysięcy Hindusów protestowało przeciwko francusko-amerykańskiej propozycji zakazu pracy na poły niewolniczej, o dziennym wynagrodzeniu rzędu 20 tysięcy złotych, nierzadko wykonywanej przez dzieci. Klauzulę wycofano z ogólnego porozumienia o handlu, co chroni dostawy na rynek zachodni towarów o cenach niemożliwych do osiągnięcia w środkowoeuropejskich stosunkach pracy.

Wszystko to zapowiada rosnące trudności eksportu z naszego obszaru i utrwalenie zasady ujemnego bilansu handlu zagranicznego na najbliższe lata, i pojawia się pytanie, z czego rząd obiecuje sobie spłacać długi. W gruncie rzeczy chodzi tu o rozleglejszą kwestię optymizmu handlowego „Strategii": zakłada ona wzrost eksportu o jedną trzecią do

roku 1997, a importu — tylko o 18 %.

Pytanie o środki na spłatę długów staje się szczególnie intrygujące, gdy zważyć, że w ostatnich latach polskie wydatki na obsługę długu były wyjątkowo niskie: latem 1994 roku francuski bank Société Générale podał, że wynosiły one zaledwie 5,4 % wartości naszego eksportu. Według tego samego źródła Węgry wydawały 33 %, Czechy — 12 %, Brazylia i Meksyk po 30 %, a Argentyna — blisko 50 % wartości swojego eksportu.

Pewne światło na intencje władz polskich rzucić może poziom zapasów walutowych, które według *The Economist* z 27 sierpnia wzrosły w ciągu dwunastu ostatnich miesięcy z 3,3 miliarda $ na 5 miliardów. Może to być wynikiem wzmocnienia rygoru w handlu zagranicznym, który w sektorze państwowym — w odróżnieniu od prywatnego — od lat utrzymuje się na plusie. Jeśli rząd istotnie szykuje się do intensywnych spłat zadłużenia z rezerw walutowych, to znaczyłoby że zdecydował się on zasilić światowe obwody finansowe, raczej niż opłacić technologiczną restrukturyzację państwowego przemysłu.

Przypomina się w tym miejscu polityka generała Jaruzelskiego, który poprzez gorliwość w dostarczaniu waluty na światowy rynek szukał uznania na scenie międzynarodowej. Między rokiem 1981 a 1987 Polska bardzo intensywnie spłacała swe długi. W roku 1981 spłaty i obsługa wyniosły 170 % naszego eksportu, w następnym nawet 180 %, by stopniowo spaść do 71 % w roku 1987. Mimo to w wyniku narastania procentów zadłużenie kraju wzrosło z 25 do 37 miliardów, chociaż przez wspomniane osiem lat pożyczono tylko 290 milionów dolarów[1]. Oznacza to, że nawet generał, mimo zdławienia spożycia wewnętrznego w sprzyjających temu warunkach wojskowej dyktatury, w ciągu ośmiu lat osiągnął jedynie wzrost zadłużenia o połowę — i to przy intensywnych spłatach starych długów i niezaciąganiu nowych.

Pozostaje rozważyć polityczne zaplecze zabiegów oddłużeniowych. Polskie Ministerstwo Finansów twierdzi, że rygor płatniczy poprawi klimat inwestycyjny i ułatwi dostęp do następnych pożyczek. Tymczasem korelacja stanu zadłużenia i zaufania zagranicznych inwestorów nie jest oczywista: stosunkowo najsilniej w byłym obozie zadłużone są Węgry, co nie przeszkadza im wchłaniać połowy wszystkich inwestycji w Europie Wschodniej.

---

1 *Le Monde* z 29.8.1989 i *Problèmes économiques* 30.11.88.

Spłata długów wydaje się więc i nierealna, i kosztowna i bezcelowa — choć bylibyśmy szczęśliwi, gdyby Ministerstwo Finansów wykazało, że jest inaczej. W tej sytuacji należy odmówić płacenia bez gwarancji handlowych i zabiegać o pakty gospodarczo-finansowe, które rozłożą odpowiedzialność i na dłużników, i na wierzycieli. W spłatę długów nikt już na Zachodzie nie wierzy — i niewiele ryzykuje ten, kto nie godząc się na rolę dostarczyciela kapitału netto na rynek światowy przedstawi zarazem konkretną alternatywę takiego paktu. Jego celem byłoby dostosowanie aparatu gospodarczego po obu stronach do celów absorpcji długów i walki z bezrobociem. Warunkiem wypłacalności ubogich jest otwarcie dla nich rynków zachodnich. Decyzja o tym należy do sfery polityki, w której Zachód uznałby za konieczne zakwestionowanie własnego protekcjonizmu i trudno oczekiwać, by doszło do tego w następstwie posłusznego przekazywania skromnych zasobów walutowych przez wschodnioeuropejskich dłużników. Chyba, że „Strategia" posługuje się jedynie czczą retoryką, w praktyce nie prowadząc do większych przelewów, co praktykowały już wszystkie poprzednie rządy RP od 1990 roku.

Sens planu finansowego „Strategii" jest tym bardziej niejasny, że obiecuje ona nie tylko dynamicznie spłacać długi, ale i zmniejszyć deficyt budżetowy oraz podzielić inflację przez dwa pomiędzy rokiem 1993 a 1994. Być może mamy tu do czynienia z ustępstwem ministra Kołodki wobec psychologicznego nacisku formalnych kryteriów integracyjnych z rynkiem międzynarodowym. Obok spłaty długów chodzi tu także o sprawy budżetowe.

Budżet

Założenia w tej sferze są bardzo precyzyjne. Zakłada się, że dług publiczny obniży się w roku 2004 do 60 % produktu wewnętrznego, a deficyt nie będzie przekraczał 3 %. Cyfry te dokładnie odpowiadają kryteriom Unii Europejskiej dla krajów mających zostać objętymi wspólną monetą ECU. W roku 1994 tylko Luksemburg spełniał powyższe wymogi, a zadłużenie innych krajów kwestionuje racjonalizm przyjętych w Maastricht zasad: aktualnie[2] deficyt Grecji wynosi 160 % produktu wewnętrznego, Belgii 150 %, Włochów 120 %,

2. *Les Echos*, 10.10.94.

Szwecji 100 %, Hiszpanii 56 %, Niemców 49 %, Wielkiej Brytanii 48 %, a Francji 44 %. Jeszcze bardziej wymowna jest przewidywana dynamika tych cyfr: tak np. we Francji[3] deficyt podniósł się z 2,1 % w roku 1991 do 5,7 % w 1993 i w 1996 roku jej zadłużenie wynieść ma 54 %, z perspektywą przekroczenia mitycznej granicy 60 % w dwa lata później. Wielka Brytania w roku 1993 pogłębiła swe zadłużenie o 7,7 % PWB, Włochy — o 9,5 %, Hiszpania — o 7,3 %.

Gdy chodzi o nasz kraj, to latem 1994 dług wewnętrzny miał wynosić około 90 % produktu wewnętrznego, przy deficycie budżetu obliczanym na około 3,5 %. Relatywnie rzecz biorąc państwo polskie nie było więc wyjątkowym bankrutem na kontynencie, choć niski deficyt wynikał raczej z braku gotówki niż świadomych decyzji. W tych warunkach trudno nie oprzeć się wrażeniu, że podstawę wyliczeń budżetowych na najbliższą dziesięciolatkę stanowi raczej gra dyplomatyczna, niż rzeczowa ocena potrzeb i możliwości polskiej gospodarki, co odbiera projektowi rzeczowy charakter, deficyt bowiem nie służy potrzebom restrukturacji i rozwoju rynku, lecz staje się testem lojalności w stosunku do ustaleń z Maastricht. W tej sytuacji rozważmy, o co idzie ta gra w integracyjnym pokerze kontynentalnych polityków.

Integracja Polski a interes Europy Zachodniej

Wbrew urzędowemu optymizmowi w tej dziedzinie wyróżnić można niebagatelne przesłanki przemawiające za powściągliwością Unii Europejskiej w sprawie przyjęcia wschodniej części kontynentu. Zdaniem wiedeńskiego instytutu badań gospodarczych z lipca 1994 roku[4], Polska, Węgry, Czechy, Słowacja i Słowenia nie osiągnęły poziomu produkcji sprzed 1989 roku i produkt wewnętrzny tych krajów na głowę mieszkańca nie powinien z końcem wieku przekroczyć połowy średniej wartości PWB w Unii Europejskiej. W pozostałych krajach sytuacja jest o wiele gorsza.

Obóz wschodni pełnić może rolę zaplecza surowcowego. Wszelako jego silny rozwój gospodarczy nakręciłby inflację w krajach Zachodu poprzez podwyżkę cen surowców. Z drugiej strony ceny surowców rosną gdy Rosja pogrąża się w chaosie co ogranicza jej możliwości wydobywcze i transportowe. Taki

3. *La Tribune* 21.9.94.
4. *La Tribune*, 8 lipca 1994.

proces zaistniał wiosną 1994 roku, kiedy spadły dostawy szeregu rosyjskich surowców, m.in. ołowiu, miedzi, niklu i cynku. Podniosło to ich ceny na giełdach towarowych i — wywołując inflacyjne obawy — przyczyniło się do wzrostu czynszu zachodnich monet, wbrew imperatywom rozwijającej się koniunktury. Gdy zaś restrukturacja jakiejś gałęzi przemysłu wydobywczego zdaje się zapowiadać wzrost produkcji, wówczas wielkie kompanie zachodnie zwiększają operacje udziałowe, w celu kontrolowania podaży. Przykładu dostarczają tu manewry firm Alcoa, Pechiney i Norsk wokół rosyjskich zagłębi aluminium[5], albo południowoafrykańskiej firmy diamentów de Beers, która opanowała rosyjski przemysł wydobywczy i odmawia zwiększenia tamtejszych dostaw.

Podobnie więc jak w sferze wojskowej, Zachód ma tu interes w osiągnięciu średniego rozwoju byłej strefy sowieckiej: ani dobrobytu, ani katastrofy. Masowa pomoc Zachodu, rodzaj drugiego Planu Marshalla, wygląda więc w dzisiejszych warunkach na mrzonkę, co silnie obciąża hipotekę wszelkich planów rozwojowych na Wschodzie.

Unia Europejska jest zainteresowana tym, by nie wybuchały u nas wojny, mogące spowodować masowe ruchy uchodźców. Pogłębiłyby one konflikty społeczne Zachodu i jego bezrobocie. Stanowi to jeden z głównych argumentów za szczególnym traktowaniem państw środkowoeuropejskiego bufora, czego wynikiem są powoli rozwijane plany dyplomatyczne.

We wrześniu 1994 roku ministrowie spraw zagranicznych Unii przyjęli wstępne założenia strategii w odniesieniu do tych państw. Obejmuje ona potrójne *dossier*: wspólny rynek, rolnictwo i bezpieczeństwo. Według propozycji Komisji Europejskiej, w pierwszym semestrze 1995 roku przyjęto by do rozważań „białą księgę" zawierającą sto pięćdziesiąt tekstów prawnych dotyczących pierwszego etapu, to jest wspólnego rynku. Pod wpływem Niemców priorytet przypada tu Polsce: ocenia się, że uzgodnienia prawne z naszym krajem tylko w sprawie wspólnego rynku gospodarczego potrwać mogą do końca stulecia. Później przyjdzie kolej na rolnictwo i bezpieczeństwo — a dopiero w następnej kolejności wspólna polityka i, wąskie gardło zjednoczenia, wspólna moneta. Przyjęcie okresu dwudziestu lat na całość procesu nie wydaje się oceną zaniżoną, ponieważ motorem zmian ma być zaradność pozostawionych sobie pretendentów, w niewielkim stopniu wspieranych zewnętrznym wysiłkiem. Jest to jeszcze jedna przesłanka przemawiająca za tym, by zrewidować nierealne założenia budżetowe, formując je raczej pod kątem wewnętrznych interesów Polski, niż budżetowych kryteriów integracyjnych, tym bardziej że Polska wydaje się dość osamotniona w poważnym ich traktowaniu.

5. *La Tribune* 30.09.94.

Zauważmy bowiem, że realne kryteria integracyjne dotyczą zupełnie czego innego, niż równowaga budżetu. Połowa wydatków Brukseli idzie na finansowanie rolnictwa, które przecież na Zachodzie Europy i tak jest znacznie wydajniejsze, niż u nas. Coraz trudniejsze jest *dossier* stalowe, z wiszącą nad Wspólnotą, jak miecz Damoklesa, koniecznością ograniczenia produkcji i zabarykadowania się przed tanią podażą Czechów, Słowaków i Polaków. Wspólnota będzie tym bardziej oporna w integrowaniu naszego regionu, im większe rysować się będą tu wydatki wraz z objęciem krajów Europy Wschodniej wspólną polityką gospodarczą, a własny wysiłek zainteresowanych społeczeństw jest warunkiem wstępnym urealnienia planów zjednoczeniowych. Rząd polski potrzebuje wielkich środków na reformę krytycznych sektorów i rozsądne byłoby określenie granic niezrównoważonego budżetu pod kątem tych konieczności, raczej niż dążenie do jego zrównoważenia za wszelką cenę.

Inflacja

Jedną z bardziej rozsądnych perspektyw „Strategii" jest przeniesienie walki z inflacją ze sfery restrykcyjnych funkcji banku centralnego i administracyjnych barier popytu ku rynkowi, którego rozwój stanowić ma skuteczniejszy mechanizm antyinflacyjny. Chodzi tu o zniesienie popiwku, co przeniesie ciężar odpowiedzialności ze szczebla centralnego na poziom dyrekcji zakładu, dalej — obniżkę stopy procentowej dla ożywienia inwestycji oraz zapowiedź popierania oszczędności poprzez zróżnicowanie czynszu złotówki w zależności od terminu wkładu bankowego.

„Strategia" ujawnia przy tym napięcia pomiędzy perspektywą finansową i gospodarczą projektu rozwojowego. Obok spadku czynszu złotówki — co zmniejszy spłaty i obsługę długu wewnętrznego — zapowiada ona wyhamowanie pełzającej dewaluacji złotego, łagodząc tym sposobem koszty obsługi długu międzynarodowego.

O doraźnych intencjach rządu mówi wrześniowa próba

ministra Kołodki natychmiastowego wprowadzenia obu tych środków. Otóż w tym okresie inflację obliczano na trzydzieści kilka procent, a 1,6 % pełzającej dewaluacji dawało w przekroju rocznym około 19 %, czyli znacznie poniżej inflacji. Różnica stanowiła walutowy zysk kredytodawcy; jest ona wyrazem stale od 1990 roku realizowanej polityki obniżania wartości wewnętrznego dolara, co stanowi czynnik antykonkurencyjny dla polskich towarów zarówno w eksporcie, jak i — przede wszystkim — na rynku wewnętrznym. Niezależnie od dalszego przebiegu sporu rządu z Narodowym Bankiem Polskim w sprawie obniżenia stopy procentowej „Strategia" wskazuje na intencję utrzymania rozziewu pomiędzy spadkiem pełzającej dewaluacji i zmniejszaniem czynszu złotówki, innymi słowy utrzymanie monetarnej zachęty proimportowej. Znaczy to, że pragnienie obniżenia kosztów zadłużenia zagranicznego poprzez manewry monetarne stoi w sprzeczności z proeksportowymi tendencjami „Strategii". O ile 10 % wzrost wydajności pracy w roku 1993[6] pozwala porzucić ideę skokowej dewaluacji jako środka popierającego konkurencyjność polskich wyrobów, to wyrównanie dynamiki pełzającej dewaluacji i inflacji odwróciłoby tendencje proimportowe, które obciążają polską ofertę od pięciu lat.

Wyjaśnijmy to od razu, że żadna dewaluacja nie tworzy trwałych miejsc pracy, choć sprzyja osiągnięciu doraźnych korzyści. Na dłuższą więc metę chodzi o podnoszenie wartości złotówki dla wyrównywania różnic płacowych w stosunku do Europy Zachodniej, trudno bowiem wyobrazić sobie integrację terenów o stosunku płac jeden do ośmiu.

Jeszcze poważniejsze źródło sprzeczności zawarte jest w ambicjach „Strategii" wytłumienia inflacji na poziom jednocyfrowy w ciągu trzech lat. W bieżących warunkach dylematem walki z inflacją jest uniknięcie blokady rozwojowej i trwała inflacja poniżej 20% byłaby już honorowym wskaźnikiem. Sam Grzegorz Kołodko zdaje sobie z tego sprawę, podkreślając w swej rzeczowej książce[7], że w początkowej fazie przekształceń systemowych i strukturalnych nadmierne tłumienie inflacji wymaga polityki silnie recesyjnej, grożąc zniszczeniem gospodarki. Niewykluczone, że w założeniach „Strategii" o jednocyfrowej inflacji do roku 1997 mamy do czynienia z ustępstwem wobec nacisków ze strony lewicowej koalicji, skonfrontowanej z ideologiczną niechęcią środków przekazu.

6. CEPII, „L'économie mondiale 1995", ed. La Decouverte 1994.
7. G. Kołodko, „Transformacja polskiej gospodarki" BGW 1992.

Rynek pracy

Sprawa inwestowania w kapitał ludzki opracowana została wielostronnie, prezentując przy tym cały nieunikniony balast sprzeczności interesów różnych grup nacisku.

Procedura zwolnień, która gwarantuje pracownikowi jedynie „prawo zgłaszania zastrzeżeń" w intencji swej zmierza zapewne do zwiększenia mobilności siły roboczej, w praktyce natomiast oznaczać może wolną rękę dla przedsiębiorcy w traktowaniu funduszu płac jako jedynego sektora oszczędności kapitału i zmniejszania kosztów własnych. W tych warunkach pracujący stać się mogą ofiarą zwiększania konkurencyjności firmy, której właściciele będą szukać intensyfikacji zysków nie przez ulepszanie organizacji i technologii, lecz przez zwolnienia.

Inspirowanie mobilności pracowników przez ułatwienie zwolnień stoi w sprzeczności z jednoczesnym zakazem prowadzenia przez pracownika „działalności konkurencyjnej wobec interesów pracodawcy" przez rok po ustaniu stosunku pracy.

Do roku 1997 bezrobocie spaść ma o dwa punkty, czemu jednak przeciwdziałać będzie zapowiadane wydłużenie okresu pracy wymaganej dla otrzymania pełnej emerytury i zrównanie — zapewne w górę — wieku emerytalnego kobiet i mężczyzn.

Trudne do pogodzenia będzie zmniejszanie zaangażowania państwa w ubezpieczenia z jednoczesnym silnym zmniejszaniem udziału składek pracownika i zakładu, do poziomu uznanego za przeciętny „w świecie" (jakim?), który oceniono na 25%.

W odniesieniu do rent i emerytów niejasne jest znaczenie zapowiedzi odejścia od indeksacji w stosunku do płac na rzecz dostosowań do inflacji. Teoretycznie do roku 1997 renty i emerytury wzrosnąć mają w pieniądzu stałym o dwa punkty więcej niż płace, w praktyce jednak rozłączenie obu tych kategorii może przygotować rządowi wolną rękę dla większych ustępstw płacowych niż emerytalnych. Pokusa łatwizny redystrybucyjnej będzie tym silniejsza, że ogólną tendencję budżetu określa pragnienie zmniejszenia wydatków socjalnych. Troska o starych ujawni prawdziwe oblicze polskiej lewicy, której wielkim społecznym powołaniem będzie zapobieżenie wojnie pokoleń w procesie odbudowy kraju. Wobec nieuniknionego konfliktu na dłuższą metę, w interesie

dzisiejszych pracujących wskazane jest wprowadzenie — obok systemu emerytalnego przez podział — także systemu przez kapitalizację, który umożliwi otwarcie indywidualnych kont uzupełnienia przyszłych świadczeń.

Opodatkowanie płac na fundusz bezrobocia stanowi rozłożenie ciężaru zawodowej katastrofy na ogół pracujących. We Francji wszyscy płacą 0,4% nadzwyczajnego podatku solidarnościowego, który przy tym wliczany jest jeszcze do podstawy podatku od zarobków.

Cofnięcie zasiłku dla bezrobotnych po odmowie podjęcia oferowanej pracy lub kształcenia jest powszechną praktyką w rozwiniętych społeczeństwach.

W sprawie podatku na bezrobotnych przyjęcie centralnego kryterium, jakim jest stopa bezrobocia, powinno zostać uzupełnione dodatkowym kryterium lokalnym: podatek dla konkretnej firmy ulegnie zmniejszeniu, jeśli przyjmie ona dodatkowych pracowników.

Wyraźnego dopracowania wymaga projekt rad zakładowych w firmach powyżej 20 osób. Przedsiębiorstwa nie są ani forum demokracji, ani obszarem samowoli właściciela, lecz układem skutecznej pracy stymulowanej zarówno przez czynniki konkurencyjne jak i konsensus pomiędzy załogą i zarządem. Oznacza to, że wprawdzie zarządzanie spoczywa w rękach kadry, lecz stosunki pracy oparte są tak dalece, jak to możliwe, na umowie środowiska. Prowadzi to do takiego określenia roli rad zakładowych, by mogły one raczej przeciwdziałać konfliktom, niż stawiać czoła ich następstwom. To sprawa kultury, raczej niż walki klas. W przypadkach nie do rozwiązania inną drogą pozostanie organizowany przez związki zawodowe strajk, który jednak powinny poprzedzać wielostopniowe, ustawowo narzucone negocjacje.

Redukcja i zróżnicowanie czasu pracy, rozwój usług, posadzenie za stołem negocjacyjnym związków i pracodawców oraz silny nacisk na kształcenie przez pracę, w tym tradycyjne czeladnictwo, to ważne czynniki rozwoju gospodarki. System edukacji ma wielkie znaczenie dla przyszłości kraju. Na zachodzie Europy wydatki na ten cel stanowią główną pozycję budżetu państwa. Zachęty podatkowe, zapowiadane w projekcie koalicji rządowej mówią jedynie o objęciu tym środkiem indywidualnych osób, podczas gdy wskazane byłoby skierowanie ich także ku podmiotom gospodarczym, na przykład należy wspierać szkolnictwo przyzakładowe przez odliczanie wydatków edukacyjnych.

Struktura gospodarki

Projekt wielkich robót w infrastrukturze i budownictwie jest klasycznym rozwiązaniem kryzysowym, o jakim mówi się coraz częściej w krajach Europy Zachodniej.

Zapowiedź decentralizacji władzy gospodarczej, zwłaszcza w walce z bezrobociem, może na dłuższą metę prowadzić do transferu dużej części władzy z Warszawy w teren, co przygotuje nowoczesne państwo federacyjne.

Wyrazem realizmu jest zapowiedź pomocy dla małych i średnich przedsiębiorstw poprzez ulgi podatkowe i ułatwienia kredytowe, ponieważ takie firmy wytwarzają większość bogactwa w nowoczesnych społeczeństwach.

„Strategia" przewiduje liczne działania dla zwiększenia konkurencyjności gospodarki na rynku światowym, zapowiadając popieranie eksportu w kierunku dynamicznych sfer rozwojowych, takich jak Daleki Wschód, Ameryka Łacińska, a także kraje byłego imperium sowieckiego. W naszych warunkach jednak międzynarodowa konkurencyjność to przede wszystkim wzmocnienie polskiej podaży w stosunku do towarów zagranicznych na własnym rynku i tutaj pojawić się mogą sprzeczności, które przeciąć może polityczna wola.

Odejście w rolnictwie od nie adresowanej pomocy, która utrwala nieskuteczne struktury i obyczaje jest koniecznym warunkiem jego unowocześnienia. Rolnictwo, obok stalownictwa i górnictwa, stanowić będzie jedno z głównych dossier blokujących integrację z Europą. Rolnictwa nie da się w całości uratować, dlatego ważne znaczenie ma świadomość projektodawcy o potrzebie rozwijania działalności pozarolniczej.

Nie tylko wolny rynek

Ekipa rządowa, która odzyska zaufanie społeczeństwa, może się ubiegać o zawarcie czasowego paktu społecznego, w którym pracownicy zobowiążą się do ograniczenia żądań płacowych, producenci — do nieodbijania w cenach pełnego wzrostu kosztów, a banki handlowe do ułatwień kredytowych. Do takiego zadania powinna być przygotowywana Komisja do spraw Społeczno-Gospodarczych.

Brakującym w „Strategii" rozdziałem jest refleksja na temat przyszłego modelu technologicznego gospodarki. To

jedna z ideowych podstaw programu rozwojowego: w XXI wiek Polska wchodzi z ofertą węgla, stali, produktów rolnych i tekstyliów. Wprawdzie produkty takie rozwinęły potęgę Wielkiej Brytanii, ale było to w XIX wieku, a przy tym w oparciu o bezkonkurencyjną wydajność, a nie wyjątkowo tanią pracę.

Wszystko to prowadzi nas do zniuansowanej oceny „Strategii dla Polski". Wprawdzie niektóre jej założenia świadczą o bezpłatnym dość ustępstwie w stosunku do złudzeń szybkiej integracji, niektóre są niejasne, a niektóre wręcz wzajemnie sprzeczne — ale całość stanowi próbę integralnego spojrzenia na problemy polskiej gospodarki, opartego o zasadę zmiany i krytycznego wykorzystania doświadczeń poprzedników. Być może podstawową wartość projektu stanowi jego centrowa perspektywa, chroniąca rynek lecz i dowartościowująca sferę dobra publicznego.

Robert KACZMAREK

KSIĄŻKI POLSKIE

NOWE I DAWNE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI:

4, rue Frederic Sauton, 75005 Paris
Tel./Fax (1) 40-51-76-40
Metro: Maubert-Mutualité
Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

●

KATALOGI NA ŻYCZENIE

Dziennik pisany nocą

Neapol, 7 września 1994

Lektura wydanej ostatnio w Polsce książki Calela Perechodnika *Czy ja jestem mordercą?* (Karta) zachęciła mnie do odczytania na nowo mojego szkicu *Demon naszych czasów*. Po trzydziestu przeszło latach.

Jego tematem był „raport o banalności Zła" Hanny Arendt, zatytułowany *Eichmann w Jerozolimie*. Uczona niemiecko-amerykańska przysłuchiwała się procesowi jerozolimskiemu z ramienia *New Yorkera*. Napisała książkę znakomitą, najgłębiej sięgającą do istoty Zagłady. Była jednak przedmiotem gwałtownych ataków ze strony Żydów amerykańskich, którzy hańbę bezczynności i właściwie obojętności wobec Zagłady usiłowali okupić po wojnie nadgorliwością „najwyższego (samozwańczego) trybunału sumienia". (Charakterystyczne, że w amerykańskiej *Liście Schindlera*, filmie pożytecznym lecz płytkim, hollywoodzkim, Żydzi amerykańscy nie są wspomniani; w każdym razie włoska *Banalność Dobra*, historia uratowania trzech tysięcy Żydów w Budapeszcie przez włoskiego *faszystę*, całkowicie bezinteresownego, który wywiódł w pole samego Eichmanna w końcowym stadium „ostatecznego rozwiązania", nadawałaby się z większym pożytkiem do ekranizacji, ale także w oprawie amerykańskiego milczenia; zainteresowanych amerykańskim milczeniem odsyłam zawsze do studium pastora i profesora teologii Davida Wymana *The Abandonment of the Jews — America and the Holocaust*). W tych atakach jeden zarzut był słuszny, postawiłem go również autorce w moim szkicu.

Pisała: „Cała prawda była taka, że istniały ogranizacje

gmin żydowskich i żydowskie organizacje partyjne i dobroczynne zarówno na szczeblu lokalnym, jak i międzynarodowym. Gdziekolwiek znajdowali się Żydzi, posiadali uznawanych przywódców, i ci przywódcy, nieomal bez wyjątku, współpracowali w ten czy inny sposób, z tych czy innych względów, z hitlerowcami. Cała prawda była taka, że gdyby Żydzi byli naprawdę nie zorganizowani i pozbawieni kierownictwa, chaos i nędza wzrosłyby niepomiernie, ale liczba ofiar nie dosięgnęłaby cyfr od czterech i pół do sześciu milionów. Kładę nacisk na tę sprawę, której proces jerozolimski nie odsłonił przed oczami świata w jej właściwych rozmiarach, gdyż daje ona najbardziej uderzający wgląd w totalność bankructwa moralnego, spowodowanego przez hitlerowców w szanującym się społeczeństwie europejskim — nie tylko w Niemczech, lecz we wszystkich prawie krajach, nie tylko wśród oprawców, lecz także wśród ofiar".

Zapewne to rozumowanie za biurkiem, przy nieznajomości (na szczęście dla Hanny Arendt) mechanizmu funkcjonowania totalitarnej eksterminacji, wydaje się na pierwszy rzut oka sensowne. Ale teoria biernego oporu i nieposłuszeństwa grzeszy, w stosunku do hitlerowskiego *Endlösung* i sowieckiej *pierekowki* społeczeństwa, intelektualną abstrakcją. Z dwóch powodów. Po pierwsze, instynkt ocalenia własnego życia *za wszelką cenę* jest i dominujący i stanowi wylęgarnię złudzeń, samooszukiwania się, bezgranicznej łatwowierności. Po drugie, ofiary totalitarnej eksterminacji były oblężone podwójnie: przez oprawców i przez niechętne (w wypadku Żydów), lub obojętne i podszyte strachem (w wypadku sowieckich „wrogów ludu") otoczenie.

Przy pewnych drobnych i łatwych do wskazania różnicach, obie zatem maszyny totalitarne były dobrze skonstruowane i naoliwione. Wyzwanie mogły im rzucić dwie tylko rzeczy: odrzucenie względnie łatwej, hitlerowskiej śmierci masowej w imię godnej śmierci indywidualnej, z bronią w ręku (jak w Powstaniu w getcie); świadomość, że istnieje coś gorszego jeszcze od śmierci, nie jedynie tortury, lecz dotknięcie absolutnego dna resztek człowieczeństwa; dna, które już nigdy, nawet w razie ocalenia, nie pozwoli wrócić do tak upragnionego życia (jak w książce Perechodnika).

Pamiętnik Perechodnika, policjanta żydowskiego w otwockim getcie, jest dotknięciem owego dna absolutnego. Człowiek kulturalny i wykształcony, inżynier rolnik po studiach we Francji, pomaga jako policjant załadować do wagonu Zagłady żonę i uwielbianą córeczkę. Byle *chwilowo* ocaleć.

„Czy ja jestem mordercą?" — pyta. Mordercą nie, gorliwym pomocnikiem mordu tak. Gdyby rozumiał, że istnieje coś gorszego jeszcze od śmierci, pojechałby do Treblinki razem z żoną i dzieckiem. Wybrał mały, nędzny ochłap życia (na większy nie mógł liczyć). O resztce jego życia resztkami człowieczeństwa lepiej zamilczeć. Z pobudek miłosierdzia. Opowiada o swoich dwóch „zarobionych" latach z pełną świadomością tego, co zrobił i co „zarobił". Trzeba zadawać sobie gwałt, żeby dobrnąć do ostatniej stronicy tego pamiętnika „pokuty", prawdziwego i równocześnie zakłamanego.

Jego otwoccy krewni, towarzysze i znajomi (żydowscy) są tacy sami. Ludzie, którzy poszarpali więzy łączące ich z innymi ludźmi, dla których życie (w gruncie rzeczy wyłącznie wegetatywno-handlowe) jest wszystkim. Bezduszni, okrutni, wydrążeni. Poruszają się jak zadżumieni wśród polskich „aryjskich" szakali, węszących co by tu jeszcze można wyrwać zarażonym już chorobą. Jak w książce Daniela Defoe *Dziennik roku dżumy.*

Po wielkich dżumach były zawsze w historii dłuższe czy krótsze okresy zachwiania wszystkich wartości, zamętu, utraty równowagi. A teraz? Po dżumie totalitarnej? Niektórzy filozoficzni mentorzy, religijni kaznodzieje, polityczni szalbierze pocieszają nas, że rozwiał się już dawno w powietrzu czarny dym wypalonej zarazy totalitarnej. A ja nie wierzę. Żyjemy i żyć będziemy *moralnie* w epoce napiętnowanej nią na długo, choćby nam mydlono oczy cyframi i dowodami „postępu".

9 września

Strzępy czarnego dymu, zatruwające nasze powietrze po wypaleniu zarazy totalitarnej, nie są figurą metaforyczną. Świat jest nasycony, jeśli nie wręcz przesycony, informacją i rekonstrukcją historyczną tragicznej przeszłości. W setki liczyć wypada monografie naukowe i świadectwa osobiste na temat Zagłady, obfita jest też literatura Gułagu. Usiłuje się zakorzenić w sercach i umysłach młodzieży to, co było doświadczeniem ich dziadków i rodziców. Nie powiem, żeby rezultaty były proporcjonalne do starań. Pozostawmy na marginesie patologiczne wypadki stawiania Zagłady i Gułagu pod znakiem zapytania. Ograniczmy się do ludzi normalnych i przyzwoitych, głównie młodych, którzy „mają dosyć". Słyszy się: „Niczego nas nie nauczy lekcja przeszłości, niech ją

rozpamiętują, dopóki żyją, starsi". Istnieje więc zmagazynowana ogromna wiedza o totalitarnej dżumie, by z dnia na dzień ulegać, coraz jaskrawiej, odtrąceniu. Klasycznym przykładem jest moskiewskie pismo *Wolja*, redagowane przez spadkobierców *tiuremnoj cywilizacji*. Jego nakład nie przekracza tysiąca egzemplarzy. Film Spielberga miał odegrać rolę wychowawczą; widziałem młodych ludzi, znudzonych i wzruszających ramionami po jego zobaczeniu.

Tak ma się sprawa książkowej „edukacji po-zagładowej". Zarazem jednak — i to jest moja fiksacja — w powietrzu wiszą wciąż szczątki dymu brunatnych czy czerwonych krematoriów. To one sycą powszechny wzrost gwałtu, zupełne lekceważenie życia ludzkiego, nieprzerwany pochód cynizmu, szyderczy stosunek do tzw. „zasad moralnych", triumf odruchów irracjonalnych, uchwyconą przez Goyę groźbę: „Gdy rozum śpi, budzą się upiory". Zaiste, nie wolno traktować lekko ostrzeżenia Hanny Arendt: „Przyczyny, które przemawiają za możliwością powtórzenia zbrodni hitlerowskich, są realne. Przerażająca zbieżność współczesnej eksplozji populacyjnej z odkryciem środków technicznych, które, poprzez automatyzację, ujawniają zbędność szerokich odłamów ludności nawet w kategoriach pracy, i które, poprzez energię nuklearną, umożliwiają uporanie się z podwójnym niebezpieczeństwem za pomocą instrumentów sprowadzających hitlerowskie urządzenia gazowe do wymiarów niezdarnych zabawek w rękach złych dzieci, powinna wystarczyć, by nas przyprawić o drżenie".

Czarną chmurą po totalitarnej zarazie jest Bośnia. Tchórzowskie komedianctwo zachodniej Europy i Ameryki (a tak nam się śpieszy, aby tam „wejść" w charakterze świeżo „nobilitowanych") pozwala Karadziczowi, rzeźnikowi z wyglądu i mentalności, robić co chce, gwiżdżąc sobie z narad, pertraktacji, propozycji, dyplomatycznych zabiegów „panów i władców świata". Czy ten rzeźnik nie jest typowym pogrobowcem totalitarnej dżumy, a jego potężni zalotnicy jej zatrutymi ofiarami? Papież szykuje się do wizyty w Sarajewie. Odradzają mu ją „kompetentne organy międzynarodowe". A Karadzicz kwituje po swojemu odmowę zgody na wizytę: serbski granat zabija w Sarajewie pięcioro dzieci. Zabijanie dzieci jest przecież ulubionym zajęciem czy sportem potomków „minionej (zdawałoby się) epoki".

10 września

Przed wojną pepeesowski poseł Klemensiewicz był szczególnie popularny i lubiany na wsi, toteż wysyłano go głównie na wiece chłopskie. Na jednym z tych wieców, po politycznym przemówieniu Klemensiewicza, wstał z ławki w ostatnich rzędach słuchacz z groźną miną i zapytał: „Czy to prawda, panie pośle, że socjały jedzą w piątek mięso?". Klemensiewicz był z natury *schlagfertig*, bez chwili namysłu odpalił: „Był jeden taki, ale wyrzuciliśmy go natychmiast z partii". Huknęły brawa.

Niebawem już, dzięki przecięciu wrzodu posłanki Labudy wyrzuconej z Unii Wolności, Mazowiecki, Suchocka i Rokita będą należycie przygotowani do „czystego" przedwyborczego wiecowania w miastach i na wsi. „Była jedna taka...". *Burnyje apłodismenty.*

12 września

Mój przyjaciel Francesco Cataluccio, najlepszy we Włoszech znawca spraw polskich, opublikował w znanym miesięczniku *Leggere* obszerny artykuł w pięćdziesiątą rocznicę Powstania Warszawskiego. Od razu na wstępie: „W stolicy Polski rozegrała się pierwsza akcja masowego unicestwienia w naszej epoce, rozegrało się pierwsze Sarajewo. I wtedy też, jak dziś, wypadki potoczyły się w obliczu obojętności świata, przy wtórze nie prowadzących do niczego, jałowych gierek wielkich mocarstw". Te dwa zdania warte są dla mnie więcej od przemówień, jakie wygłosili zaproszeni przez Wałęsę honorowi goście z Zachodu i ze Wschodu. Należało ich w ogóle zapraszać? Byłem, jestem i będę zdania, że nie. Powstańcza Warszawa była całkowicie opuszczona i zdradzona, w zupełnej samotności powinna więc była obchodzić swoją tragiczną rocznicę po półwieczu. Jak obchodzi się w odosobnieniu, w kole najbliższych, rocznice tragedii rodzinnych, gdy oznaką żałobnej godności jest wyłączenie udziału osób postronnych.

Ale ten płacz Antygony,
Co szuka swojego brata,
To jest zaiste nad miarę
Wytrzymałości. A serce

To kamień, w którym jak owad
Zamknięta jest ciemna miłość
Najnieszczęśliwszej ziemi.

(Miłosz)

Słyszę, że dla inicjatorów z prezydenckiego dworu to zaproszenie miało być dowodem naszej „europejskości", naszego wyrastania z prowincjonalizmu. A było brakiem szacunku, dla gruzów miasta, dla poległych mieszkańców Warszawy i warszawskich powstańców.

Cataluccio zamyka swój szkic, cytując mój pogląd, że Powstanie Warszawskie było wpisane od początku w historię AK, podobnie jak bitwa pod Monte Cassino wpisana była od początku w dzieje 2 Korpusu; i że alternatywą w obu wypadkach stałaby się zapewne kapitulacja duchowa na długie lata. Wierzę dalej w to, co niegdyś (bardzo dawno) napisałem, ale to przekonanie zadaje mi na starość coraz większy ból.

13 września

Z faxu od Jerzego Giedroycia dowiaduję się, że *Popiół i diament* w dalszym ciągu figuruje w lekturach szkolnych. W takim razie należy do nich czym prędzej włączyć *Obywateli* Kazimierza Brandysa i *Słowo o Stalinie* Broniewskiego. Wymieniam te trzy tylko pozycje, pomijając im pokrewne, bo tak się złożyło, że wszyscy trzej autorzy — Andrzejewski, Brandys i Broniewski — upewniali mnie na słowo honoru (?)", że ich utwory, choć „merytorycznie nieprawdziwe" (wyrażając się bardzo oględnie), są „doskonale napisane". Dla przyszłego historyka literatury polskiej smakowity przyczynek do rozdziału „Republika kolesiów-literatów", albo „Narodowy Związek zniewolonych umysłów" (pod protektoratem profesora Andrzeja Walickiego).

16 września

Ósma śmierć Maksyma Gorkiego.

W 1954 napisałem „opowieść kryminalną" *Siedem śmierci Maksyma Gorkiego*, zbudowaną niemal całkowicie na poszlakach. Po zgonie pisarza w czerwcu 1936 dwie wersje jego śmierci — śmierć naturalna, skrytobójstwo — zmieniały się

na przemian sześciokrotnie aż do roku 1952. Moją hipotezę siódmej śmierci oparłem na dość drobiazgowej analizie okoliczności politycznych, jakie towarzyszyły tej huśtawce. I podparłem ją jedynym dostępnym świadectwem socjaldemokratki niemieckiej Brigitte Gerland, którą w roku 1953 zwolniono przedterminowo z obozu w Workucie i odesłano do NRF. W organie mienszewików rosyjskich *Socjalisticzeskij Wiestnik* pani Gerland ogłosiła artykuł *Kto otruł Gorkiego?*, relację z rozmów w obozie ze współwięźniem profesorem Pletniewem, którego w ostatnim procesie moskiewskim (1938) sądzono i skazano za uczestnictwo w „spisku lekarskim" uknutym przeciwko choremu pisarzowi. Pletniew, stojąc już w Workucie nad grobem, postanowił ujawnić prawdę: Gorkiego otruto na rozkaz Stalina. Wódz wymyślił „spisek lekarski" (miał już, jak widać, wtedy predylekcję do „morderców w białych kitlach"), żeby położyć kres moskiewskim plotkom o otruciu. Według mnie to właśnie (czyli dwuznaczna i zarazem rzeczywista „siódma śmierć" Gorkiego z mojego „dreszczowca") było źródłem huśtawkowych zmian w wersjach dyktowanych przez Stalina.

Taki był stan rzeczy w próbach rozwikłania zagadki śmierci Gorkiego aż do chwili, gdy zarządzono otwarcie archiwów sowieckich; okazało się wówczas, że wbrew dawnym powszechnym obawom nie tylko nie były puste, lecz zadziwiająco bogate i bez przerwy uzupełniane. Witalij Szentalinskij skierował całą swoją uwagę szperacza na archiwa literackie KGB. Nie wiem, czy jego pękate tomisko ukazało się w Rosji. Francuzi wydali je pod tytułem *La parole ressuscitée*. Włosi nazwali je trafniej może *I manoscritti non bruciano*, rękopisy nie płoną, nie palą się. Autor zbadał na Łubiance „teczki" Babla, Bułgakowa, O. Florenskiego, Pilniaka, Mandelsztama, Klujewa, Płatonowa, Gorkiego. Ostatnia „teczka" pozwala do siedmiu śmierci Maksyma Gorkiego dołączyć ósmą.

Szentalinskij opisuje ją jako powolną agonię psychiczną i duchową. „Robi wrażenie ta stopniowa kapitulacja, ta skłonność do oszustwa i samooszustwa, ta transformacja autentycznej, konkretnej solidarności (ze społeczeństwem, z narodem) w patronat formalny i fałszywie opiekuńczy. Pierwsze to objawy owej choroby duchowej, która doprowadzi w końcu Gorkiego do zupełnej metamorfozy, i obrońcę prześladowanych przeobrazi w obrońcę prześladowców". Można się bez trudu zgodzić z taką interpretacją, ostatecznie Gorki stał się w ostatnim okresie swego życia szmatą powiewającą

dumnie na wietrze. Dokumentalny film Mariny Gołdowskiej *Wlast' sołowieckaja* pokazuje go podczas „wizytacji" obozu na Sołówkach: pisarz który widzi, lecz udaje że nie widzi. A „inspekcja" *Biełomorkanału* w gronie znanych pisarzy sowieckich? I zbiorowa książka o tej „wspaniałej budowie socjalizmu", za którą życiem zapłaciło ćwierć miliona więźniów? Sołżenicyn pisze słusznie z tej okazji o „sterniku literatury sowieckiej" z bezgraniczną pogardą. Bo czym innym, jak nie pogardą, należy pokwitować przemianę „ludowego bosiaka" w stalinowskiego pajaca bez krzty godności? Szentalinskij przytacza z „teczki" Babla jego zeznanie na temat wizyty Malraux w ZSSR z roku 1936. Babel towarzyszył pisarzowi francuskiemu w podróży na Krym, gdzie Gorki spędzał wakacje. „Gorki budził ogromną litość. Od pierwszego dnia naszej wizyty zauważyłem atmosferę osamotnienia stworzoną wokół niego przez Kriuczkowa i Jagodę, bezlitosnych w izolowaniu go od otoczenia. Stan moralny pisarza? Wielka depresja. W tym co mówił pojawiały się aluzje do faktu, że został opuszczony przez wszystkich. Starano się uniemożliwić mu powrót do Moskwy, do ulubionej pracy".

Agonia i śmierć duchowa i psychiczna. A fizyczna? W „teczce" Gorkiego moskiewski szperacz znalazł tylko dowody bezustannych usiłowań dokonania „mordu medycznego". Tyle ich, że zaczynają w końcu śmieszyć i spełniać rolę zasłony prawdziwej przyczyny śmierci. Wierzę przedśmiertnemu wyznaniu profesora Pletniewa. Dlaczego Stalin pośpieszył się i sięgnął po truciznę, gdy mógł spokojnie i (i nie długo już) poczekać na naturalny bieg wypadków, zwłaszcza że częste kryzysy autentyczne (Gorki był gruźlikiem) zapowiadały bliski koniec? Zabrzmi to pewnie zbyt literacko, ale podejrzewam że pogromca bał się ostatniego skoku śmiertelnie zranionego zwierza. Stalin chciał pozostać, i pozostał, sam na sam ze swoim niewolnikiem i utajonym buntownikiem. Po uroczystym pogrzebie „ukochanego Aleksieja Maksimowicza" wymordował kolejno wszystkich chyba, którzy mu pomagali poskromić i ubezwłasnowolnić dawnego „zwiastuna burzy".

18 września

Umarł Karl Popper. Jego *Społeczeństwo otwarte* jest jedną z najważniejszych książek naszego stulecia. Powinna być lekturą obowiązkową zarówno w krajach demokratycznych,

jak w krajach które wydobyły się z „demokracji ludowej" i weszły na drogę demokracji bezprzymiotnikowej. Poppera wielbię też za to, że filozofię Hegla uważał za „największe oszustwo intelektualne wszystkich czasów", a tzw. „intelektualistów" nazywał „osłami".

Tuż przed śmiercią zdążył podyktować redaktorowi włoskiego pisma *Reset* krótki esej o telewizji. Pod koniec życia „zła nauczycielka telewizja" zaprzątała ciągle jego myśli, budziła w nim niepokój graniczący z obsesją i paniką. Ale esej napisany jest po popperowsku, spokojnie, rzeczowo, rozumnie, z wystrzeganiem się przesady czy egzaltowanej retoryki. Przed trucizną telewizji, „szkołą gwałtu", chciał uchronić przede wszystkim dzieci (trzeba pamiętać, że w latach 1918-1937 był w Wiedniu wychowawcą dzieci i współpracował z Alfredem Adlerem). Nie zapominał jednak o dorosłych. „Idea jest wciąż ta sama, kantowska: poszerzać do maksimum wolność każdego człowieka w granicach narzuconych przez wolność innych. Jeśli natomiast trwać będzie obecna tendencja rozwojowa, niebawem znajdziemy się w społeczeństwie, w którym zabójstwo stanie się chlebem powszednim".

Co proponował? Zasadę, że kto pracuje w telewizji, musi poddać się surowemu egzaminowi, zakończonemu wydaniem (lub nie) patentu, licencji. Wyjaśnił swój postulat w zakończeniu eseju: „Demokracja polega na stałej kontroli władzy politycznej. W prawdziwej demokracji nie może być mowy o jakiejkolwiek, nie kontrolowanej instancji politycznej. Tymczasem telewizja posiada dziś wszelkie cechy ogromnej potęgi politycznej, potencjalnie najważniejszej ze wszystkich, jak gdyby z ekranu przemawiał sam Bóg. I tak już będzie, albo jeszcze gorzej, jeśli nie powstrzymamy nadużyć tej potęgi politycznej. Telewizja ciąży nad demokracją".

Byłoby to wszystko bardzo słuszne i piękne, gdyby istniały *czyste* metody kontroli. A kontrola w złych rękach ma to do siebie, że wiadomo jak i gdzie się zaczyna, a nie wiadomo dokąd zmierza i gdzie się kończy. 15 września, głosami SLD i PSL, Sejm uchwalił ustawę o ochronie tajemnicy państwowej. Zakres tajemnicy państwowej i służbowej ustalać mają członkowie rządu i administracji państwowej. Nie mam wątpliwości o co chodzi w takiej kontroli: tajemnica państwowa zastąpi zbyt brutalne nożyce cenzora. Mądry Popper, mając głównie na myśli społeczeństwa otwarte w demokracjach zachodnich, ignoruje społeczeństwa półotwarte w demokracjach rosnących (bądź karlejących) na gruzach komunizmu.

19 września

Zaprzyjaźniona osoba z Kielc przysłała mi w upominku album *Sądu Ostatecznego* Hansa Memlinga. Album wyszedł już dość dawno, ofiarowany mi egzemplarz pochodzi z trzeciego wydania. Moja wina, że przeglądając książki w polskich księgarniach, nie zauważyłem słonia. Studium o gdańskim tryptyku zaczął pisać Michał Walicki. Ale nie skończył go. Zrobił to za niego Jan Białostocki.

Patrzę z podziwem na *Sąd Ostateczny* Memlinga, czując że mój podziw jest „letni", nie wychodzi poza smakowanie estetyczne, bez udziału dramatyczności tematu. A tu trzeba jak Michał Anioł, w potężnym wirze kosmicznym. Memling wydaje mi się zbyt kameralny i lustrzany (nie darmo podglądał wielkiego Jana van Eycka, twórcę Arnolfinich). Panofsky (przypomina Białostocki) nazwał Memlinga „znakomitym *petit-maître*". Walicki stawiał go wyżej. „Jest inny, ma w sobie inną wielkość, nie słodkiej harmonii, lecz dramatu, nie intymnej ciszy, lecz potężnego głosu trąby". Czyżby? Ja tego „potężnego głosu trąby" nie słyszę. Chwilami nasuwa mi się określenie *Sąd Ostateczny* roślinny: maleńkie nagie figurki potępionych i ocalonych przypominają łodyżki z szypułkami głów. Chrystus jest mniej sędzią, niż znakomity komplet sędziowski Apostołów. Pamiętacie Chrystusa w *Sądzie Ostatecznym* Michała Anioła? Ze światem rzuconym pod nogi Sędziego, dramatycznie skłębionym? U Memlinga jest piękna, w swojej roli, tylko Matka Boska. Archanioł Michał zastępuje lustro w komnacie Arnolfinich. Jakież to piekło? Urwisko skalne, *zarośnięte* nagimi figurkami.

Ten zapis służy do jednego: do uprzytomnienia zgrozy, jaka łączy się dziś — po tym co odsłoniło nam nasze stulecie — w podświadomości człowieka z obrazem Sądu Ostatecznego, choć sam obraz oglądany jest coraz częściej w Kaplicy Sykstyńskiej z obojętnym (jeśli nie ironicznym) uśmiechem. Z uśmiechem odciśniętym głównie na twarzach młodych.

22 września

Nowy, wielki album Leonor Fini *Peintures* z Saint-Dye sur Loire. *Al carissimo Gustavo con molta amicizia Leonor.* Tylko dwa razy byłem w Saint-Dye, w domu Leonor i Kota

Jeleńskiego nad Loarą. Przed jego śmiercią, wtedy poszliśmy na daleki spacer brzegiem Loary, bez słowa ale jednakowo reagując na *podobieństwa:* pohukiwania za rzeką, letnie prościutkie kolumny dymu na ścierniskach, wędkarze na piaszczystych łachach, rzadkie spotkania na ścieżce. *Bon jour, bon jour.* Siedliśmy na pochyłym brzegu, jednocześnie wyrwało nam się z głębi serc: „Mój Boże!". Ani słowa więcej. Potem Kot, przed powrotem na obiad do domu, zaprowadził mnie na wiejski cmentarzyk. „Tu będę leżał", pokazał miejsce obok grobu Stanislao Lepri. Drugi raz byłem w Saint-Dye wkrótce po jego śmierci. Przeglądałem całe przedpołudnie papiery w jego pokoju. Po obiedzie zamówiony przez Leonor szofer odwiózł mnie na stację.

Są w życiu człowieka rany, które się nigdy nie zagoją. W moim należy do nich śmierć Kota. Naprawdę nie zobaczę jego dobrej (dla lubianych przyjaciół) twarzy? Nie usłyszę w telefonie jego głosu z Paryża? Z początku, zaraz po jego śmierci, były przymiarki różnych autorów (Wojciech Karpiński, Piotr Kłoczowski) do książki o nim. Przycichły niebawem, ograniczyły się do przyjacielskich wspominków i westchnień. Dobrze przynajmniej, że gotowa już jest jego korespondencja z Jerzym Giedroyciem w opracowaniu Wojciecha Karpińskiego.

Podczas agonii Kota poleciałem do Paryża, ale nie chciałem zobaczyć konającego. Codziennie spędzałem wiele godzin u Leonor. To początek naszej głębokiej przyjaźni, sierocej przyjaźni. „Jak ja zdołam żyć bez Kota?", powtarzała bez przerwy. Zdołała. Stopniowo, krok po kroku, wróciła do malarstwa. Ale już bez codziennych (natychmiast po powrocie z biura) uwag krytycznych, sugestii i rad Kota, w które wierzyła ślepo. Dopóki jeździłem do Maisons-Laffitte, za każdym pobytem odwiedzałem ją w pracowni, przesiadywałem tam z nią bardzo długo, oglądałem jej nowe obrazy i rysunki. Nie mogłem naturalnie zastąpić Kota. Ale te wspólne oględziny przynosiły jej wyraźną ulgę; wysychały łzy w jej pięknych oczach. Nie wiedziała, że i mnie, mocą odległych wspomnień, dawały cichą i smutną radość jako nagłe odżycie takich samych godzin, spędzanych z K. w Rzymie i w Londynie.

Od pierwszej chwili polubiłem malarstwo Leonor, może i to związało mnie z Kotem. Miał milczący żal do Czapskiego, Józio bowiem wybrzydzał się na malarstwo Leonor, chociaż przyparty do muru nie potrafił tego nigdy sensownie wytłumaczyć, plątał się zaczerwieniony jak mało wiarygodny

świadek przed sądem. Rzecz sprowadzała się do alergii; odwzajemnionej przez Leonor w stosunku do malarstwa Czapskiego. Z polskich malarzy ceniła tylko Lebensteina.

Nie bez kozery odpowiadała gniewnie, gdy ktoś nazywał ją Włoszką: „Nie jestem Włoszką, *sono una Triestina*". Jest coś bardzo odrębnego, dla mnie cudownego, w atmosferze Triestu, miasta Italo Svevo, Bobby Bazlena, Umberto Saby. Myślę, że od dziecka nasiąkała triesteńską atmosferą, obroniła ją potem w sobie podczas lat rzymskich i paryskich. W *Peintures* (większość obrazów reprodukowanych w albumie znam dobrze, zwłaszcza ulubiony *Mémoire de fragments passes*, o którym pisałem przed laty w dzienniku, i bardzo byłem rad, gdy Leonor i Kot urywek mojego zapisu wykorzystali w katalogu ogromnej wystawy w Pałacu Luksemburskim), w *Peintures* nie ma już uczonej i błyskotliwej przedmowy Kota. Zastępują ją refleksje malarki. Ostatnia brzmi tak: „Określa się niekiedy moje malarstwo jako surrealistyczne, fantastyczne. Dla mnie rzeczywistość, codzienność mogą się okazać obce i zarazem cudowne. Wystarczy otworzyć oczy i spojrzeć uważnie na rzeczy, by znikły zjawiska zwykłe czy wytłumaczalne". Przemawia tu dawny, ginący niestety duch Triestu.

5 października

Epilog *Innego Świata* zatytułowany jest *Upadek Paryża*. Odtąd będę do książki dołączał drugi epilog pod tytułem *Upadek Innego Świata*. Będzie nim pełny tekst listu (z zachowaniem pisowni autora), nadanego z Sołówek 23 sierpnia, otrzymanego przeze mnie 29 września. List napisał znany dziennikarz Mariusz Wilk, współautor głośnej niegdyś książki *Konspira*, lektury dla mnie w owych latach pasjonującej.

„Szanowny panie Gustawie, piszę do Pana z Wysp Sołowieckich, które wedle Sołżenicyna są kolebką Archipelagu Gułag. Dwa lata temu kupiłem tutaj dom nad morzem i żyję, jak w celi, bez-wyjezdno. Nieco piszę, stawiam sieci na sjeliodkę, hoduję kartoszkę.

Piszę do Pana w związku z Jercewem. Być może pamięta Pan mój telefon z Moskwy, wiosną 1992. Zadzwoniłem wtedy świeżo pod wrażeniem kargopolskich zon. 19 stycznia 1992 roku, czyli dokładnie pół wieku od dnia, kiedy Pana zwolnili z obozu w Jercewie, ja wysiadłem na jego stacji z pociągu relacji Moskwa-Archangielsk. Zapamiętałem datę, bo to dzień moich urodzin.

Do Jercewa przyjechałem z Wołogdy, z szałamowskich cztenij, które odbywają się w każdą rocznicę śmierci Warłama Tichonowicza. Tam dowiedziałem się, że Jercewo jest „zamkniętym" pasiołkiem, bo obóz, w którym Pana trzymali, funkcjonuje do dziś. Powiedziała mi o tym dziewczyna z domu-muzeum Szałamowa, urodzona w Jercewie, córka zakliuczonej. Objaśniła też, jak przejść ze stacji do baraku gastinicy dla przyjeżdżających na swidania; przejść tak, by od razu nie podpaść.

Byłem jedynym pasażerem, wysiadającym na stacji w Jercewie. „Z pagórka w pobliżu stacji widać było obóz jak na dłoni. Z baraków unosiły się w górę pionowe słupy dymów, w oknach paliły się już światła i gdyby nie cztery sylwetki „bocianów", siekące noc długimi nożami reflektorów, Jercewo mogłoby uchodzić za cichą osadę tartaczną" (fragment opisu w mojej książce — przyp. G.H.G.). W tym miejscu przepadła granica między światem przedstawionym w *Innym Świecie* i światem, w rzeczy samej, pół wieku później. W detalach, czasami, pojawiała się szczelina; szczelina jak u Szałamowa: między faktem i jego soczinieniem. Paradoks chwili zamknął się był w tym, że w Wołogdzie czytałem próbę o post-realizmie Szałamowa, a potem znalazłem się w Jercewie, jak w środku rzeczy, post-realistycznej. Jeżeli, rzecz jasna, *Inny Świat* uznajemy za prozę realistyczną.

Innymi słowy, niektóre zony zmieniły swoje przeznaczenie. Ostrownoje obecnie to letni łagier dla pionierów. Inne zarosły trawą i zdziczałą porzeczką, jak na przykład Druga Aleksiejewka, dokąd mnie zawiózł major Gusjew. Major Gusjew jest zapalonym myśliwym. Po drodze opowiadał, że najbardziej lubi polować na zbiegłych zeków, bo to mądre żywotne i często bywa uzbrojone. Do Drugiej Aleksiejewki brodziliśmy w kopnym śniegu, na szerokich, północnych nartach. Gusjew przeczytał *Inny Świat*, którego kilka egzemplarzy przywiozłem do Jercewa, i żywo komentował przeczytane. Jego ojciec był nadziratielem w czasach, gdy Pana trzymali, Panie Gustawie. Gusjew mówił z ironią o *Innym Świecie*. Sens jego słów mniejwięcej taki: cóż oni mogli wiedzieć o zonie, zamknięci w niej jak króliki w klatce, brak im dystansu z zewnątrz, spojrzenia z wyszki, by objąć całość skomplikowanego mechanizmu pilnowania ludzi. Inne łagpunkty: Kruglica, Mostowica, a także zona w samym Jercewie, za owe pół wieku nie zmieniły się w ogóle.

Wtedy w styczniu, wykorzystując zaskoczenie naczalstwa obozu, dostałem do ręki na chwilę Pańską teczkę: Licznoje

dieło, numer 1872. Niestety, sfotografować mi jej nie pozwolili. Dopiero w maju, po kilkumiesięcznej podróży korytarzami Ministerstwa Wnutriennych Dieł, otrzymałem zgodę na zrobienie mikrofilmów Pana teczki, oraz na wejście do środka zony. Dokumenty sfotografował wnuk Borysa Pasternaka, do zony pojechałem, po raz wtóry, w białe noce.

Tym razem moją wizytę poprzedził telefon z Moskwy, z sekretariatu generała Striełkowa, Aleksandra Aleksandrowicza. Na stacji w Jercewie czekał na mnie służbowy jeep, a potem wszystko co chciałem. Na drezynie przejechaliśmy wszystkie łag-punkty, prawie pod Kargopol. W tym także łag-punkt sztrafny, gdzie w latach pięćdziesiątych suczyli zakonnych worów. Pokazali mi zonę pracy, kuchnię, stołówkę: spróbowałem bałandy, nie powiem, wkusna. Byłem w izolatorze, w domu swidań, w szpitalu, w baraku chudożestwiennoj diejatelnosti. Rozmawiałem z worami w zakonie i z miełką żulią, z nadziratielami i wolno-najomnymi. Pułkownik Kuzjenkow, naczalnik Uprawlienia, zaprosił mnie na kolację do siebie. Kolacja była wystawna, rzekłbym obfita: łosina duszona w liściach marożki, pstrąg zapiekany w cieście, jarząbki z rusztu, ikra czerwona, ikra czarna, solone mleczaje, marynowane chruszcze. Do tego nastojki: na pączkach brzozy, na złotym korzeniu, na czarnej jagodzie. Pułkownik Kuzjenkow z każdą butelką coraz głośniej mówił, że przyjdzie zonę prywatyzować i robić fuchy na indywidualne zlecenia. Obecnie zeki ciosają domy na dacze i meble na wysoki połysk, a więc pokusa prywatyzacji zony może być nieodparta.

Przypadek pomógł, że spotkałem Franka, jak gdyby inny wariant Pańskiego losu. Franek wojował w lasach na Wileńszczyźnie, pod pseudonimem Żbik. Pojmali go w stodole, gdzie spali po akcji. Do Jercewa przywieźli w czterdziestym trzecim. Odsiedział dziesięć lat, potem został, bo nie miał dokąd wrócić. Trzydzieści lat przepracował w tej samej zonie, w której siedział jako polski dywersant. Przepracował jako prorab. Franek słabo pamięta po polsku, żyje z rosyjską złodziejką, która wyszła na wolność w tym samym czasie co on. Postawili mały domek, tuż pod drewnianym zaborem zony, i żyją w jej cieniu, jak u Pana Boga za piecem.

Sporo by jeszcze można o Jercewie napisać, wszak rzeczy o dzisiejszych zonach, póki co nie ma. Ja pomyślałem o filmie i nawet zgodę uzyskałem na kręcenie wewnątrz zony. Niestety, dwa lata minęły, a ludzie, którzy chcieli to zrobić ze mną, nie potrafili znaleźć pieniędzy.

Ja sam, w międzyczasie, zamieszkałem na Północy, piszę

o Północy, patrzę z Północy na świat. Ostatnio porządkowałem szuflady biurka i znalazłem mikrofilmy Pańskiego dieła. Zacząłem dumać, co z nimi zrobić? Kwartalnik *Karta* wziąłby je z radością, Archiwum Wschodnie pewnie też. A może Pan miałby jakieś konkretne wskazania, może chciałby Pan bym Mu przysłał Jego licznoje dieło? Pozdrawiam serdecznie. Mariusz Wilk".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

JOANNA POLLAKÓWNA

CZAPSKI

Wyd. Krupski i Ska. Warszawa 1993. In-4°. Twarda oprawa z obwolutą, s. 150; 73 reprodukcje w pełnych kolorach. Dzieło dwujęzyczne, w języku polskim i francuskim. W albumie: Esej o malarstwie i życiu Józefa Czapskiego; Biografia i bibliografia; Przypisy; Katalogi wystaw; Recenzje; Artykuły. Przy opisie ponad 90 reprodukowanych prac podano aktualnych właścicieli. Ponadto fragmenty pism J. Czapskiego.

●

Cena egzemplarza wraz z przesyłką:
(pocztą zwykłą) FF 195,00; (pocztą lotniczą) FF 270,00

Zamówienia prosimy kierować na adres:

MacWire Diffusion, 41, rue Saint-Augustin
75002 Paris; fax 33(1) 34 87 80 19

●

Należność prosimy przekazywać czekiem bankowym wystawionym we frankach francuskich na MacWire Diffusion (przy wpłacie w innej walucie prosimy dodać równowartość 40,00 FF na koszta bankowe), przelewem bankowym, lub mandatem pocztowym na konto CCP la Source 36 747 30 M, lub za pośrednictwem CB Visa, MasterCard.

Wiersze

Emil BIELA

ZNAKI CZUŁOŚCI

mądry ksiądz
mało takich
Janusz Pasierb
zapisał w swym dzienniku
miał odwagę grzesznika

iż człowiek w ostatnim roku
swego życia wie już
że naprawdę o tylko czuła jest
ziemia
a groźne bezlitosne jest niebo
tak jak na ostatnim obrazie
van Gogha „Pole zboża
z burzowymi chmurami"

i Kto tu poprzestawiał
znaki czułości

Emil BIELA

Zofia ILIŃSKA

NIEMEN

Siedzę nad Niemnem i patrzę na łodzie
Kraczą koło mnie jakieś wronie dzieci
Tu słowik śpiewa — tu rybitwa leci;
Wiosło rybaka zanurza się w wodzie.

Te same łąki i te same lasy
Co lata temu — nieme zachwycenie
I dziwna smętna żałość i zdumienie.
Co się z tą wodą stało i z tym czasem?

Chlupocze rzeka: zastanów się siostro
Niemunas — Niemen — czy nie wszystko jedno
Płytka — głęboka — wirująca — ostra

Urokliwa — skupiona — deszczów pełna
Łaskocząc swoje gwiazdy i szczupaki
Do morza pędzę, bo mam rozkaz taki.

Zofia ILIŃSKA

Mirosława KRUSZEWSKA

PSIA TĘSKNOTA

psy tęsknią tak jak ludzie
tyle że my lubimy o tym mówić
one wyrażają tęsknotę ciałem
wyrazem oczu
a czasem po prostu milczeniem

albo wyją

jest taka słynna scena w filmie „Mondo Cane"
w której pies czeka na mężczyznę
który poszedł na wojnę

i nigdy z niej nie powrócił
pies czekał na swego pana przez wiele miesięcy
na dworcu na peronie

i potem co się z nim stało?

a czy ja wiem
pewnie zdechł

(Houston, 1994)

STAROŚĆ

starzy ludzie nienawidzą domów starców
wolą umierać we własnym domu
zaczekać na śmierć wśród znanych sprzętów
pamiętają je z dzieciństwa
bujany fotel w którym siadywała matka
i kołysząc maleństwo
nuciła do snu cudną kołysankę
kaflowy piec który pozostawiono
przez pomyłkę albo roztargnienie
francuskie łóżko
wielkie pudło na naparstki i nici
to ostatnie z mahoniu

starość uwielbia siedzieć w oknie
i obserwować zwariowany świat
podgląda przechodniów
przejeżdżające samochody
zdążających do parku przedszkolaków

starość obserwuje ulice
ze stoickim spokojem
w towarzystwie czworonoga
pies zdaje się wyczuwać utrapienia człowieka
u schyłku życia
rozumie go lepiej niż niejeden z domowników
często jest też bezzębny i niedowidzi
jak jego pan
i jednakowo czeka na śmierć

czy pies boi się śmierci?

myślę że on ten problem zostawia człowiekowi
który celuje w rozwiązywaniu zagadnień
indywidualistycznych i małostkowych
problem śmierci jest problemem człowieka
pies nie myśli o śmierci
pies nie jest małostkowy

(Houston, 1994)

Mirosława KRUSZEWSKA

Józef RATAJCZAK

POCHÓD

dla J.M.

Ci Żydzi z pobliskiego getta
wciąż idą pod moim oknem.
Znikły już straże,
pochowano jednego uciekiniera,
nie ma plant
rozjechanych przez czołgi,
a oni ciągle kroczą,
karnie, milcząco,
jak prowadzeni pod bronią,
choć nie ma pociągu na stacji
i świat jak horyzont
się kończy
u wylotu ulicy,
na drodze, co z drogi
wypadła
i biegnie odtąd do góry
wzniesionych pod ścianą
rąk.

Józef RATAJCZAK

Leszek SZARUGA

SŁOWA SPRZED CZASU

Wyżarza się słońce serca, gaśnie
gwiazda bólu. Biel prześwietlona
bielą wściela się w krajobraz, popieleją
lasy, wysychają morza. Nad horyzontem smuga
ognia, krecha płomienia
skreślająca przestrzeń.

Rozgarniasz dłonią piach
pustyni, odsłaniasz pokłady
ksiąg, o których Bóg
zapomniał. Zetlałe stronice
rozwiewają się w świetle i giną, ulatują
słowa sprzed czasu.

Leszek SZARUGA

TOMASZ KRZYWICKI

Przewodnik Literacko-Turystyczny po Nowogródczyźnie, Wilnie i Kownie

Wyd. Two Polskie, Wilno

Przewodnik jest do nabycia u autora:
Tomasz Krzywicki, 02-777 Warszawa, ul. Kulczyńskiego 22 m. 71, tel. 641-04-94.
Cena egz. 50.000 zł, z przesyłką 60.000 zł.

Archiwum Polityczne

Niemcy — krajobraz po bitwie

Strach przed zmianą

Jako ciągły motyw w historii powojennej demokracji niemieckiej powtarzała się niechęć wyborców do zmiany rządu swojego kraju poprzez proces samych wyborów. Obywatele RFNu uparcie zdają się stawiać krzyżyki na listach wyborczych przy nazwie partii rządzącej. Tradycja ta nie uległa zmianie nawet dziś. Nowemu przewodniczącemu socjaldemokratów, Rudolfowi Scharpingowi, tak jak i legendarnemu Willy Brandtowi, nie udało się przejąć drogą wyborów władzy nad Renem. Przypomnijmy sobie, po dwóch nieudanych podejściach w 1962 i w 1965 roku Willy Brandt i jego SPD tylnymi drzwiami dostali się do gabinetu rządu federalnego. Poważna różnica zdań na temat przyszłej polityki ekonomicznej podczas pierwszego głębokiego kryzysu gospodarki niemieckiej doprowadziła w 1965 roku do rozłamu chadecko-liberalnej koalicji. Powrót liberalnego partnera na ławy opozycji ujawnił kryzys wewnątrz chadecji, która od 1949 roku dominowała zachodnioniemiecką scenę polityczną. Następca Konrada Adenauera, kanclerz Ludwig Erhard, ojciec powojennego cudu gospodarczego, podał się do dymisji i umożliwił, rok po wyborach, wielką koalicję pomiędzy CDU a SDP pod przewodnictwem kanclerza Kiesingera. Ówczesny szef frakcji SPD w Bundestagu, Herbert Wehner, widział w wejściu przez tylne drzwi jedyną możliwość zdobycia władzy przez SPD. Jak się okazało miał rację i przy następnych wyborach Willy Brandt startował już jako wicekanclerz. Wygrywając wybory jednocześnie reprezentował kontynuację rządów oraz początek nowej ery w Bonn. Era koalicji

liberalno-socjaldemokratycznej nie zakończyła się również w wyniku wyborów, tylko drogą nowego sojuszu pomiędzy Genscherem a Kohlem.

Ta dygresja historyczna ukazuje myśli, które chodziły po głowach wielu obserwatorów polityki niemieckiej przed wyborami: mimo dramatycznego spadku popularności rządu Kohla, pozostanie on kanclerzem. Niemcy po prostu nie lubią zmian.

Zamknięty rozdział historii

Atmosfera przedwyborcza przypominała połowę lat sześćdziesiątych. Tak jak i wtedy dwie wielkie partie nie wykluczały możliwości stworzenia wielkiej koalicji. Jednakże problemy lat sześćdziesiątych były inne niż dzisiejszego osiemdziesięciomilionowego kolosa w środku Europy. Zarówno tamte lata jak też dzisiejsze kojarzą się z odczuciem końca ery politycznej, strachem przed przyszłością, dyskusją na temat fundamentalnych zmian w polityce gospodarczej i zagranicznej. Podobnie jak trzydzieści lat temu nawet konserwatywna opinia publiczna nie wierzy w potencjał reformatorski koalicji rządzącej. Dzisiejsza socjaldemokracja w porównaniu z partią wokół Brandta nie stanowi jednak prawdziwej alternatywy do CDU.

Osłabiona koalicja

Wszystkie sondaże przed- i powyborcze wykazały, że pierwszy raz od ponad dwunastu lat absolutna większość Niemców życzyła sobie zmiany politycznej. Najbardziej faworyzowaną formą rządów jest wielka koalicja a nie wznowiony tandem Kohl-Kinkel. Wyniki wyborcze potwierdziły upadek popularności gabinetu Kohla.

Fakt, że nie doszło do zmiany zawdzięcza rządząca koalicja wyborcom CDU/CSU, którzy swoim drugim głosem poparli listę FDP i uratowali liberałów przed pięcioprocentową gilotyną. Jak wykazały analizy powyborcze, liberałowie nie mogli liczyć na wystarczające poparcie własnych wyborców. Strach części zwolenników chadecji przed wielką koalicją spowodował strategiczne oddawanie głosów[1].

1. Niemiecka ordynacja wyborcza do Bundestagu przewiduje dla każdego obywatela dwa głosy: pierwszy głos na kandydata partii w okręgu wyborczym a drugi głos na listę partyjną. 59% drugich głosów dla FDP pochodziło tym razem od obywateli, którzy pierwszy głos oddali na kandydata CDU.

W nowym Bundestagu Helmut Kohl nie może liczyć na stabilnego partnera, ponieważ wybory nie rozwiązały problemów FDP. Liberałowie pod przewodnictwem Klausa Kinkela to tylko grupa posłów zapewniająca koalicji większość głosów w Bundestagu, a nie partia z własnymi pomysłami. Wielu konserwatywnych wyborców drażnią wypowiedzi liberałów przypominające ślepą na problemy socjalne retorykę organizacji zrzeszających przemysłowców. Utrata poparcia dla liberałów była widoczna w ostatnich wyborach do landów. Aż w dziewięciu landach FDP znalazła się poza parlamentem. Liberałowie tracą swoją bazę polityczną. Następne cztery lata zapowiadają się jako bardzo ciężkie dla posłów liberalnych, już teraz toczy się dyskusja na temat przyszłości FDP. Tegoroczna kandydatka prezydencka liberałów, pani Hildegard Hamm-Brücher, proponuje uwolnić się od skrajnej zależności od chadecji poprzez powrót na ławy opozycji, tak jak postąpili liberałowie trzydzieści lat temu. Inni, na szczęście dotychczas mała grupa berlińskich elit FDP, faworyzują austriacki model mini-Führera Hajdera — zejście na skrajnie prawicowe skrzydło systemu politycznego. Na razie ambitni przywódcy wokół Kinkela robią wszystko, aby zapewnić sobie miejsce w gabinecie Kohla. Tego rodzaju degradacja FDP do grupy zagnieżdżonych przytulnie w rządzie Kohla karierowiczów jest poważnym zagrożeniem dla niemieckiego liberalizmu.

Socjaldemokraci: W poszukiwaniu starej świadomości

Przywódca socjaldemokratów, Rudolf Scharping, nie stanowił prawdziwej konkurencji dla Helmuta Kohla. Robi on na wielu Niemcach wrażenie solidnego lecz nudnego urzędnika z małego miasteczka. Ten, jak na niemieckie warunki, młody polityk nie budzi zaufania u starszej generacji ani też zachwytu u młodych. Brakuje mu błyskotliwej retoryki poprzedniego kandydata na kanclerza, Oskara Lafontaine, czy też równej Kohlowi pewności siebie jego największego kontrahenta partyjnego, Gerharda Schrödera. Jest on typowym kandydatem kompromisu. Przypomnijmy, że w ubiegłym roku Scharping wygrał plebiscyt na następcę uwikłanego w

prowincjonalne afery przywódcy partii Engholma. SPD darzyła większym zaufaniem bezbarwnego Scharpinga niż aroganckiego Schrödera, chwalącego się najlepszymi kontaktami z koncernami niemieckimi. Przystojny, telegeniczny Schröder miałby prawdopodobnie większe szanse jako kandydat SDP, jednak wybór Scharpinga okazał się nie tak fatalnym, jak zapowiadały *mass media*. Scharping stał się pierwszym przywódcą socjaldemokratów, któremu po dwunastu latach bałaganu udało się zaprowadzić dyscyplinę w partii przed nadchodzącymi wyborami. Zdając sobie sprawę z trudności związanych z udźwignięciem ciężaru kandydatury, przekonał swoich największych kontrahentów a równocześnie najzdolniejszych polityków, Lafontaine'a i Schrödera, do stworzenia skutecznego trio przeciwko Kohlowi, czym wykazał swoją inteligencję polityczną. Dzieląc władzę ze swoimi konkurentami zmusił ich do dyscypliny. Socjaldemokratyczne trio stało się więc ciekawą alternatywą do kultu jednego przywódcy. *Mass media* zrewidowały też ocenę Scharpinga pod koniec kampanii wyborczej. Były pod wrażeniem jego dociekliwości oraz pracowitości, które wykazał podczas swojej długiej podróży pociągami przez prowincję niemiecką, w poszukiwaniu kontaktu z wyborcami.

Mimo to nie udało mu się uzyskać wystarczającego poparcia wyborców. Szczególnie w nowych landach kampania wyborcza Scharpinga nie przyniosła oczekiwanych efektów, skutkiem czego SPD zabrakło głosów na wschodzie. Część młodzieży była bardziej zafascynowana elokwentnym przywódcą postkomunistów, Gregorem Gysim, a inni, którzy stracili na zjednoczeniu, nie popierają byłych dysydentów, stanowiących część obecnej wschodnioniemieckiej SPD. Sfrustrowani wschodni Niemcy albo nie poszli na wybory albo popierali populistycznych postkomunistów, a niektórzy nadal wierzą w zapewniającego wieczny dobrobyt Świętego Mikołaja Kohla. W przeciwieństwie do zachodnioniemieckiej części partii SPD pozostała mała partia na wschodzie, licząca cztery razy mniej członków co byli komuniści, których uważa się teraz za lokalną siłę, tak jak CSU w Bawarii. Innym wytłumaczeniem problemów SPD jest atrakcyjność zielonych u młodzieży i u lewicowych intelektualistów, których zaangażowanie doprowadziło Willy'ego Brandta pod koniec lat sześćdziesiątych do władzy. Skostniała oraz personalnie wycieńczona SPD straciła pod koniec lat siedemdziesiątych część poparcia młodzieży i intelektualistów. Powstała partia zielonych, która mimo swej porażki w pierwszych wyborach po

zjednoczeniu, stała się integralną częścią systemu partyjnego Niemiec.

Ważny partner

W ostatnich czterech latach SDP stała się wiodącą partią w niemalże wszystkich landach. Wśród szesnastu landów tylko dwa są rządzone bez udziału SDP. Jedynie w Bawarii oraz Saksonii chadecja rządzi absolutną większością głosów. Klęska polityczna chadecji na płaszczyźnie regionalnej doprowadziła do ustawodawczego patu, ponieważ socjaldemokraci od dłuższego czasu dominują w zgromadzeniu landów, Bundesracie, przez które przechodzą wszystkie ustawy rządzącej koalicji. Już przed ostatnimi wyborami komisja mediacyjna pomiędzy Bundesratem a koalicją rządową była właściwym centrum władzy w Niemczech. Wszystkie ważniejsze ustawy reformatorskie powstały pod wpływem socjaldemokracji. W ustawodawstwie wielka koalicja stała się rzeczywistością. Wszystko wskazuje na to, że projekty ustawodawcze Kohla nadal będą zależeć od poparcia socjaldemokratycznych przywódców.

Jeden z amerykańskich ekspertów od spraw niemieckich, dyrektor *American Institute for Contemporary German Studies* w Washingtonie, Gerald Livingston, nie tylko wyraził zadowolenie z wyników wyborów w Niemczech, ale nawet radził Amerykanom, aby dokładniej zapoznali się z SPD: „Washington cieszy się z tego, że przyjaciel Billa Clintona, Helmut Kohl pozostanie kanclerzem, (...) równocześnie ubolewając nad faktem osłabienia rządzącej koalicji i przez to zaistniałych trudności w rządzeniu. Rząd w Washingtonie musi się bezzwłocznie zapoznać z polityką SPD, gdyż wybory wyniosły na światło dzienne oczywisty fakt: prawdopodobnie już niedługo SPD będzie rządzić Niemcami — najpóźniej w 1998 roku".

W polityce zagranicznej współpraca chadecji z SPD byłaby raczej mało problematyczna. Podobnie jak i Helmut Kohl, Rudolf Scharping nie widzi dla Niemców alternatywy do partnerstwa atlantyckiego czy dla integracji europejskiej. Z tego powodu polityka zagraniczna tym razem nie odgrywała znaczącej roli w kampanii wyborczej. Stosunek Polaków do SPD nadal jest chłodny. Nad Wisłą dobrze pamięta się spotkanie Herberta Wehnera z generałem Jaruzelskim podczas stanu wojennego oraz brak wyraźnego poparcia dla antykomunistycznej opozycji. Obok swoich podróży do Stanów

Zjednoczonych i do Francji wizyta Rudolfa Scharpinga w Warszawie w maju bieżącego roku miała pobudzić zaufanie Polaków do polityki socjaldemokratów. Na pierwszy rzut oka wypowiedzi nowego przywódcy nie różniły się od programu rządzącej koalicji, jednak w przeciwieństwie do ministra spraw zagranicznych, Klausa Kinkela, który wypowiadał się przeciwko przyspieszonej i izolującej Rosję integracji Polski do NATO, Rudolf Scharping podkreślił, iż członkostwo Polski w Sojuszu Północnoatlantyckim jest ważniejsze od hegemonistycznych interesów Moskwy.

Polacy z wielką niechęcią widzieliby udział zielonych w rządzie nad Renem, co wydaje się zrozumiałe patrząc na program wyborczy tej partii, w którym żąda się zlikwidowania NATO i Bundeswehry oraz zastąpienia funkcji NATO rozbudowaną KBWE, co nie różni się od pozycji dyplomacji rosyjskiej. Partia zielonych jest jednak bardzo złożonym zjawiskiem, wielka gwiazda tej partii, nowy przewodniczący frakcji, Joschka Fischer, określił zawarte idee w programie zielonych jako nierealistyczne i nawet głupie. Dla potencjalnych ministrów zielonych nie ma alternatywy do NATO i Unii Europejskiej, a bezpieczeństwo Polski byłoby także w interesie rządu z udziałem zielonych.

Spuścizna Kohla

Potwierdzenie koalicji chadecko-liberalnej jest w dużej mierze osobistą zasługą kanclerza Kohla. W kampanii wyborczej CDU program partii odgrywał drugorzędną rolę. Partia starała się pobudzić i wykorzystać instynkt niechęci Niemców do nagłych zmian. Helmut Kohl przedstawiał kontynuację i doświadczenie, którego brakowało jego przeciwnikowi. Głównym plakatem wyborczym CDU był wizerunek Kohla w tłumie ludzi, bez tekstu. Cały program partii był zredukowany do postaci kanclerza, tak, jakby toczyły się bezpośrednie wybory na prezydenta czy kanclerza. W Berlinie młodzież przyklejała na plakatach Kohla naklejki z napisem *United Colors of Bennetton*. W ten sposób podkreślano płytkość wypowiedzi CDU porównywalnej z komercyjną reklamą dla odzieży. Przypominając szokującą kampanię reklamową włoskiego koncernu odzieżowego zasugerowano, iż kampania wyborcza Kohla jest także skandaliczną sensacją.

W październikowych wyborach Helmut Kohl zapewnił sobie miejsce w historii Niemiec obok swojego idola Konrada

Adenauera. Za dwa lata wyprzedzi nawet swojego ojca politycznego jako najdłużej urzędujący kanclerz RFNu. Będzie to bardzo ważny moment w życiu tego historyka, któremu delektowanie się władzą sprawia podobnie wielką przyjemność jak jego politycznemu przyjacielowi, niekoronowanemu cesarzowi Francji, François Mitterrandowi. Łączy ich nie tylko wzajemna sympatia ale i podziw Kohla dla makiawelicznego instynktu władzy francuskiego przywódcy.

Do historii wejdzie Helmut Kohl nie tylko jako kanclerz zjednoczenia lecz także jako polityk, który w inny sposób niż Willy Brandt próbował podbudować niemiecką dumę narodową oraz wprowadzić Republikę Federalną jako zaakceptowanego przez mocarstwa partnera na arenie międzynarodowej. Nie zawsze polityka jego była zręczna, nie zawsze wybierał właściwe symbole dla swoich narodowych inscenizacji. Warto przypomnieć tutaj politykę rządu niemieckiego w konflikcie jugosłowiańskim, wizytę na cmentarzu w Bittburgu z prezydentem Reaganem, czy też udział Kohla przy przeprowadzce szczątków króla Prus, Fryderyka II, do Poczdamu. Za każdym razem można było podejrzewać Helmuta Kohla o nową, jeszcze mniej krytyczną interpretację historii Niemiec. Mimo problematycznego stosunku Kohla do militarnych tradycji Niemiec był i jest on inteligentnym politykiem, konsekwentnie kontynuującym politykę pojednania z sąsiednimi narodami. Mimo eurosceptyzmu swoich konserwatywnych wyborców w dalszym ciągu dąży do pogłębienia i poszerzenia Unii Europejskiej.

Historyczne znaczenie zapewnił sobie Kohl jako ojciec zjednoczenia. Udało mu się zręcznie wykorzystać dogodny moment upadku Bloku Sowieckiego dla pojednania narodu. Tak naprawdę, dla Helmuta Kohla podobnie jak i dla innych polityków zachodnioeuropejskich, szansa zjednoczenia po upadku muru berlińskiego przyszła nieoczekiwanie. Jego stosunek do NRD był przez wiele lat ograniczony do kontaktów z komunistycznymi elitami, czego owocem była pierwsza wizyta Ericha Honeckera w 1987 roku nad Renem.

Helmut Kohl sprytnie wykorzystał swoje stosunki z Michaiłem Gorbaczowem, likwidując obawy Moskwy przed zjednoczonymi Niemcami. Priorytetem jego polityki wschodniej były i są przyjazne stosunki z władzami w Moskwie. Jest to nieprzyjemna prawda dla Polaków i Czechów, którzy widzą w nim bezkompromisowego przeciwnika nowej polityki zagranicznej imperium rosyjskiego. Przyjaciel Gorbaczowa i Jelcyna popiera swoją polityką centralizm rosyjski widząc w

nim jedyną realistyczną alternatywę do chaotycznego rozpadu tego nuklearnego kolosa, tym samym powtarza on politykę USA.

Mądrym krokiem Kohla w drodze do zjednoczenia Niemiec była uparta kontynuacja integracji Niemiec w Sojuszu Atlantyckim. Sowieckie plany neutralności Niemiec — które także krążyły w głowach niemieckich polityków — osłabiłyby NATO, co niekorzystnie wpłynęłoby na bezpieczeństwo krajów środkowoeuropejskich. Myślę nawet, że Moskwa nie pozwoliłaby dzisiaj na warunki zjednoczenia sprzed czterech lat, zatem przyspieszenie tempa zjednoczenia okazało się wielkim politycznym osiągnięciem Kohla.

Zwycięstwo swojej partii w pierwszych wyborach po zjednoczeniu zawdzięczał Helmut Kohl nie tylko sukcesom w polityce zagranicznej. Poprzez zjednoczenie zachodnioniemieckiej chadecji ze wschodnią CDU, która przez czterdzieści lat była kolaborantem dyktatury komunistycznej, Helmut Kohl zapewnił sobie bazę organizacyjną oraz kandydatów w nowych landach. W populistyczny sposób, przypominający nieraz kampanię wyborczą Lecha Wałęsy, obiecywał wszystkim Niemcom, że zjednoczenie nie pogorszy poziomu życia żadnego obywatela. A już wtedy wiadomo było, że nikt nie utrzyma wysoko subwencjonowanego poziomu zatrudnienia we wschodnich Niemczech, czy też że zjednoczenie może być sfinansowane tylko i wyłącznie poprzez bolesne podwyżki podatków. Nierealistyczne obietnice Helmuta Kohla w dużej mierze są odpowiedzialne za pogorszenie atmosfery politycznej we wschodnich Niemczech.

Swoją pozycję w partii zawdzięcza Kohl bezkompromisowej walce przeciwko konkurentom z własnych szeregów. Kohl był i jest wyczulony na inteligentnych, krytycznych polityków chadecji, którzy mogliby zagrozić jego władzy. Otoczenie Kohla składa się przede wszystkim z posłusznych wasali. Przy cotygodniowych spotkaniach gabinetu wszelkie dyskusje tłamszone są w zalążku. W ostatnim czasie rośnie w szeregach partii krytyka wobec Kohla. Część partii obawia się, iż kontynuacja dotychczasowej polityki posłuszeństwa wobec Kohla może w 1998 roku przynieść ostateczną klęskę dla CDU. Po październikowych wyborach prezydium organizacji młodzieżowej CDU zaznaczyło, że podczas panowania Kohla chadecja przekształciła się w centralnie sterowaną organizację i jest „programowo i personalnie wycieńczona".

Ciężar reform

Dyskusje wokół potrzeby nowej wielkiej koalicji wywodzą się — tak jak w połowie lat sześćdziesiątych z przekonania Niemców, iż kontynuacja dotychczasowej polityki nie rozwiąże strukturalnych problemów gospodarki kraju. Zagrożony jest nie tylko system socjalny, ale także potencjał gospodarczy Niemiec.

Dwanaście lat rządów Kohla nie wyróżnia się tylko sukcesami w polityce zagranicznej. Podobnie jak podczas ośmiu lat rządów Ronalda Reagana w USA, okres rządów Kohla zdemontował socjalny system państwa niemieckiego. Polityka rządu niemieckiego będzie w najbliższej przyszłości ograniczona przez dwubilionowe zadłużenie państwa. Tutaj trzeba zaznaczyć, że nie tylko koszty zjednoczenia obciążają dramatycznie budżet państwa. W bieżącym roku państwo wydawało co piątą markę na spłacenie odsetków za kredyty. Rząd Kohla nie dał sobie rady z rosnącym bezrobociem, które osiągnęło swój punkt kulminacyjny ilością czterech milionów bezrobotnych. Aż podwójnie wzrosła ilość ludzi zależnych od zasiłku socjalnego. Zaniedbano państwowe programy budownictwa socjalnego. W Niemczech brakuje dwóch milionów mieszkań. Rosnące w rekordowym tempie czynsze obciążają budżety niemieckich rodzin. Z braku środków finansowych zamyka się szpitale, likwiduje biblioteki oraz całe wydziały na uniwersytetach, zamyka nawet słynne instytucje kulturalne, zmniejsza ilość urzędników państwowych. Nawet w stolicy bankowej Europy, we Frankfurcie nad Menem, urząd miejski nie dysponował w tym roku pieniędzmi na remont dróg publicznych. W Berlinie miasto rezygnuje z napraw sieci komunikacji publicznej. Oczywiście, dla Polaka albo obywatela z innego mniej zamożnego państwa problemy niemieckie wydają się drobne, jeśli porównuje się je z własną walką o byt. A jednak, mimo stosunkowo wysokiego poziomu życia, zmienia się świadomość Niemców: dominują lęk przed przyszłością i poczucie końca tłustych lat dobrobytu. Nikt już nie wmawia sobie, że istniejące problemy są do rozwiązania w krótkim czasie. Życie staje się trudniejsze, atmosfera chłodna a nawet agresywna. Powojenny model niemieckiego kapitalizmu z socjalną twarzą jest zagrożony, a zatem i stabilność demokracji europejskiego kolosa. Sąsiedzi Niemców muszą liczyć się z partnerem, którego coraz bardziej będą pochłaniać wewnętrzne problemy.

Kryzys niemiecki fundamentalnie różni się na przykład od kryzysu Stanów Zjednoczonych. W przeciwieństwie do USA mamy w Niemczech do czynienia z kryzysem podwójnym: państwa i przemysłu. Zagrożona jest konkurencyjność produktów niemieckich na rynku światowym. Problemy te budzą wiele emocji. W mediach toczy się dyskusja na temat atrakcyjności kraju jako miejsca produkcji w przyszłości (*Standortdiskussion*).

Co prawda, według statystyk Niemcy nadal znajdują się w czołówce największych eksporterów. Zarysowuje się jednak wycofywanie się Niemców ze światowego handlu na kontynent europejski. Trzy czwarte eksportu niemieckiego pozostało w Europie Zachodniej. Eksport na największy rynek świata — USA — stanowi jedynie 7%, a na prężnie rozwijający się rynek Dalekiego Wschodu — jedynie 6% kwoty całości eksportu niemieckiego. Z potęgi światowej Niemcy przekształcili się w europejską potęgę przemysłową, tracącą swoje rynki zbytu poza rynkiem Unii Europejskiej.

Zjednoczenie odwróciło uwagę Niemców od klęski niemieckiego przemysłu na rynku światowym. Światowa recesja w 1992 roku odsłoniła jednak brutalnie sktrukturalne deficyty Niemców. W ubiegłym roku deficyt koncernu Volkswagena wynosił 1,9 miliarda marek. W tak znacznej dla eksportu niemieckiego dziedzinie produkcji maszyn między 1991 a 1993 rokiem obrót spadł o jedną piątą, co spowodowało w Niemczech zachodnich likwidację 200 000 miejsc pracy w tej branży, a we wschodnich landach zredukowano nawet dwa razy tyle miejsc pracy. Katastrofalne wręcz trudności na rynku światowym przyczyniły się do redukcji produkcji przemysłu obrabiarkowego aż o czterdzieści procent w ciągu trzech lat.

Problemy na rynku światowym uświadomiły Niemcom, że powodem kryzysu jest nie tylko panująca na całym świecie recesja, po której upływie wszystko ma się znormalizować, lecz także strukturalne deficyty przemysłu niemieckiego. Jakie są przyczyny tych problemów? Przedsiębiorcy oraz rząd niemiecki widzą główne przeszkody dla rozwoju przemysłu niemieckiego w wysokich kosztach produkcji, w restrykcjach prawa niemieckiego oraz dużym obciążeniu podatkowym firm. W Niemczech płaci się najwyższe wynagrodzenia przy najkrótszym czasie pracy, a na dodatek niemieckie przedsiębiorstwa obciążone są najwyższymi podatkami.

Jednak nie jest to cała prawda. W porównaniu z konkurentami znad Atlantyku, wielkim problemem niemieckich

firm jest ich niska produktywność spowodowana przestarzałymi metodami organizacji pracy. Ukształtowana w japońskim przemyśle samochodowym tak zwana metoda *smukłej produkcji* zrewolucjonizowała system masowej produkcji Forda. Przeciętna japońska fabryka samochodów potrzebuje połowę czasu na wyprodukowanie samochodu (porównanie dotyczy samochodów podobnej jakości), a w trakcie produkcji w samochodach japońskich występuje aż o 60% mniej błędów. W przeciwieństwie do systemu Forda pracownicy firm japońskich składają się z wszechstronnie wykwalifikowanych kolektywów o wielkiej motywacji do pracy. Organizują one samodzielnie swoją pracę i przejmują szeroki zakres odpowiedzialności w trakcie montażu[2].

Innym problemem strukturalnym Niemców jest ich opóźnienie w wielu dziedzinach produkcyjnych dwudziestego pierwszego wieku. Już na początku lat osiemdziesiątych amerykański ekonomista, Bruce Nussbaum, zauważył zaległości w przeprowadzeniu drugiej rewolucji przemysłowej: „Może Niemcy nie zdają sobie z tego sprawy, ale ich przemysłowa baza się rozpada. W ciągu ostatnich stu lat Niemcy stworzyli najbardziej postępowe gałęzie przemysłu w dziedzinie chemii, elektrotechniki, w budownictwie samochodowym oraz maszynowym. Dzisiaj jest to jednak naród, który nie daje sobie rady z rozwojem od mechaniki do elektroniki czy też od chemii do biotechniki[3]".

Niemiecki przemysł samochodowy i chemiczny coraz bardziej wycofuje się z rynku światowego, ponieważ nowi konkurenci z prężnie rozwijających się krajów Azji i Ameryki Łacińskiej osiągnęli poziom jakości niemieckich produktów i na dodatek sprzedają je poniżej niemieckich cen.

Bolesne zabiegi chirurgiczne

Niemieckie firmy zareagowały na zmiany masywną reformą struktur produkcyjnych oraz przeniesieniem części produkcji do krajów z tańszą siłą roboczą. Wielką szansę dla

2. James Womack, Daniel Jones, Daniel Roos, *The Machine That Changed the World*, New York: Rawson Associates 1990. Ta książka opisuje różnice pomiędzy europejskim a japońskim systemem produkcji. Po ukazaniu się uzyskała miano standardowego dzieła europejskich menedżerów.

3. Bruce Nussbaum, *The World After Oil*, New York: Simon and Schuster 1983.

utrzymania się na rynku światowym widzą niemieckie firmy w inwestycjach w krajach Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie czeka na nich masa dobrze wykwalifikowanych, wysoko umotywowanych sił roboczych. Przedstawiciele koncernów niemieckich są zatem partnerami Polski na drodze do Unii Europejskiej.

Restrukturyzacja przemysłu niemieckiego przynosi pierwsze pozytywne wyniki. Niektóre firmy podwyższyły swoją produktywność o 20 do 30 %. Drugą stroną przekształceń jest niestety szeroka likwidacja miejsc pracy. Niemieccy przedstawiciele amerykańskiej firmy konsultingowej, McKinsey, obliczyli, iż jeśli Niemcy osiągną produktywność najlepszych firm światowych, to w dziedzinie budowy maszyn niemieckie firmy utrzymają swój poziom produkcji zatrudniając o 40% mniej pracowników, w produkcji samochodów aż o 45 %, a w przemyśle chemicznym o 30 % mniej pracowników. Swój poziom produkcji mógłby niemiecki przemysł utrzymać zatrudniając jedynie 24 miliony ludzi, co by teoretycznie podniosło ilość bezrobotnych do 38 %.

Te teoretyczne obliczenia są potwierdzane przez prognozy państwowych instytutów ekonomicznych, które liczą się z dalszym pogorszeniem sytuacji na rynku pracy nawet przy korzystnym rozwoju gospodarki niemieckiej. Prognoza Instytutu Badań Ekonomicznych we wschodnioniemieckim Halle oczekuje w ciągu następnych piętnastu lat podwyższenia ilości osób bez stałej pracy w nowych landach do 33 %. Są to ogromne problemy socjalne, które muszą mieć wpływ na stosunek Niemców do swoich wschodnich sąsiadów. Naturalną reakcją byłyby silne protesty związków zawodowych oraz polityków socjalnych we wszystkich partiach niemieckich przeciwko integracji krajów Grupy Wyszehradzkiej do Unii Europejskiej.

Niemcy w Europie

Szybkie przyjęcie Polski do Unii Europejskiej może być zagrożone przez dwa czynniki: problemy socjalne Niemiec oraz preferowanie pogłębiania struktur Unii Europejskiej, stwarzającej możliwość polepszenia pozycji Europy w walce handlowej z Ameryką i Azją. Priorytetem polityki niemieckiej będzie przyspieszenie integracji poprzez realizację unii monetarnej w tak zwanym trzonie Europy, to znaczy w Niemczech, Francji, krajach Beneluksu oraz krajach skandynawskich i Austrii. Zwolennikiem tego konceptu pogłębienia przy

udziale najbogatszych członków Unii jest następca tronu Kohla, przewodniczący frakcji CDU/CSU, Wolfgang Schäuble. Jeśli Kohl dotrzyma słowa i tak jak zapowiedział przed wyborami nie wystartuje za cztery lata jako kandydat na kanclerza, to zastąpi go Schäuble. Szef frakcji od dłuższego już czasu systematycznie przygotowuje się do przejęcia władzy.

Droga krajów wyszehradzkich a nawet południowoeuropejskich członków Unii do integracji gospodarczej będzie długa i żmudna. W oczach zwolenników nierównej integracji model ten pomoże rozwinąć się Niemcom w gałęziach przemysłowych dwudziestego pierwszego wieku, co dopiero stworzy miejsce na import produktów agrarnych, wyrobów włókienniczych, samochodów małolitrażowych, to znaczy produktów z tradycyjnych gałęzi przemysłu krajów wschodnioeuropejskich. Ta argumentacja ujawnia, iż z punktu widzenia polityki członków Unii Europejskiej nie tylko szybkie zniesienie barier handlowych, ale też szybki rozwój technologiczny krajów poza murami twierdzy Unii jest nie do zaakceptowania. Jedyna dla Polski w najbliższym czasie możliwa opcja, to uprzywilejowana pozycja na podzamczu twierdzy europejskiej. Wydaje mi się, że mimo wszelkich obietnic polityków niemieckich jest to realistyczna prognoza na następną dekadę. Nie znaczy to, że Niemcy i inne kraje nie chcą zabezpieczyć procesu demokratyzacji swoich sąsiadów lub zdecydowanie nie chcą dopuścić Polski do Unii Europejskiej. W najbliższym czasie Polska powinna skoncentrować swoje siły na szybkim wstąpieniu do NATO. Jest to prawdopodobnie najkrótsza i najłatwiejsza do zaakceptowania przez Niemców oraz innych aliantów droga na Zachód. W dziedzinie polityki wojskowej Niemcy i Polacy stali się prawdziwymi partnerami. Przemysł niemiecki najchętniej widziałby tę zbieżność interesów także w dziedzinie polityki ekonomicznej, ale tak naprawdę politycy niemieccy obawiają się skutków otwarcia na Wschód.

Berlin, 5 listopada 1994 r.

Basil KERSKI

Sprawy i troski

Czechizacja Zaolzia

Przypominam sobie, jak swego czasu znaczne poruszenie na Zaolziu (konkretnie na łamach miesięcznika *Zwrot*) wywołał umieszczony w *Kulturze* (Nr 6/1993) artykuł o Zaolziu pióra J. Rusnoka. Trzon krytyki sprowadzał się tu do zarzutu nieuzasadnionego optymizmu autora odnośnie perspektywy „odzyskania przez żywioł polski dominującej pozycji na Zaolziu. W istniejących warunkach, w obliczu ponurej rzeczywistości, są to tylko czcze złudzenia, zatrata poczucia realności". Przy okazji dostało się też polskim organizacjom przedstawicielskim za marne wyniki w obronie interesów polskich za ostatnie trzy lata, szczególnie w zakresie wykorzystywania europejskich konwencji o ochronie praw mniejszości.

Tą „ponurą rzeczywistością" w ocenach pesymistów jest oczywiście proces postępującej czechizacji, rzucający się w oczy nawet przy powierzchownej obserwacji życia. Przy każdej kolejnej wizycie stron rodzinnych zauważam coraz mniej napisów polskich na szyldach sklepów (chociaż oficjalnie nadal obowiązuje dwujęzyczność), znikają szpalty polskojęzyczne z miejscowych gazet, coraz trudniej z mową polską w miejscowych urzędach. Są to tylko najbardziej widoczne, jaskrawe objawy systematycznego, bezwzględnego wyciskania polskości na tych terenach. W początkowym okresie po upadku komunizmu w Czechosłowacji wszystko wyglądało inaczej — żywiołowe odradzanie się licznych organizacji polskich rokowało ogólną poprawę bytu narodowego Polaków, zwiększenie, a nie zmniejszenie stanu posiadania ludności polskiej na Zaolziu. Tymczasem bilans ostatnich 3 lat nie może napawać otuchą. Z braku odpowiednich funduszów polskie pisma i wydawnictwa prowadzą desperacką walkę o przeżycie,

w coraz trudniejszej sytuacji znajdują się polskie organizacje harcerskie i młodzieżowe, znikają polskie szkoły. Głównym źródłem problemu jest tu sprawa odzyskania przez polskie organizacje na Zaolziu majątków po wojnie bezprawnie zagrabionych przez czeskie władze komunistyczne. Jak to określił Wł. Josiek, Prezes Macierzy Szkolnej w Rep. Czeskiej, „w trudnym okresie przeobrażeń gospodarczych na terenie Śląska Cieszyńskiego, sprawa odzyskania przynajmniej części zabranego majątku staje się coraz bardziej sprawą przeżycia szkolnictwa polskiego, a więc polskości na Zaolziu". Jak więc wygląda sytuacja na tym bardzo ważnym, można by rzec krytycznym, polu walki?[1]

W charakterze politycznym sprawą odzyskania majątków zajmuje się Rada Polaków (organ wykonawczy Kongresu Polaków w Republice Czeskiej), używając wszelkich możliwych środków politycznych w negocjacjach z władzami czeskimi. Wg. wyjaśnienia RP, największym problemem jest tu sprawa tzw. „rehabilitacji" organizacji polskich, którym po wojnie (właśnie pod pretekstem konfiskaty majątku) przyszyto naklejkę „faszyzujących". Potrzebę „rehabilitacji" władze czeskie nadal stawiają jako wstępny warunek przed formalnym domaganiem się zwrotu majątków przez prawowitych spadkobierców. Pomimo licznych interpelacji, memoriałów itp. u najwyższych czynników rządowych w Pradze (łącznie Premiera, Prezydenta i Trybunału Konstytucyjnego), sprawa tzw. „rehabilitacji" nie rusza z miejsca. W międzyczasie największa organizacja polska na Zaolziu PZKO (Polski Związek Kulturalno-Oświatowy) sporządziła i skierowała na ręce Ministerstwa Finansów w Pradze szczegółową dokumentację odnośnie majątków polskich na Zaolziu, łącznie z szacunkową wyceną wartości. Dokumentacja PZKO dotyczy nie tylko majątków publicznych (szkoły, domy polskie itd), lecz również majątków osób prywatnych, które po wojnie zostały w bezprawny sposób zmuszone do ich przekazania państwu lub niepolskim organizacjom.

Niezależnie od PZKO, usilne starania o odzyskanie praw własności do polskich szkół czyni już od kilku lat polska Macierz Szkolna w RCz. Opracowany przez Macierz projekt „Ustawy o Restytucji Majątkowej Macierzy Szkolnej w Cze-

1. Opieram się tu głównie na materiałach opublikowanych w przeciągu 1993/94 na łamach miesięcznika *Zwrot*, w których przedstawiciele głównych organizacji polskich informowali o konkretnych działaniach w tej sprawie.

chosłowacji" (z odpowiednim spisem majątków z numerami inwentaryzacji pod jakimi zostały zagrabione) został przekazany w ub. r. do Czeskiego Parlamentu w Pradze. Projekt ten został później dodatkowo uzupełniony i przeredagowany w związku z aroganckimi uwagami Premiera Klausa, iż chodzi tu o majątki poniemieckie. Pomimo nieustannego przedkładania dokumentacji, stwierdzających zasadność prawną polskich roszczeń, wszystkie starania Polaków napotykają na żelazną zaporę ze strony urzędów gminnych i miejskich, wymawiających się brakiem odpowiedniej ustawy, grających na zwłokę i czas.

Byłoby jednak błędem sądzić, iż chodzi tu tylko o trudności i szykany ze strony władz lokalnych, przy biernej postawie Pragi. O tym, że bezwzględna czechizacja Zaolzia spotyka się z pełną aprobatą rządu czeskiego, świadczą najdobitniej drakońskie zarządzenia Pragi z początku br. o zmianach w *sposobie dotacji* mniejszości narodowościowych. Powołując się na potrzebę dostosowania do warunków gospodarki rynkowej, odstąpiono od dotowania mniejszości narodowościowych jako całości, a wprowadzono metodę finansowania wyłącznie poszczególnych przedsięwzięć kulturalno-oświatowych. Zmiany tej dokonano nagle, bez konsultacji z organizacjami polskimi, w wyniku czego instytucje polskie stanęły wobec konieczności znacznego ograniczenia działalności, bądź też nawet całkowitej likwidacji. Co więcej, zniesienie dotacji może okazać się ostatecznym ciosem w walce o odzyskanie majątków, gdyż całkowicie uniemożliwia opcję ewentualnego wykupienia utraconego majątku — a jak dotąd Polacy nie otrzymali propozycji kupna za przysłowiową, „symboliczną koronę".

Perfidne pociągnięcie Pragi napiętnował w Sejmie RP poseł Tadeusz Zieliński (z ramienia UD, Polsko-Czeska Grupa Parlamentarna), oskarżając Pragę o naruszanie zasad i zobowiązań wypływających z dwustronnego traktatu między Polską a Czechami o mniejszościach narodowościowych. Wezwał on rząd polski by wywarł odpowiednie presje na Pragę w kierunku zniesienia tego zarządzenia, jak również zniesienia wysokiego progu wyborczego w parlamencie Czech dla mniejszości narodowościowych (podobnie jak to uczynił Sejm RP)[2].

2. Wystąpienie i oświadczenie posła T. Zielińskiego podczas 18-go posiedzenia Sejmu RP dn. 22.4.1994, którego obszerne fragmenty zostały umieszczone na łamach *Zwrotu* (Nr 8/1994).

Z przeprowadzonych przeze mnie sondaży i rozmów na Zaolziu pod koniec października br. wynika, iż w zasadzie sprawy tak dotacji jak i odzyskania majątków nie ruszyły z miejsca[3]. Wg wyjaśnień pani Elżbiety Stróżczyk, teoretycznie dotacje jako takie nie zostały zawieszone, a więc nie istnieją dostateczne podstawy dla ostrzejszych protestów wobec rządu RCz. Chodzi tu więc o sprytny manewr polityczny Pragi, celem osłabienia działalności czołowych organizacji polskich na Zaolziu, w pierwszym rzędzie PZKO. Politycznie Warszawa może więc niewiele zdziałać, natomiast znaczną rolę zaczyna odgrywać pomoc finansowa Polski (w ramach Wspólnoty Polskiej), uzupełniająca luki w czeskich obcięciach. Np. tylko w przeciągu br. wyasygnowano dla Zaolzia sumę ok. 1 miliarda złotych (ok. 3 mil. koron cz.), głównie na potrzeby szkolnictwa.

Poniekąd osobnym zagadnieniem jest sprawa odzyskania polskich majątków, która wymaga rzetelnego przemyślenia, rozwagi i odpowiedniego przygotowania ze strony Polaków. Na razie Praga robi trudności, lecz można się spodziewać, iż w końcu zdecyduje się na pozytywne załatwienie tej sprawy. Pytaniem jest, czy w nowej i trudnej sytuacji wolnorynkowej Polacy są rzeczywiście gotowi do przejęcia majątków (szkoły, domy polskie, instytucje itp) oraz efektywnego zarządzania nimi. Innymi słowy, nader ważną sprawą staje się tutaj przygotowanie odpowiednich kadr menedżerskich i kierowniczych, zdolnych do przekształcenia ich w prosperujące, a nie deficytowe instytucje. W najbliższej przyszłości dziedzina aktywności gospodarczej może stać się ważnym (chociaż zapewne nie jedynym) polem walki z postępującą czechizacją, o utrzymanie polskości na Zaolziu. Dochodzi do tego również pytanie, czy polskie organizacje na Zaolziu będą w stanie zaniechać wewnętrznych sporów i niesnasek, oraz wytworzyć jednolitą i zwartą grupę w obronie swych interesów. W normalnych warunkach zróżnicowanie i pluralizm polityczny jest zjawiskiem pozytywnym i jak najbardziej pożądanym, lecz

3. Za obszerne i szczegółowe wyjaśnienia w tej sprawie, udzielone mi w redakcji *Zwrotu* w Cz. Cieszynie, jestem zobowiązany pani mgr Elżbiecie Stróżczyk, oraz panu Red. Fr. Bałonowi. Wyjaśnienia pani Stróżczyk są szczególnie miarodajne, z tytułu jej długoletniego zaangażowania w problemach Zaolzia z ramienia Wspólnoty Polskiej w Warszawie. Cenne uwagi i opinie o tych sprawach zaczerpnąłem również w rozmowach z mgr Kazimierzem Santariusem, redaktorem tygodnika *Slezsko-Śląsk*, oraz kierownikiem Oddziału Literatury Polskiej Biblioteki Regionalnej w Karwinie, panią mgr Heleną Legowicz.

zbędnym i niebezpiecznym luksusem w krytycznym okresie walki o przetrwanie w obliczu wprawdzie nie tak jawnej, lecz niewątpliwej determinacji Pragi w kierunku ostatecznej czechizacji Zaolzia.

Janusz MONDRY

Krew i żółć

Sześćdziesiąt lat temu wieś należała do Niemiec i nazywała się Gross Debern. Mieszkańcy posługiwali się obowiązującym językiem, ale czytali Mickiewicza w oryginale. Dostęp do literatury polskiej był jedną z podstawowych potrzeb. Książki sprowadzano z Warszawy i Krakowa staraniem mniejszościowego Związku Polaków w Niemczech.

Dzisiaj wieś należy do Polski i nazywa się Dobrzeń Wielki. Mieszkańcy posługują się obowiązującym językiem, ale w oryginale czytają Goethego. Wniosek o zaopatrzenie miejscowej biblioteki w niemieckie książki był pierwszym postulatem przyjętym przez nowe władze gminy. Sprowadzono je z Bonn i Monachium staraniem Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Mniejszości Niemieckiej w Polsce.

Między jednym i drugim importem książek zawarte jest sześć gorzkich dziesięcioleci dziejów wsi.

OD DAWNA

Dobrzeń był miejscem podejrzanym. Tyle wieków pod solidną opieką Hohenzollernów i Habsburgów, tyle starannego *Kulturkampfu*, a tu w 1913 roku uczęszcza do niemieckiej szkoły 314 uczniów, z czego 278 mówi tylko po polsku. Naród uparty, skryty, trzymający się pazurami wiary i mowy przodków. Niebezpiecznie polonizowany tradycją wewnętrzną i eksportem złych wpływów. Po wojnie francusko-pruskiej tutejsi dekarze, tynkarze i murarze jeżdżą w Poznańskie budować niemieckie imperium za franki uzyskane z odszkodowań, po czym zwożą stamtąd polskość. To samo z rolnikami.

Polskość niebezpiecznie wzrasta. W czasie powstań wychodzi stąd bić Niemca oddział w sile osiemdziesięciu chłopa. Zaraz potem w plebiscycie Niemcy zwyciężają, ale nie można ufać sympatii głosujących. Niby tyle ich za Niemcami, a tu w 1922 roku uczęszcza do niemieckiej szkoły 317 uczniów, z czego 292 znów mówi tylko po polsku. Na kluczowych stanowiskach trzeba zatrudniać rdzennych Niemców, bo tutejszym nie wolno ufać.

Urodzony w Dobrzeniu ks. Alojzy Ficek zakłada drukarnię w Piekarach i wydaje Piotra Skargę. Roch Siejca — też ksiądz i też z Dobrzenia — pracuje we wrocławskiej kurii, ale sprawuje mecenat nad niebezpiecznymi polskimi czasopismami.

PRZED WOJNĄ

Dobrzeń był miejscem podejrzanym. Tyle lat spokoju od czasu powstańczych ruchawek, tyle udowadniania niemieckiej wyższości, a tu polskie związki, chór „Lutnia", kursy, czytelnie, teatr amatorski, harcerstwo, ruch spółdzielczy, wykłady Uniwersytetu Ludowego i świetlica w domu Karola Bieniusy — notowanego potem na gestapo wśród niebezpiecznych politycznie. Naród uparty, skryty.

Weźmy Ledwolorza. Zaczął od handlu obwoźnego, potem rozkręcił firmę i robi *geschäfty* w Breslau i Berlinie. Podaje się za Niemca, jest uczciwym obywatelem Rzeszy. Ale gdy jeździł furmanką — mówił po polsku. Czy aby nie nauczył się języka tylko po to, żeby robić *geld*? To samo z Wyrobiszem — protoplastą trwającego do dziś dobrzeńskiego przemysłu dziewiarskiego. Czy bez znajomości języka i podawania się za Niemca mógłby kupić maszyny za Łabą?

Polskość niebezpiecznie istnieje. W 1924 roku w Dobrzeniu powstaje szkoła pod patronatem niezwykle tu silnego Związku Polaków w Niemczech. Podstępny naród. Mehl, u którego odbywają się zebrania Polaków jest szczególnie bezczelny. Jako jedyny rzemieślnik we wsi ma szyld „Mistrz kowalski" i ilekroć ktoś zasmaruje te polskie bazgroły, tylekroć idzie do gminy i władza lokalna Rzeszy, zobowiązana do szanowania estetyki, musi czyścić fasadę kuźni na własny koszt. Na kluczowych stanowiskach muszą być zatrudniani rdzenni Niemcy, bo tutejszym nie wolno ufać.

Urodzony w Dobrzeniu ks. Wojciech Sosna rozsławia imię swojej polskiej wsi na placówkach duszpasterskich w

Ameryce Południowej. Dobrzenianin ks. Józef Szymała wykłada w Akademii Handlowej w brazylijskim Juis de Fora. Jan Szymała — też ksiądz i też z Dobrzenia — kapelan WP w stopniu pułkownika stacjonuje za pobliską granicą i ściąga do szkół w Lublińcu młodzież z rodzinnej wsi, która w 1932 roku stanie się zalążkiem pierwszego w Niemczech polskiego gimnazjum w Bytomiu. Żadna z opolskich wsi przed wojną nie wydała tylu absolwentów tej szkoły co Dobrzeń.

W CZASIE WOJNY

Dobrzeń był miejscem podejrzanym. Tyle lat narodowo-socjalistycznych starań o zachowanie świadomości *Herrenvolku*, a tu ciągle konspiracyjne zebrania i tęsknoty za Polską. Naród uparty, skryty, typowy *wasserpolnisch*, na który trzeba szczególnie uważać. Rogmann z zarządu prowincjonalnego NSDAP we Wrocławiu przedstawia raport, z którego wynika, że na Śląsku jest ciągle 400 tysięcy Polaków! Partia nie radzi sobie z podstępnością obywateli Dobrzenia.

Udaje się zamknąć i zlikwidować ludzi szczególnie groźnych dla Rzeszy, ale to ciągle półśrodki. Bezsilne wobec tutejszej mentalności. Nie pomagają masowe wcielenia do armii zdobywców świata. Dobrzeń daje karnego żołnierza, mówiącego biegle po niemiecku, ale cóż z tego, skoro w mundurach Wehrmachtu giną absolwenci polskiego gimnazjum w Bytomiu: Ryszard Warzecha, Józef Gabriel i Franciszek Małek. Na kluczowych stanowiskach trzeba zatrudniać rdzennych hitlerowców, bo tutejszym nie można ufać.

Gemeine Tomasz Szymała na froncie przechodzi na stronę sowiecką, potem do polskiej armii, z nią wraca do Dobrzenia w stopniu porucznika i już w maju 45 organizuje polską szkołę dającą świadectwo prawdy tutejszych sympatii. Zapłacił za nie śmiercią w Mauthausen — urodzony w Dobrzeniu, wybitny działacz plebiscytowy, Stefan Moczko. Ten sam los spotkał w Majdanku też polskiego działacza i też z Dobrzenia — lekarza Franciszka Gabriela.

PODCZAS WYZWOLENIA

Dobrzeń był miejscem podejrzanym. Tyle krwi przelanej pod Kurskiem, tylu mołodców gryzie obcą ziemię, a tu szwaby ciągle siedzą po chałupach jakby nigdy nic. Uparty, perfidny naród. Wyzwoliciele z czerwonymi gwiazdkami nareszcie przekroczyli linię Odry, za którą mogli spełnić obietnicę Ilji Erenburga — późniejszego uczestnika Kongresu Pokoju we Wrocławiu: „Będziemy zabijać, zabijać, zabijać...". Zgodnie z rozporządzeniem dowództwa nareszcie byli w Germanii. Nareszcie mogli wszystko.

W Dobrzeniu zamordowali niewielu. Wieś, broniona przez licznych działaczy polonijnych, nie spłynęła krwią tak obficie jak inne, ale zapłaciła swój haracz wyzwolenia: prawie nie było tu kobiety, która nie byłaby zgwałcona. Wiele zaszło w ciążę i zaniosło swój dramat do konfesjonału. Którejś niedzieli na kazaniu ksiądz Nieborowski wypowiedział zdanie, które zrozumiały wszystkie: „Jeżeli świątynia została zbezczeszczona, należy ją oczyścić". Masowych usunięć płodów dokonał dr Maksymilian Kośny — pozbawiony za Hitlera prawa wykonywania zawodu ze względu na polskie przekonania. „Gdyby nie on — powiedziała jedna ze starszych mieszkanek Dobrzenia — byłoby dziś wśród nas wielu Tatarów i Kałmuków".

Na kluczowych stanowiskach trzeba zatrudniać rdzennych Rosjan, bo tutejszym nie można ufać. Urodzony w Dobrzeniu sklepikarz Franciszek Mehl, jako członek NSDAP, ginie w obozie internowania w Jaworznie. Kogo to obchodzi, że wstąpił do partii w wyniku szantażu i groźby bojkotu jego sklepu dającego utrzymanie całej rodzinie?

PO WOJNIE

Dobrzeń był miejscem podejrzanym. Tyle przypominania piastowskiej genealogii, a tu ciągle solniczki z niemieckimi napisami. Uparty, skryty naród, który przez sześć wieków trwał przy mowie i obyczajach, teraz pisze podania o przyznanie polskości. Narodowość kosztuje 25 złotych — tyle ile znaczek skarbowy. Jest tymczasowa i można ją w każdej chwili cofnąć. Wiele podań z Dobrzenia, zachowanych w opolskim archiwum ma adnotację „Odrzucone", chociaż ich autorzy piszą o przynależności do polskich stowarzyszeń, chórów, spółdzielni.

Na kluczowych stanowiskach trzeba zatrudniać rdzennych Polaków, bo tutejszym nie wolno ufać. Pierwszy powojenny wójt Dobrzenia por. Podolski dokonał tyle gwałtów, rozbojów i kradzieży, że zarobił siedem lat więzienia. Na jego miejsce mianowano też przybyłego z Polski centralnej

— Kamelę. Ten nocą obrabował plebanię i zbiegł.

DZIŚ

Dobrzeń jest miejscem podejrzanym. Tyle lat Polski Ludowej, a tu wywieszka przed domem kultury, że można kupić *Schlesische Nachrichten* — pismo ziomkostw. Na parkingu przed kościołem więcej białych rejestracji niż tutejszych. W księgarni — 25 tytułów niemieckich czasopism. Uparty, skryty naród, który na kluczowych stanowiskach ma wreszcie swojaków. Nikt nie powie dziennikarzowi, ilu ludzi z nowej rady reprezentuje mniejszość niemiecką. „To nieważne — mówią — na listach nie było żadnej przynależności. Głosowaliśmy wyłącznie na nazwiska". Przewodniczącym nowej rady został Eryk Rippel.

Niemieckość wyraźnie wzrasta. Na 13 tysięcy obywateli Dobrzenia ponad 5 tysięcy mieszka na stałe w Niemczech. Jest wiele pustych domów. Pustych, ale nie bezpańskich. Systematycznie doglądane i modernizowane, służą w razie czego jako hotele dla gości zza Łaby. Nikt z obcych nie ma prawa ich kupić.

Od kilku lat Dobrzeń przyjaźni się z Heuchelheim w Hesji. Był u nich tutejszy chór i tak pięknie odśpiewał „Kein schoner Land", że wywołało to wzruszającą recenzję w *Giessner Anzeiger*. Potem do Dobrzenia przyjechał burmistrz Willi Marx, obejrzał wszystko i zaproponował uruchomienie fundacji odbudowy wsi. Narodowcy twierdzą, że to przygotowania do niemieckiego powrotu na Śląsk — stąd podejrzenia, do których Dobrzeń przywykł jak do codziennego wschodu słońca.

Oto produkt krwi i żółci, którymi nasiąkła ta ziemia jak żadna inna. Gdyby do ich kolorów dodać trochę czerni — powstanie pełnobarwna flaga Niemiec.

Maciej SIEMBIEDA

Kraj

W kalejdoskopie

1.

Po wielomiesięcznej walce stronnictw o władzę nad Warszawą programy kandydatów i ich sponsorów stały się nieodróżnialne. Warszawiacy wiedzą, że chwilowy prezydent Bareja jest gruby, natomiast aktualny, Święcicki, chudy, ale 52 % nie potrafi powiedzieć, którego woli, bo ich „nie zna", 31 % zaś jest zdania, że oceniać nie warto, ponieważ w sromotnych elekcjach stracili wszelkie szanse na zdobycie autorytetu. Rozmaici ojcowie chrzestni naszego samorządu terytorialnego pocieszają wprawdzie swoje audytoria, że kompromitująca bezprogramowość i bezpryncypialność rozgrywek warszawskich wynikła ze szczególnej struktury miasta („metropolitalnej") i że gdzie indziej jest lepiej lub całkiem dobrze. Pociecha o tyle nieprawdziwa, że w Warszawie, jako stolicy, wszystkie formacje uważały za punkt honoru iść do wyborów pod własnymi sztandarami; koalicje zawierano i zrywano dopiero potem, na oczach opinii. Gdzie indziej z góry na ogół układano wspólne listy, tak że śmierdziało głównie w kuchni; w salonie, na sali obrad, odgrywano spektakl godnie i dobrze przygotowany.

Ale ja w istocie nie o tym... Bo elekcja w Warszawie była nie tylko kompromitująca. Płyną z niej ważne nauki.

Przede wszystkim ujawniła ona szczególnie wyraźnie niezborności formacji działających na scenie politycznej. Prawica od razu była podzielona: jedni chcieli sami, godnie, drudzy postanowili szukać sojuszników. Potem ci drudzy podzielili się na tych, co woleli z Unią Wolności i tych, których poprowadził restaurator Pruchno-Wróblewski z Unii Polityki Realnej w myśl zasady „daję więcej płacącemu". Więcej płacił

SLD... Unia Wolności, z kolei, zaczęła od wewnętrznej wojny personalnej, w której skrzydła liberalne i prawicowe sprawnie „wycięły" Andrzeja Wielowieyskiego, katolika, ale i socjała, zwłaszcza zaś człowieka całkiem nieugiętego, z zasadami... Nawet SLD, znacznie bardziej spójny, nade wszystko zaś umiejętniej skrywający pęknięcia, miał chwile rozchwiania i potrzebna była interwencja z centrali, Jerzego Wiatra, i samego Aleksandra Kwaśniewskiego. Ostatecznie, skończyło się na aliansie SLD z Unią Wolności i prezydenturze Marcina Święcickiego, eks-sekretarza KC PZPR z ostatniego naboru i pupilka kongresu zjednoczeniowego Unii Wolności z liberałami (miał najwięcej głosów w wyborach do Rady Krajowej). Nie załapali się pomniejsi sojusznicy Unii Wolności gotowi jej towarzyszyć w układzie z prawicą — oraz samotny radny z PSL, koalicjant SLD. W ten sposób w Warszawie odwrócony został układ polityczny, na którym wspiera się rząd Pawlaka.

Na poziomie samorządowym wszystko, jako się rzekło, wyglądało na bezprogramowy spór o stołki, tym bardziej że reklamując poszczególnych kandydatów ich zwolennicy powoływali się wyłącznie na ich talenty menedżerskie, częściej zresztą domniemane niż dowiedzione, ponieważ „polityka" nie przystoi ponoć samorządom. Ale na poziomie interweniujących centrali, Jerzego Wiatra czy Bronisława Geremka, chodziło oczywiście o politykę i obaj mogliby się słusznie obrazić, gdyby ich posądzić o brak programu. Obaj panowie dążą do poszerzenia pola ruchu, jakim dysponują ich formacje, do przełamania barier bezalternatywnej polityki: SLD nie chce być skazany na PSL i Pawlaka, Unia Wolności zaś na trwanie w opozycji. Wiatr z pewnością reprezentuje większość kierownictwa SLD, z Kwaśniewskim, Geremek u siebie skorzystał z upadku ducha większości.

Kiedy rozgrywano kolejne fazy warszawskiej elekcji SLD i Unia Wolności mogły jeszcze nie wiedzieć, że nowo pozyskana swoboda ruchu będzie im tak szybko potrzebna. Jednakże działania prezydenta i zwłaszcza ich efekty miały im to wkrótce uświadomić.

2.

Wałęsa swą ofensywą osiągnął niewątpliwie pewien sukces. Człowiek, który jako prezydent, potrafi zwołać generałów, żeby ich wezwać do wysadzenia z siodła cywilnego ministra obrony, a w miesiąc potem stanąć przed zgromadzeniem magistratury i namawiać sędziów, z Trybunałem

Konstytucyjnym w pierwszym rzędzie, by nie stosowali prawa „co do litery" — jest niewątpliwie zdecydowany grać swoją partię do końca i bezwzględnie. W sferach politycznych polskiej stolicy zaczyna być na serio traktowana możliwość, że Wałęsa nie pozwoli się usunąć z prezydenckiego stolca w wyniku czystej demokratycznej elekcji. Według najlepszych wzorów z lat dwudziestych (nie tylko polskich) obóz prezydencki rozgrywa teraz swą kampanię przeciw demokracji; oczywiście pod hasłem obrony demokracji, obrony przed jej własnymi słabościami. Demokracja jest niewydolna, nie modernizuje Polski dość szybko, nie nadąża z produkcją nowych praw, nie umie skutecznie łapać i karać. Nie trzeba więc zbyt literalnie przestrzegać prawa. Po to by nastało państwo prawa, trzeba najpierw wziąć trochę praw w cudzysłów. Prawo prawem — oświadczył Wałęsa klubowi Unii Wolności — a zwycięstwo zwycięstwem; na zjeździe BBWR poprawił się troszkę, żeby to nie brzmiało zbyt rewolucyjnie, a raczej po menedżersku: — prawo prawem, a skuteczność skutecznością. Gromkie oklaski, a nieszczęsny Religa, dobry kardiolog przerobiony samochcąc w niepoważnego polityka, zaraz zrezygnował z tworzenia własnej partii i postanowił zostać w BBWR. Lecz bezwzględna kampania obozu prezydenckiego oddziałuje nie tylko na polityków niepoważnych. Z jednej strony, prezydencki pokaz muskulatury przyciąga programowych zwolenników państwa silnej ręki i wszystkich gotowych przyjąć za dobrą monetę każdą z rozlicznych intencji programowych prezydenta, żeby tylko znaleźć się u niego w obozie „skutecznych". A tych intencji jest multum, w rozmaitych kolorach: bo to i reformy, i postulaty Solidarności, i stały procent budżetu dla wojska, i sto milionów dla każdego, i z Matką Boską w klapie do NATO... W istocie, dla wszystkich tych ludzi decydującym argumentem nie są intencje lecz skuteczność prezydenta: jeśli Zaorski jest nadal przewodniczącym KRRiT a Andracki z Kwiatkowskim jej członkami, jeśli nominacje generalskie otrzymują wszyscy proponowani przez sztab generalny i nikt z listy MON, jeśli wreszcie Kołodziejczyk wylatuje ze stanowiska ministra obrony, choć dopiero co komisja obrony Sejmu ogromną większością przyznała mu rację przeciw prezydentowi — no, to rzeczywiście prawo prawem, a skuteczność skutecznością.

Skuteczność, która jednych przyciąga, innych zastrasza. W ten sposób, ku prezydentowi obok wyznawców silnej ręki grawitują również ci, którzy się silnej ręki przeciw sobie bar-

dzo boją, słaboręczni. Przepraszam za banały, jeszcze raz przypominam wzorce lat dwudziestych. Wałęsa, Wachowski i nawet Falandysz z Zakrzewskim niczego nowego nie wymyślili. Ale jest jeszcze trzecia odmiana polityków, których przyciąga Wałęsa Zdecydowany Zwyciężyć. Są to mianowicie wszyscy ci, którzy zwątpili, by ich wizję Polski, jaka być powinna, dało się zrealizować demokratycznymi metodami. Istnieją w dwóch głównie odmianach, neoliberalnej i kościelnonarodowej (nie są to zresztą kwalifikacje rozłączne, jak dowodzą np. partia konserwatywna Halla i koalicja konserwatywna Ujazdowskiego). Nie twierdzę bynajmniej, że w obu nurtach zwątpienie przeważa, daleko do tego. Ale na pewno już drąży i niepokoi. Najbardziej wymownym w tej kwestii przedstawicielem odmiany neoliberalnej jest Donald Tusk, przy czym do niewczesnej nieraz szczerości pcha go zapewne poczucie osobistej klęski: najpierw jako przewodniczący b. KLD, a teraz jako wiceprzewodniczący Unii Wolności i szef jej nieformalnej frakcji neoliberalnej, raz po raz prowadzi swe formacje do porażki.

Przed kilku tygodniami w *Tygodniku Powszechnym*, a ostatnio w *Gazecie Wyborczej* Donald Tusk udzielił wywiadów, w których dobitnie wyłożył, że wprawdzie nie chce, by do takiego wyboru doszło i ciągle wierzy, że Unia Wolności ma szansę mu zapobiec, ale „jeżeliby jednak to się nie powiodło, to wolę kapitalizm i wolność bez demokracji niż socjalizm z woli wyborców". Dlatego będzie „w drugiej turze" głosował na Wałęsę, bo „precyzyjnie i obiektywnie śledząc, na ile Wałęsa umocnił polską wolność, nie można mu zarzucić, że jego prezydentura była szkodliwa" (*Gazeta Wyborcza* z 12-13 listopada). Dla prawidłowej lektury cytatu wypada dodać, że „socjalizm" nie byłby wg. Tuska bynajmniej komunizmem. Byłby „centrolewicowy, modernistyczno-postępowo-europejski: Unia, SLD, Unia Pracy, gdzie tak naprawdę królowałby etatyzm". Zatem nawet od etatyzmu lepszy jest brak demokracji.

Temat „wolność przeciw demokracji", co tak wielką rolę odgrywa u Donalda Tuska — całkiem na wzór tych manchesterskich fabrykantów, których w ubiegłym stuleciu socjaliści pytali „wolność — czyja?" — jest u drugiej odmiany wątpiących w możliwości demokracji, kościelnonarodowej, zastępowany tematem „słuszność przeciw demokracji" lub „prawda przeciw demokracji". O cytaty wprost byłoby oczywiście trudniej, bo miarodajni autorzy tego nurtu, w rodzaju bp. Pieronka, nie są tak naiwni i prostoduszni jak Tusk (chociaż

w trakcie kampanii wokół aborcji i konkordatu o nadrzędności prawdy nad demokracją i etyki nad prawem rozprawiano wiele). Ale w braku cytatów są już fakty. Jednym z głównych autorów „operacji Kołodziejczyk" był po stronie prezydenta bp Głódź, który zresztą dla zamanifestowania swej roli wręcz odmówił stawienia się przed podkomisją Sejmu, podobnie jak Wachowski, ten jednak jest z urzędu funkcjonariuszem kancelarii prezydenckiej. Biskup generał, wieloletni protegowany kard. Gulbinowicza z Wrocławia, który należy do wojującego prawego skrzydła episkopatu, jest dzisiaj głównym łącznikiem pomiędzy hierarchią kościelną i sztabem prezydenckim. Jego coraz bardziej eksponowana pozycja kogoś w rodzaju dziekana korpusu generalskiego czyni z niego żywy symbol sojuszu Ołtarza, Tronu i Miecza. Jesteśmy bardzo daleko od Soboru Watykańskiego II.

3.

Co zaś każe Pawlakowi grać z Wałęsą? Chłopski inżynier, premier-milczek całkiem nieźle wychodzi przecież na demokracji.

Potoczna interpretacja „niespodziewanego" zdymisjonowania Kołodziejczyka powiada, że peeselowski premier zbliżając się w ten sposób do prezydenta odpowiedział na amory SLD z Unią Wolności w Warszawie i wspólną inicjatywę obu partii zdymisjonowania posła Pęka z PSL z przewodnictwa komisji przekształceń własnościowych. Jest to interpretacja naciągana. W Warszawie PSL tak czy inaczej nie miał nic do wygrania. Posła Pęka Pawlak sam wcale nie nosi w sercu, choć, oczywiście, wraz z całym PSL musiał być urażony „nielojalnością" SLD (ale warto przypomnieć, iż Pęk zajął był przed rokiem swoje stanowisko dzięki temu, że wtedy część posłów z SLD w Komisji nie dotrzymała umowy z Unią Wolności i poparła peeselowca przeciw Grażynie Staniszewskiej). Faktem jest jednak, że już od dłuższego czasu PSL w Sejmie z ociąganiem traktował wspólne inicjatywy koalicyjne, ilekroć chodziło o spór z prezydentem, zwłaszcza jeśli w tych inicjatywach zaangażowana też była Unia Wolności. Tak było w sprawie Krajowej Rady RiT, tak też było ze sprawą głośnego obiadu generałów w Drawsku. Zarazem, w kuchni parlamentarnej mnożą się przypadki wspólnego mieszania w garnku przez UW i SLD (np. reforma powiatowa, reforma administracji, krytyka URM i pazerności PSL, polityka prywatyzacyjna, polityka antymonopolowa...). Wreszcie, błąd popełnili ci, którzy nie uwierzyli

Wałęsie, iż w trakcie wyprawy do Buffalo na kongres Polonii amerykańskiej obaj panowie, Wałęsa i Pawlak, się dogadali, mimo że pojechali tam rywalizować. Teraz wiadomo, że właśnie tam, w Ameryce, zapadła przynajmniej wstępna decyzja, by zdymisjonować Kołodziejczyka i wspólnie znaleźć następcę. „Zamrożenie" zaś przez KOK (Komitet Obrony Kraju) stanu dowodzenia w resorcie obrony oznacza, że minister nadal nadzoruje sztab generalny formalnie, natomiast wywiad wojskowy z kontrwywiadem pozostają przy sztabie, skąd Kołodziejczyk chciał je zabrać. Innymi słowy, Pawlak dymisjonując Kołodziejczyka wcale nie reagował na afronty SLD, lecz realizował jakiś układ z prezydentem. Dlaczego?

W dniu, kiedy piszę ten tekst, jesteśmy w przededniu „wielkiego prania" koalicyjnych brudów, które wprawdzie odbędzie się przy drzwiach zamkniętych, ale posłowie SLD odgrażali się, że i tak prasa wszystkiego się dowie. Nie sądzę jednak, by wszystko miało być powiedziane. Ani, jak myślę, nie pęknie jeszcze koalicja, ani Pawlak nie odpowie, dlaczego szuka zbliżenia z Wałęsą nawet kosztem posądzenia o słabość.

Suponuję, że ta gra oznacza, iż Pawlak sam skłania się ku decyzji, by nie kandydować w wyborach prezydenckich, wiedząc że mimo poparcia na wsi nie będzie miał żadnych prawie głosów miejskich. W takim razie woli jednak, żeby prezydentem pozostał Wałęsa, niż żeby miał nim zostać Kwaśniewski, Kuroń czy ktokolwiek inny z tych formacji, ponieważ żaden nie zaakceptuje chętnie dalszego premierostwa Pawlaka i nie przyklepie jego polityki. A Wałęsa zaakceptuje, i przyklepie, i może nawet dotrzyma, bo Wałęsa bardzo chce być prezydentem. Z tyłu głowy — ale tu już chyba przesadzam, bo niby skąd ja mam wiedzieć, co Pawlak ma z tyłu głowy — chłopski premier roi zapewne o bliższym jego sercu układzie koalicyjnym, gdy już prawica, katolicka i ucywilizowana, dostanie się do parlamentu. Zauważę tylko, że poseł Pęk rozpętał burzę dopiero wtedy gdy w walce z prywatyzacją à la Kaczmarek (z ministerstwa przekształceń własnościowych) udał się do Krakowa na spotkanie zorganizowane przez Sekretariat Ugrupowań Prawicowych, gdzie go Olszewski z Macierewiczem i Krzaklewskim witali owacyjnie. Teraz dziennikarze z prawicy (których opinie przytoczyła 13.XI. w Polskim Radio Pr. I Teresa Bochwic, też z prawicy) przyrównują odejście Pęka aż do dymisji Olszewskiego z premierostwa w 1992. Oto miara kariery posła z PSL: wiele hałasu o nic na ogół nie jest o nic.

4.

Czy jest w tym wszystkim jakiś sens ogólniejszy?

Wchodzimy, jak się zdaje, w okres już nie tylko postulowania lecz realizacji jakiejś przebudowy politycznej. Aktualna koalicja jest układem dwóch partii, które wywodzą się z poprzedniego systemu. Rozstały się jeszcze jako PZPR i ZSL w r. 1989, ale dzięki grubej kresce Mazowieckiego było to rozstanie łagodne, które nie różnicowało nadmiernie pozycji obu niedawnych partnerów. Ich zwycięstwo wyborcze we wrześniu 1993 było wprawdzie potraktowane przez przeciwników jako powrót wahadła i sukces postkomuny — bez rozróżnienia — ale w istocie bazą ich koalicji stał się drugi, znacznie ważniejszy motyw działania wyborców: obie partie zwyciężyły jako reprezentanci warstw poszkodowanych przez postsolidarnościowych reformatorów. Oba te argumenty uzasadniające koalicję SLD-PSL ciągle słabną. Pierwszy, odwołujący się do wspólnego pochodzenia słabnie nie tylko dlatego, że czas płynie, ale dlatego zwłaszcza, że dla każdego z partnerów płynie w nieco odmiennym kierunku. Ich wspólne dziedzictwa rozstają się jak kontynenty pamięci w dryfie tektonicznym, PSL okazuje się sobie chłopsko-gminną partią niegdysiejszych kolaborantów, od dawna rozgrzeszonych, bo za cenę kolaboracji bronili ponoć chłopa na miedzy i kapliczek polnych (przepraszam, nie jestem dobry w poezji ludowej). SLD przyznaje się raczej do ponadczasowej międzynarodówki modernistów. Wtedy rządzili, żeby Polskę wyrwać z zacofania po komunistycznemu, teraz czynią to samo na modłę europejskiego kapitalizmu, zawsze przodem do przodu.

Argument drugi słabnie również acz inaczej. Wprawdzie należy przyznać koalicji, że stara się złagodzić trochę uciążliwości reform, ale to łagodzenie jest dość bezradne i mało skuteczne, mimo dobrej koniunktury (5% wzrostu PNB w tym roku!). Nade wszystko zaś — i „Strategia dla Polski" dowodnie to pokazuje — koalicja nie wypracowała bynajmniej odmiennej koncepcji reform i rozwoju niż rządy poprzednie, żadnego „planu głównego", by zacytować Wałęsę. Być może, takiej koncepcji nie ma — nie podejmuję tu tej dyskusji, choć sądzę, że jest inaczej. Ale „kontynuacja z łagodzeniem" sprawia, że każdy z koaliantów najchętniej popiera twarde reformowanie na socjalnym terenie drugiego, a u siebie przyhamowuje. Niezadługo klientela wyborcza obu partii uświadomi sobie wyraźniej rozbieżności interesów, które ta strategia uników stara się skrywać.

Najmocniejszym spoiwem wszelkich koalicji jest brak

realnych alternatyw. Łatwo pojąć, że obie wskazane racje dla koalicji SLD-PSL były zarazem, widziane od zewnątrz, przyczynami jej bezalternatywności. Racje słabną, toteż pojawiają się inni możliwi partnerzy.

Po 19 września 1993 decydujący dla przyjętego podziału na rząd i opozycję okazał się konflikt socjalny dotychczasowych reformatorów z poszkodowanymi przez reformy, przy czym nieobecność w parlamencie prawicy i prawie nieobecność obozu prezydenckiego znakomicie upraszczały rozwiązanie (tylko z zaszeregowaniem Unii Pracy był kłopot). Teraz jednak, zwłaszcza po wyborach samorządowych i otrząśnięciu się prawicy ze stuporu, a także wobec rozpoczęcia się długodystansowej kampanii prezydenckiej nic już nie jest takie proste. Prawica, ta sama, która fetuje posła Pęka, domaga się lepszej ochrony majątku narodowego i praw najsłabszych, prezydent Wałęsa zapowiada „plan główny", całkiem nową ponoć strategię reform. Nieważne tymczasem, czy to wszystko prawda. Ważne, że wskutek takiego *embarras de richesse*, konflikt socjalny przestaje dobrze porządkować scenę i wyznaczać podział na rząd i opozycję. (I znów, jedynie Unia Pracy odbyła drogę odwrotną: po 19 września miała kłopot z umiejscowieniem się, teraz wie, że jest w opozycji. Ta swoista wyjątkowość może stać się zarówno źródłem jej sukcesu jak klęski, ale o tym przy innej okazji).

Głównym pomysłem na zastępcze kryterium porządkujące staje się w tych warunkach sięgnięcie do konfliktu kultur. Niech więc staną np. przeciw sobie — jak w cytowanym tekście Tuska — centrolewicowi etatyści z UW, SLD i UP oraz prawdziwi Polacy, tradycyjni i katoliccy, choć może nie całkiem antypeerelowscy, jak sobie wyobraża Tusk, i nie całkiem nieetatystyczni, bo przecież bez PSL ta kombinacja nie powstanie. Tusk chciałby jednak swój opis wzbogacić i ozdobić, a tu trzeba czegoś prostego i krystalicznie jasnego, jak credo i katechizm... Episkopat, który jest politycznie wnikliwszy od Donalda Tuska, robi co może, by przy okazji dyskusji konstytucyjnej narzucić Polsce raz jeszcze jako metapolityczną dominantę, jako nadrzędne kryterium podziału politycznego — stosunek do uprawnień kościoła wobec państwa: resztę będzie można uzgodnić...

Opisany tutaj schematycznie zabieg należy do uprawianych w demokracji rytuałów zmiany koalicji, układu u władzy. Wprawdzie poszukiwane i znajdywane tym trybem kryteria okazują się z reguły nieskuteczne a konflikty w nich

wyrażone nierozwiązalne, wszystko więc przypomina potrząsanie kolorowymi szkiełkami w dziecinnym kalejdoskopie — ale w ten sposób można zabawiać publiczność, podtrzymać zainteresowania obywatelskie w narodzie, wypróbować warianty i zyskać na czasie. To całkiem przystoi demokracji i może wystarczyć — w demokracjach bardzo stabilnych, wręcz nadstabilnych, gdzie nie ma reform, ani planów głównych, gdzie reaguje się tylko na drobne stosunkowo zmiany w otoczeniu. Polskiej demokracji, która jest w drodze i długo jeszcze będzie, to może nie wystarczyć. Tym bardziej, że taka kalejdoskopowa podmiana dominanty nie mogłaby się zapewne dokonać bez walnego udziału obozu prezydenckiego. Wtedy zaś, niezależnie od urojeń chłopskiego premiera, demokracja nie wyszłaby bez szwanku.

Warszawa, 14 listopada 94 r.

Krzysztof WOLICKI

Kartki ze skażonej strefy

W Łodzi jest tak ładnie, a my tu mokniemy — poskarżył się wesoło piętnastolatek kolegom na Drodze do Białego w Zakopanem. Drugi, z innej wycieczki, patrząc z Gubałówki na panoramę Tatr, też się użalił: — „Gdyby choć wiedzieć, która góra to która...". Trzeci, po intensywnym turlaniu się na podejściu z Rusinowej Polany na Gęsią Szyję, ogłosił konkurs na najefektowniejsze utytłanie się w błocie. Wrzawa niosła się hen, aż na słowacką stronę.

W październiku 1994 skrawek polskich Tatr jest zadeptywany i zakrzykiwany przez wycieczki młodzieży. Gdyby ktoś chciał mierzyć finansową kondycję naszej szkoły oraz uczniów (podobno, fatalną) tą frekwencją, musiałby stwierdzić, że wprost przeciwnie — jest znakomita.

Jedno pewne — ten wycieczkowy run stawia na nogi zubożały Tatrzański Park Narodowy. Gdy przed kilku laty pobudowano u wejść do dolinek „budki z poborcami", wydawało się, że próżny trud, nie zarobią nawet na siebie. Teraz wiadomo, że zysk z tego płynie wartką rzeką. Nie

nastarcza się z biletami. Normalny — 8 tys. zł, ulgowy — 5. Jak przez zagrody dla owiec TPN przepuszcza za opłatą w głąb Tatr ludzkie stada. Prócz młodzieży pełno indywidualnych turystów. Na szlakach nie przestaje wybrzmiewać górskie „dzień dobry" mijających się osób.

Polacy chodzą. Chodzą po górach, jakby chcieli uciec od czegoś w mieście.

Peerelowski Fundusz Wczasów Pracowniczych kazał ludziom chodzić. Nie chwyciło. Za Gierka zapaskudzono Zakopane gigantycznymi budowlami, gdzie turnusy ludzkie z wielkich zakładów przemysłowych odpoczywały na komendę, jak przy taśmie. Też mało chodzono. Teraz ludzie chodzą samorzutnie. Górale nie pamiętają podobnego ożywienia, jak właśnie w tym roku.

Chodzą stare wygi i zupełne cepry. Zdarzyło się, że podszedł do mnie czterdziestolatek i patrząc prosto na masyw „śpiącego rycerza", zapytał intymnym szeptem: „A Giewont, to który, proszę pani...?"

Popołudniami (zmrok wczesny) cały ten zgiełk przenosi się do rozlicznych kafejek na Krupówkach. Ludzie ciągną grzanego „Żywca" z beczki a dziatwa szkolna: *sprite'a*, *seven-upa* i *cocę*. Przy załamaniach pogodowych (częstych tu jak przemiana dnia z nocą) — pęcznieją księgarnie. Mimo skromnych budżetów, Polacy nie wyzbyli się nawyku kupowania książek, toteż obrotni gazdowie, poczuwszy zysk, przesiedli się z sań i bryczek za lady księgarskie. Dosłownie, w co drugim domu — księgarnia.

A wieczorem, przy telewizji, leci serial polityczny. I to jest najlepsze! Niech się schowają sensacyjne filmidła sprowadzane dla nas z Zachodu. Zapada cisza, patrzymy.

Można sobie obejrzeć pana prezydenta w coraz bardziej zaskakujących sytuacjach (to nam zapewni do końca życia). Na przykład, na poligonie w Drawsku, całego łaciatego, w komandoskim ochronnym uniformie i w rogatywce, która nadaje mu wygląd prześmiesznego krasnala (że też w pobliżu nie ma przy nim zaufańca, który by mu ten strój wyperswadował?!). Można go zobaczyć wśród gradu zarzutów „Unionistów", w Sejmie, wzruszającego ramionami i robiącego miny spłoszonej niewinności: „czego się mnie czepiacie, ja tylko godzę zwaśnionych...".

Już w końcu nie wiadomo, co nim rządzi, czy chęć ustawicznego zaistnienia za wszelką cenę, czy opanowanie głównych agend, czy (co najgorsze) kompletne niezrozumienie funkcji prezydenckiej. Wciąż, stale, pełen podziwu dla własnych zagrań pokerowych i w świętym przekonaniu, że są one istotą prezydentury. Zaciekłość, determinacja i bezkrytycyzm wobec własnych posunięć zdają się wskazywać, że nie widzi dla siebie życia bez najwyższej funkcji w państwie. „Po mnie — potop". Bardzo niebezpieczne podejście u kogoś przy władzy. A jednocześnie, jakaż dysproporcja z solidarnie rosnącą w narodzie dezaprobatą wobec jego osoby!

Ilustracja. Niedawno przechodząc Krakowskim, zostałam z grupą ludzi zatrzymana gwizdkami policyjnymi. Do Pałacu Namiestnikowskiego wjeżdżała kawalkada pojazdów z wielkim mafijnym „limo" pośrodku. Prezydent wracał z *weekendu* w Gdańsku. Na głos z tłumu: „Namiestnik jedzie!", policjant wysłał do nas porozumiewawczo-ironiczne spojrzenie.

Obok serialu prezydenckiego można w mediach oglądać serial premierowski. Równie dobry. Z coraz większym stuporem w oku Waldemar Pawlak odracza oczywiste decyzje, żeby podejmować zupełnie nieobliczalne. Odrzuciwszy wszelkich możliwych kandydatów na komendanta policji, powrócił do punktu wyjścia sprzed pół roku, czyli do ponownego zatwierdzenia na tej funkcji Zenona Smolarka, zamieszanego, jak wiadomo, w nie wyjaśnione i toczące się nadal w prokuraturze śledztwo. Nie zasięgnął niczyjego zdania, z nikim się nie konsultował. Gdyby prezes jakiegoś w miarę szanującego się przedsiębiorstwa zachował się równie samowolnie, rada nadzorcza natychmiast dobrałaby mu się do skóry w imieniu interesów udziałowców. Tu, gdzie całe społeczeństwo jest udziałowcem, nikt się do niczego nie dobiera. Prócz prasy, a Pawlak jest mistrzem uniku. Na pytania dziennikarzy odpowiada kłamstewkiem i niezmiennie — błyskiem wściekłości. Oj, wziąłby kłonicy, przepędziłby tę zgraję! On się nie wdroży do demokracji — to pewne.

Jest jeszcze do obejrzenia nakładający się na to i trwający w nieskończoność serial wokół rady d/s telewizji. Zdjęci przez prezydenta bezprawnie — więc cieszący się sympatią publiki — członkowie rady sami sobie tę sympatię odbierają. Wchodzą do budynku tylnymi drzwiami, ponieważ nie czują się odwołani, a jednocześnie przyjmują z kasy telewizji nową pracę płatną po 20 mln zł miesięcznie, „bo żyć jakoś trzeba".

Za to „jakoś" — zupełnie nie żyje się kadrze uniwersyteckiej. Średnie pobory profesorskie na Uniwersytecie Warszawskim wynoszą 8 mln zł miesięcznie. Natomiast świeżo ustanowiona pensja prezydenta Warszawy wyniesie 69 mln zł, doniosły media. W świetle tej zbitki mniej może zdziwią

słowa psychologa społecznego, prof. Janusza Czapińskiego z UW, że czuje się jak dziwka, ponieważ żeby „jakoś" żyć właśnie, swój czas i mózg jest zmuszony sprzedawać różnym postronnym agendom zamiast macierzystej uczelni.

Kręci się jeszcze w telewizji powracającą falą afera o półlewym dorabianiu do pensji ministerialnych poprzez rozmaite nadzorstwa, gdzie nazwisko skądinąd popularnego, rzeczowego, o szczerym wejrzeniu i sensownej mowie ministra Andrzeja Olechowskiego przewija się w pierwszym rzędzie.

Jest wreszcie skandal z wyjazdem Wałęsy i Pawlaka na Kongres Polonii do USA, coś *à la* powtórka z rocznicowej wyprawy tych mężów na Monte Cassino.

Z tej okazji Wałęsa dał wypowiedź: „Niewyobrażalne jest, ażeby prezydent, o którego Polonia walczyła, nie pojechał na jej uroczystości — a spuścizna po komunizmie pojechała...". Prezydent i „spuścizna", czyli premier, jadą więc oczywiście osobno, pilnie bacząc, żeby w drodze nie zahaczyć o siebie. Jadą też za inne pieniądze. Pawlak — kapitału amerykańskiego. Za to minister Wachowski regularnie uświetnia obecnością zawody żużlowe — naszym, podatników sumptem, specjalnie podstawionym dla niego samolotem.

Wszystkie te zdarzenia skrupulatnie odnotowują media — i na tym się kończy. Żadnego dalszego biegu, żadnego przełożenia na ścieżkę prawną. Co najwyżej, opozycja wyda głos, zagrzmi, i przestanie. Unia Wolności jest tak mało skuteczna, że dokładnie na własne życzenie przerżnęła z kretesem wybór prezydenta Warszawy, który miała już w ręku. Nikt nie wyciągnął z tego faktu partyjnych konsekwencji. Śpią sobie spokojnie.

Jeśli o największej partii opozycyjnej w Sejmie mowa, to warto by porównać stan fryzur posłanek z ilością lat spędzonych w Izbie. Im dłuższa kadencja, tym koafiury staranniejsze. Jakiż kontrast choćby z zabieganą panią Madeleine Albright, ambasadorem USA w ONZ, która raz ma czas na fryzjera, raz nie ma.

Nam, ludności, pozostaje masochistyczna radość z oglądanego widowiska. Spektakle polityczne telewizja publiczna podlewa sosem nieustającego kontredansu jubileuszy aktorów i śpiewaków, które doskonale watują im czas. Trwa prowincjonalny salon jak u cioci na imieninach, ciągnący się godzinami wśród składanych sobie komplementów i duserów, za nasze, abonamentowe, pieniądze.

Kiedyś spikerka radiowa, komentując kolejne wyczyny, nie wytrzymała i podsumowała „Tylko żal, że dzieci na to patrzą".

Ano żal. Ale uciekają od tego. Dorośli też mają odruch, żeby się oderwać, i pójść gdzieś daleko. Najlepiej w góry.

Powróćmy do Zakopanego.

De facto, grań Tatr przestała być dla nas nieprzekraczalną, jak przez półwiecze, granicą. Jeśli ciągnie cię do ciszy, pustkowia i wyraźnie łagodniejszego klimatu, pojedź na Łysą Polanę (prywatne busiki krążące po Podtatrzu dowiozą cię na miejsce na skinienie ręką). Stamtąd, zamiast pchać się polską szosą, zatłoczoną jak niedzielny deptak, do Morskiego Oka — przejdź na słowacką stronę i wkrocz w przepiękną Dolinę Białej Wody. Poprowadzi cię pod Rysy o ileż milej.

Jeśli zaś ciągnie cię bardziej do Wody Ognistej, nic prostszego jak z grodu pod Giewontem przejechać się ciut, w kierunku zachodnim, do Chochołowa, i tam przejść granicę. Wioseczka Sucha Hora zaoferuje ci najwymyślniejsze trunki świata o niebo taniej niż w ojczyźnie. Na ubożuchnych półkach stoją rzędem dwunastoletnie whisky z czarną etykietą, amerykańskie „burbony", meksykańskie „tekile" oraz butle pierwszorzędnego młodego słowackiego wina *à la* wiedeński Heuriger, i morze piwa za bezcen.

Granica jest „tylko dla nas" — to znaczy, dla Polaków i Słowaków — więc ruch umiarkowany, chociaż niektórzy przekraczają ją po kilka razy dziennie, tam i na powrót. Gdy ilość przewożonych trunków przewyższa nad miarę ustaloną normę, usłużny celnik pozwala na ogół pójść z powrotem i oddać butelkę w sklepie. Albo rozpocząć ją na miejscu. Czasem pyta retorycznie, po co się jedzie, na co pada niestropiona odpowiedź „po wódkę". Zresztą, bagażniki są pełne pojemników i butelek po winie i piwie, do zwrotu za opłatą.

Ze Słowacji natomiast ruch do nas odbywa się głównie w czwartki, na słynne targi w Nowym Targu. Tam Słowak dostanie wszystko, czego u niego brak. Od części zamiennych do czeskiej „skody" (Czesi nałożyli na nie Słowakom wysokie cło), po wymyślny welon do ślubnej sukni i wszelkiego rodzaju zachodnie „odziewy".

Tak więc gdy władza funduje nam gorszące sensacyjne kino na żywo, ludzie pocieszają się na boku, stwarzając sobie swój intymny mały świat z dala od polityki. I tak powoli toczą się naprzód kraje naszej skażonej strefy.

Ale co żal, to żal. Hej, gdzie te czasy, kiedy, pamiętam, bo przecież niedawno to było, na Cmentarzu Wojskowym, tłum rozstępował się przed delegacją pierwszego parlamentu (nie szkodzi, że kontraktowego), powtarzając ściszonym głosem: „Sejm, Sejm idzie". Albo w pociągu na trasie

Warszawa-Wrocław, kiedy Karol Modzelewski podał kolejarzowi legitymację zamiast biletu, ten wziął ją do ręki z nabożeństwem, przyjrzał się i powiedział: „Doczekałem się, że widzę i trzymam legitymację prawdziwego senatora Rzeczpospolitej".

Teraz, może by i splunął.

Październik 1994

Ewa BERBERYUSZ

Z ukosa

Przez ostatnie kilka miesięcy w pocie czoła próbuję budować własny optymizm wobec Polski. Dla urodzonego optymisty mój wysiłek musi wydawać się żałosny, bo taki budowany przez urodzonego pesymistę optymizm zawsze będzie podszyty ciemną podszewką, co się człek obróci przez nieuwagę na drugi bok, ujawnia swoją ciemną stronę. Więc nie bardzo to wychodzi a Polska też coś mi mało pomaga. A przecież nic strasznego się nie dzieje, przyszła tylko jesień, która wydobywa na wierzch wielowiekowe zaniedbanie kraju. Gdy opada szata liści widać nasze chude członki naznaczone bliznami przez historię.

Jeżdżę trochę po kraju, więc mam poczucie, że go na nowo odkrywam, że podmacuję i obwąchuję, i nieustannie się dziwię, że Polska jest taka duża, że ma tyle ładnych miejsc, o których nic nie wiedziałem. Tak łatwo redukujemy kraj do naszego wyobrażenia o nim, bo jego skala jest nie do objęcia.

Polska nadal nie wierzy w siebie. Co miesiąc ogłaszane są wyniki badania opinii publicznej i wskaźniki optymizmu, z których wynika, że wiara w siebie i w przyszłość co zdoła ciut urosnąć to zaraz się kurczy jak goły na mrozie.

Ciekawe są refleksje na temat naszych cech narodowych w sferze mało refleksyjnej, w sporcie. Młody tenisista Marcin Rozpędzki, który wyjechał do USA do słynnej szkoły tenisowej, gdy wrócił do kraju od razu zdobył mistrzostwo Polski. I jakże znamienne, że w rozmowie mówi — „kiedy wychodzą na kort Amerykanin i Polak, to ten Polak jest taki biedny i skromny, i strasznie przygnębiony, i taki malutki, że stoi od razu na straconej pozycji".

Upadek polskiej piłki nożnej zaszedł tak daleko, że wygrana na swoim boisku z Azerbejdżanem wzbudziła niemal entuzjazm. Trenerzy naszej kadry pytani, co tak przeszkadza reprezentacji, mówią pokracznym piłkarskim językiem o naszych cechach narodowych. Że nie potrafimy ze sobą współpracować, do kupy się pozbierać, tylko jak jest katastrofa to jakoś się mobilizujemy.

Przechodnie, taksówkarze, kelnerzy, politycy, działacze kulturalni, chłopi — wszyscy jakoś dziwnie są w tym kraju strapieni, a kiedy patrzę na tych strapionych to ze zdumieniem widzę, że im się całkiem dobrze powodzi. — Ludzie, wołam, o co tak naprawdę chodzi, co nam przeszkadza? Wyłania się wtedy jakieś bezkształtne monstrum niemożności, jakiś psuj zawsze gdzieś obok, lub na rządowej górze. A ja mam wrażenie, że to jest w każdym z nas.

Kiedy spotykam się z architektem naczelnym Warszawy Heniem Drzewieckim, który jest jak zawsze uroczo zagubiony w labiryntach Warszawy, i tak zawirowany w nadmiarze obowiązków, że mam wrażenie, że ręce i nogi poplątały mu się i zawiązały na supełki, on też mówi o jakiejś niemożności, coś tam gdzieś, władza, oni, my, układy, przepisy — nie da się bracie, nie da się.

Minęło 13 lat od stanu wojennego, od koszmarnej nocy, koszmarnego roku i nie lepszych lat następnych, od niebywałych podłości i kłamstw tamtego czasu. Miliony ludzi marzyły wówczas by uczynić jakąś krzywdę generałom, a minęło 13 lat i z tego co wiem nikomu nawet nie wycięto policzka. Autorzy stanu wojennego zdążyli stać się autorami książek o stanie wojennym i chodzą po naszych ulicach w postaci poczciwych emerytów, podczas gdy ich dawne ofiary grają dzisiaj role podłych i swarliwych polityków. A tyle było kiedyś naszej nienawiści, w co ona nam poszła?

I oto po 13 latach spóźnioną „sprawiedliwość" wymierza rolnik Stanisław Helski. W stanie wojennym w odwecie za działalność Helskiego w „Solidarności Rolników", naczelnik gminy nakazał obsianie jego pola jęczmieniem, gdy ten chciał posiać rzepak. I posiał. W asyście milicji zaorano więc pole i karnie posiano jęczmień. Chłop w sprawie ziemi nie popuści, więc pole na powrót zaorał. Zamknięto go do ciupy a syna pobrano do wojska. Od tamtego czasu pole leży odłogiem, a

na jednym z zabudowań gospodarskich widnieje napis „Generale, przyjdzie czas zemsty".

To, że chłop uszkodził generałowi szczękę gdy ten podpisywał swoją książkę, gdzie usprawiedliwia stan wojenny, ma swój tragikomiczny wymiar. Oto generał występuje jako pisarz i ofiara, zaś chłop oprawca z kamieniem jako sprawiedliwość spóźniona, jak kamień niekształtna i brudna.

Finał jest taki, że generał poleciał do szpitala specjalnie podstawionym samolotem, w szpitalu odwiedził go biskup, zamachowiec odpowiada z wolnej stopy i bardzo jest z siebie zadowolony, a generał idąc śladem Chrystusa i Papieża wybacza oprawcy. Tak oto wszystko się u nas pomieszało.

Mój dom o dwóch piętrach, dwóch nieznośnych psach i jednym który jest na szczęście mało słyszalny, o sporej liczbie starych kobiet skrzywdzonych przez mężczyzn i historię, ten dom nieustannie ujawnia nowe tajemnice. Pewnego dnia gdy wróciłem z miasta ujrzałem zaciek na suficie, a mieszkając na piętrze ostatnim domyśliłem się, że strych przecieka. Przeciekające dachy, psujące się instalacje wszelkiego typu, awarie wodociągów, oto nasze dziedzictwo.

Kiedy od sąsiadki pożyczałem klucz od strychu, po jej zatroskanej minie poznałem, że wchodzę w strefę delikatną. Gdy wszedłem piętro wyżej, ujrzałem kłódkę niezwykle potężnej postury. Okazało się, że to jednak nie ta część strychu co mnie interesuje, bo w tym małym domu strych jest podzielony na dwie części, a ta nad moim mieszkaniem posiada zupełnie inną kłódkę, którą z sąsiednią łączyła tylko niezwykła solidność. Z uzyskaniem do niej klucza już kłopot. O tak, te kłódki są znakiem jakiegoś szaleństwa. Tak stopniowo odkrywam, że ten niewielki, pozornie poczciwy dom jest napęczniały od konfliktów.

Nie wiem od jak dawna trwa walka o strychy? Ale z pewnością to ten sam typ sporu, jak między Prezydentem a Premierem, o władzę, godność, przestrzeń nad głową.

Umówiłem się w restauracji przy Placu Piłsudskiego. Jako że samochodowe korki dodają nową niewiadomą do naszej chorobliwej niepunktualności, na wszelki wypadek wyjechałem za wcześnie, lecz korki okazały się dla mnie łaskawe. Miałem więc pół godziny, a przed sobą Plac Piłsudskiego w jesiennym słońcu. Obejrzałem jak posuwa się wieloletnia odbudowa spalonego Teatru Narodowego. Popatrzyłem w niebieskie oczy żołnierzy co stoją na baczność przy Grobie Nieznanego Żołnierza, zastanawiając się czy ma sens odbudowa Pałacu Saskiego, z którego kilka ocalałych filarów kolumnady jest siedliskiem grobu. W głębi parku moją uwagę przykuł piękny wodotrysk projektu Marconiego z połowy XIX wieku. Kiedy zbliżyłem się obserwując jak dziarsko plują wodą kamienne ryby, nagle uświadomiłem sobie, że jestem w tym miejscu po raz pierwszy. Zdumiał mnie pobliski staw z rzeźbą i na wzgórzu biały pawilon zwany Wodozbiorem.

Jestem urodzony w tym mieście, spędziłem tu wiele lat, zaskakująco wiele, szczególnie jeśli pomyśleć, na jak mało lat się czuję. Przechodziłem obok tego Saskiego Parku ze sto razy a pobliskimi ulicami przemykałem samochodem jeszcze częściej. I nigdy nie wszedłem do tego parku w sercu miasta. Było to miejsce zbyt oczywiste, zbyt bliskie, oswojone przez dotykanie brzegów więc środek wydawał się też znany.

To pouczające, chociaż banalne doświadczenie — mamy na zewnątrz siebie, lub tuż obok wiele nieodkrytych miejsc a ocierając się o ich brzegi, nawet nie wiemy, że nie znamy ich wnętrza.

Na oczach milionów ludzi intelektualiści pokaleczyli Prezydenta RP Lecha Wałęsę. Spektakl odbył się w ramach komisji sejmowej, ale na scenie telewizji. Wałęsa, który już dawno stracił wyczucie co jest w stanie, a czego w stanie nie jest, postanowił zmierzyć się sam jeden z elitą Unii. Oskarżono go, że łamie prawo i zagraża polskiej demokracji. Już dawno nie miałem równie mieszanych uczuć. Unici byli piękni, mądrzy i szlachetni, ich intelektualne sztylety migały w słońcu reflektorów. Wałęsa był ciężki, nieporadny, spocony. W pewnej chwili miałem wrażenie, że przez pomyłkę wpadłem na kanał hiszpańskiej telewizji gdzie torreadorzy oraz ich pomocnicy zarzynają na arenie byka.

Partie prawicowe, chociaż nienawidzą Wałęsy, wpadły w szał nienawiści do Unii, jak zazdrośnik ryczy z bólu kiedy widzi, że sąsiad wygrał wielką sumę na loterii. Bo Unia wystąpiła jako obrońca demokracji, a po mdłych miesiącach milczenia dała wielki spektakl publiczny. „A to łajdacy, hipokryci" — zaryczały partie prawicowe — „udają tylko obrońców demokracji, wcześniej nie awanturowali się kiedy była zagrożona".

A naród — naród ma już tak dokładnie pomieszane w głowach, że doprawdy nigdy nie wiadomo jak co oceni. Krzywa popularności Wałęsy leci na łeb na szyję, a jego... Ja, Ja, Ja, musi być żenujące dla wszystkich. Lecz wiele wskazu-

je, że cyrkowy spektakl z Unią naród odebrał jako znęcanie się intelektualistów nad prostym człowiekiem.

Prezydent już wie, że nie wygra w normalnych warunkach, więc jak się wydaje zaczyna walczyć o warunki nienormalne. Chce tak namieszać, tak rozchwiać scenę polityczną, że ludzie z rozpaczy wybiorą jego. Kiedyś promował Premiera Pawlaka, teraz robi z niego idiotę, co nie jest zresztą takie trudne. Konflikty między Premierem i Prezydentem podczas wizyty w USA mają szansę przejść do historii światowej dyplomacji. Obaj panowie wydają się zaprzeczeniem poczucia taktu i dyplomatycznych umiejętności, obaj przepraszam za słowa, są jakby w złym guście.

W wywiadzie dla *Wprost* Prezydent tworzy taką oto pokrakę na temat przyszłej prezydentury. „Boję się, że wygram ze zbyt wielką przewagą. To nie byłoby dobre dla demokracji". Po tej wzruszającej obawie oświadcza: „Jeśli demokracja zadziała tak mocno, że jest w stanie mnie pokonać, to ja zwyciężyłem. Osobiście przegram, ale cel, który sobie postawiłem, zostanie osiągnięty". No i proszę jaką zręczną pieluszkę wymyślił Wałęsa dla swojego nabrzmiałego i czułego ja. Nie może przegrać ze swoimi błędami, słabościami, brakami, nie może też przegrać ze swoimi przeciwnikami, on tylko może przegrać z polską demokracją. A to jego osobiste nieszczęście będzie szczęściem dla ojczyzny, więc on się tym pocieszy.

Szara brzydota polskiej prowincji, obnażona przez upadek liści. Owszem, w ciągu ostatnich lat w miejsce pokrywy garnka pojawiły się spadziste dachy i jest jakaś próba komplikacji z boku, jak organ w zaniku, który pierwotnie był kolumnadą. To podobno ma być nawiązanie do polskiego dworku. Ale nawet ta żałosna komplikacja wydaje się lepsza od dawnej prostoty. Zbudowano w malutkim zaniedbanym miasteczku dworzec autobusowy, dosyć czysty i estetyczny, gdy kiedyś od razu budowano ruiny. Zdarza się też między barem alkoholowym a kościołem płatna toaleta, gdzie nie strach wejść.

Granica białoruska blisko, jesteśmy na terenach dawnej wielkiej Litwy, niedaleko biegnie szosa, którą ze wschodu płynie potok ciężarówek, sporo napisów przy tej drodze jest po polsku i po rosyjsku. I prawdziwa epidemia stacji benzynowych, nie wiem czy gdziekolwiek w świecie widziałem takie ich zagęszczenie. Ale największą karierę handlową robi przedmiot zaskakujący, biorąc pod uwagę jak ciężkie i ruchome czasy są na wschodzie. To fotel, miękki, obfity, w kolorach ponurych, ogromnie niegustowny w swoich aspiracjach do luksusu. Te fotele w kilku wariantach stoją przy szosie i zapraszają — weź mnie. Czy mieszkańcy byłego Imperium gdy moszczą swoje tyły w tych fotelach czują się nareszcie w Europie?

Te miasteczka na wschodzie Polski nie są ubogie, nie są nawet brudne jak brudna potrafi być Azja. To jest jakieś zmarnowanie, jak twarz człowieka potrafi być wymięta i wynędzniała. Ten kraj jest ogarnięty powszechnym ograniczeniem potrzeb estetycznych. Oglądając dziesiątki wsi i miasteczek właściwie nie widuje się ani jednego domu tak zadbanego jak zadbany jest pierwszy z brzegu dom na niemieckiej prowincji. Ładne i zadbane bywają kościoły, oczywiście stare, bo nowa architektura sakralna jest też okropna.

I co za paradoks — po pół wieku niszczenia tego co zostało po Polsce arystokratyczno-szlacheckiej, zaczyna się odtwarzanie tej dawnej tkanki. W tej sytuacji częsta bywa karykaturalność, ale nie zawsze. Wiedziałem, że mój znajomy X. buduje sobie posiadłość, ale gdy ruszałem do niego, nie byłem świadom jak to jest poważne przedsięwzięcie. Mijały mnie ruskie ciężarówki, kusiły fotele, a w jednym z osiedli zatrzymała policja za przekroczenie szybkości. Na radarze było 88 zamiast 60. „Gdzie pan pracuje?" — pytał policjant ślamazarząc się z moim dowodem rejestracyjnym. Powiedziałem, że jestem dziennikarzem. „Józek, puścimy dziennikarza?" — zapytał kolegę policjant, ten łaskawie kiwnął głową i zostałem puszczony z portfelem o nie zmienionym profilu. „Tylko niech pan o nas ciepło pisze" — rzucił na pożegnanie policjant.

O tak, czują się słabi, chcą być kochani, ale to lepsze, od dawnej agresji z poczucia odtrącenia.

Skręcając z szosy w naszą wiejskość prawdziwą, mijam gniazda bocianie wśród ceglanej zabudowy, tylko czasami trafia się kryta strzechą chata i tylko to jest ładne na naszej wsi. Stoją krzyże na rozstajach dróg, żłobionych przez stulecia, podobnie jak bruzdy na twarzach tutejszych ludzi. Zrównuję się z furmanką, gdzie siedzi dziad i baba, a przecież to też jest Pani i Pan, mimo zaniedbania to przecie Państwo Chłopi. Pytam o drogę a Oni bardzo życzliwie pokazują drogę do dworu, gdzie mieszka dziedzic, pokazują jak przed stuleciami bywało, ale teraz nie zdejmują czapek z głów bo oni też Pany.

Bardzo wyrafinowane metalowe ogrodzenie przechodzące

w murowane, z bramą która jeszcze czeka na spięcie z resztą. Zamazane przez bezpańskie lata zarysy dawnego parku, i wyłania się nagle dwór biały, tak obszerny, że można go zwać pałacem. Kryty gustownym gontem z kory, okratowany, bo cała Polska na poziomie parteru się kratuje, ale te pałacowe kraty mają wdzięk. Dowiaduję się potem, że są dziełem wybitnych metaloplastyków zza wschodniej granicy. Widać ich zresztą jak krzątają się w pobliżu szykując następne partie ogrodzenia. Ci najemni spoza granicy, przez właścicieli posiadłości zwani życzliwie Bolkami, mieszkają w nędznym małym baraku, który dziwnie kontrastuje nie tylko ze wspaniałością pałacu, ale też pobliskich stajni, które również wyglądają imponująco. Spichlerz leżący w pewnym oddaleniu prezentuje się niezwykle estetycznie. Czyli Polska może być taka, zadbana w każdym szczególe?

Zwiedzam pałac jeszcze nie w pełni ukończony, gdzie sala balowa, z braku balowych czasów będzie zamieniona na bibliotekę. Piękne piece z różnych epok, witraże i wyrafinowane podłogi. Ale najbardziej chyba imponują łazienki. W planie odtworzenie parku, stawów, zakup ozdobnych pawi i danieli.

Czy ludność okoliczna, która lustruje pałac z zewnątrz, ma szanse co widzi traktować jako wzorzec? Czy ci, którzy dostąpili możności bycia w środku, zaczną myśleć o bieżącej wodzie i podgrzewanych podłogach? Jaka jest szansa na tworzenie wzorców? Kiedyś wieś znajdowała się w takim upodleniu, że dwór był tylko snem, baśnią. Dzisiaj są środki by kopiować wzory. Nie jest to jednak takie proste, bo działa prawo wyuczonej bezradności, szczególnie w starszym pokoleniu. Pewien chłop po obejrzeniu lśniących toalet pałacu, oburzył się na brak higieny. „Jak można takie rzeczy robić w domu, gdy kuchnia za ścianą. To się powinno robić, po bożemu za stodołą".

Uderza, że ludzie tutejsi nawet gdy są w naszym wieku wydają się dwukrotnie od nas starsi. Idziemy z gospodarzem do sąsiada rolnika, bo X chce od niego odkupić kawałek łąki. Ta chałupa wydaje się być na innej planecie. Gospodarza nie ma, a drzwi pełne blizn zamknięte są na kłódkę, zaś podwórko przedstawia obraz zaniedbania, jakby ktoś je wyturlał w błocie, porąbał siekierą i tak zostawił by się zagoiło. Nie ma jednak na tym podwórku śmietnika tylko jakieś wrodzone zaniedbanie, śmietnik jest za to tuż obok, za płotem. Piętrzą się tam zwały metalowych odpadów, jakaś miednica, dziurawy nocnik, części pługa, stare beczki, wszelkie odchody gospodarskie. Bo ten teren chociaż należy do gospodarza, ale będąc poza podwórzem nie jest godny choćby odrobiny litości. Czyż nie przeniesiono tego do naszych miast, czy stan naszych klatek schodowych nie jest powtórzeniem tego schematu?

Ale widać już pierwsze pokraczne chałupy z kształtnymi talerzami satelitarnych anten. Czy jednak wcześniej nie było naszej polsko-ludowej telewizji pod każdą niemal strzechą, ale luksusowe mydełka i wanny w zachodnich filmach w bardzo nikłym stopniu cywilizowały naszą wieś.

Nasz patriotyzm jest wystawiony na ciężką próbę doprawdy w różnych wymiarach, choćby w tym najbardziej przyziemnym. Od jakiegoś czasu upieram się by kupować polskie towary. Kupiłem polską lodówkę, a w jej brzuchu coś tak strzela, że budzę się w środku nocy z morderczymi wobec tej lodówki zamiarami. Kupiłem polski telefon, szlag go trafił. Polskie skarpetki utraciły młodość i zachorowały na starość po pierwszym praniu. Czy starczy mi patriotyzmu by kupić jak zamierzałem polską pralkę?

Na targach książki we Frankfurcie, gdzie trudno o większe upokorzenie dla człowieka piszącego. Praca literacka wymaga skupienia, jest aktem artystycznym wielce indywidualnym. Zestawienie setek tysięcy indywidualistów ze sobą razem, by każdemu pokazać, że tak naprawdę porusza się w tłumie takich samych „unikatów" przekonanych błędnie o swej wyjątkowości to jest dopiero spektakl. I te bezkresne labirynty, gdzie można się zgubić na amen, a być odnalezionym po latach, nagie kości obgryzione przez książki. Bardzo szybko przestałem patrzeć na okładki a zacząłem na twarze ludzi — na ileż ciekawiej byłoby je otwierać i zaglądać do środka. Rośnie pawilon z mediami technicznymi, gdzie próbuje się książkę zastąpić komputerem, w przypadku encyklopedii sukces jest bliski. Chmary dzieci co tam buszują są jak motyle, które zapylają przyszłość nowym. Ciekawe, kiedy uda się zarżnąć książkę do końca?

Wydawcy? — zawsze mnie jednak dziwi, że ci ludzie tak mało czują treść książki, oni je tylko obwąchują jak mięso czy jest świeże. Gdyby nie zbieg okoliczności handlowaliby bielizną lub perfumami.

Uciekam do Galerii Frankfurckiej, która jak wszystkie muzea jest wielką, ale wspaniałą trupiarnią. Ale tam też, co mi się coraz częściej zdarza w muzeach, zapamiętuję podejrza-

nie wiele obrazów twarzy zwiedzających i pilnujących zbiorów.

Kasjerka liczy sobie pod nosem po polsku. Wzruszyło mnie to, bo identyczne polskie liczenie słyszałem niedawno w kasie Muzeum Narodowego w Sztokholmie. Świat jest jak wielki dywan, cały w polskie paski.

Zagubienie i rozpacz naszych intelektualistów i artystów czasami przybiera charakter żałosny, jest spora grupa co zgłupiała zupełnie, niektórzy ratują się jak tonący po katastrofie statku, inni którzy mają czas i głowę montują sobie ratunkowe szalupy. Jarosław Marek Rymkiewicz po wysnuciu teorii lekko spiskowych, po fali miłości do Olszewskiego i jego partii, jak się zdaje mości się w szalupie o nazwie Adam Mickiewicz. W gadanej książce o znamiennym tytule „Mickiewicz czyli wszystko" Rymkiewicz tak mówi: „Ze mną z latami stało się coś dziwnego, o czym niekiedy myślę z pewnym przerażeniem, ale nic przeciw temu nie mogę. Ja czytam właściwie tylko Mickiewicza oraz książki o Mickiewiczu, nic innego mnie nie interesuje. A jeśli czytam coś innego, to po to, żeby lepiej zrozumieć Mickiewicza. Może oszalałem... (...) Mówiąc inaczej szukam wsparcia". Doprawdy lepsze to od *Gazety Polskiej* gdzie szukają wsparcia niektórzy literaccy koledzy Rymkiewicza. Ale zgadzam się, jest w tym element szaleństwa. A jedno z niebezpieczeństw ujawnia się w takim oto zdaniu pisarza: „Jestem dumny z tego, że jestem Polakiem, że jestem polskim szlachcicem, że jestem poetą. Jestem dumny z tego, że jestem człowiekiem..." Otóż ta kolejność niepokoi, lepiej jednak brzmi gdy zaczyna się od człowieka, a dumy też bezpieczniej do wszystkiego nie mieszać, no, ale jak widać niektórzy jak nie są dumni, to są głodni.

Rozumiem miłość do Mickiewicza, lecz nie da się z niego zrobić skansenu dla mas, chociaż zgadzam się, to on określił polskość, nasycił ją barwą, nakarmił miodem i oprawił w marmurowe ramy. Ja też kiedy czytam jego wiersze czuję się lepszy i nagle nie mam kompleksów wobec Zachodu, które mają u nas prawie wszyscy. Ale z Mickiewicza nie da się zrobić esencji dla naszej codziennej herbaty, ani pastylek abyśmy spali nie budząc się z krzykiem w nocy. I przecież On też nie wytrzymał, uciekał na czas jakiś w towiańszczyznę, w zamęt umysłowy i półobłęd. Czy mógł przewidzieć, że po półtora stulecia niektórzy będą uciekać w niego?

Jesteśmy dzisiaj w zapaści cywilizacyjnej, nie wyjdziemy z niej pijąc Mickiewicza, natomiast jest realne, że pewnego

dnia wessą nas niemieckie autostrady i przetrawią razem z czarami naszej poezji romantycznej. Mickiewicz i jego mali uczniowie dzisiaj buntują się przeciwko rozumowi na rzecz czucia, zbudujmy najpierw rozumem nasz dom, potem można go urządzać czuciem, jeżeli jeszcze będzie czucie, a tego nie jestem pewien.

Mój przyjaciel filozof już dosyć dawno uciekł w religię, a zanurzył się w niej szczególnie głęboko gdy nastał u nas czas przełomu i zagubienia inteligencji. Ale jak się okazuje to nie wystarczyło, i oto niedawno odkrył w sobie szlachcica zaściankowego. Patrzę na niego, rzeczywiście!

I nawet Miłosz też przyznaje, że żyjąc na Zachodzie cały czas występował jako szlachcic zaściankowy. On również żywo zaniepokojony zachwianiem naszej tożsamości narodowej z powodu zalewu śmietnika z Zachodu. Jak sam jednak przyznaje, używając zaścianka jako obrony przed Zachodem, „zaczął bardzo wcześnie od buntu przeciwko temu zaściankowi". Wtedy jest szansa na stosunek do tego zaścianka, jak to Miłosz określa, „dialektyczny". Boję się, że w każdym innym wypadku przeciwstawianie Polski Europie jest bezpłodne. Więcej, to myślenie „zaściankowe" jeśli staje się pokarmem dla duchów narodowych niższych stacza je w nędzny nacjonalizm i pomieszanie umysłu. Jerzy Robert Nowak w grubej antologii „Myśli o Polsce i Polakach", we wstępie pisze o Miłoszu, że „okazał się kimś gruntownie wyobcowanym z Polskości". Nowak doszedł do tego „genialnego" odkrycia idąc ścieżką wykutą bezwiednie przez Rymkiewicza, którego Miłosz zresztą broni.

Przypominając sobie niedawno „Pamiętniki" Jana Paska byłem zafascynowany jędrnością języka, jurnością humoru i przerażony polskim rubasznym czerepem. Boję się, że zanim Mickiewicz Polskę zbawi, panowie Paskowie ją wykończą na amen. Nie antynarodowi kosmopolityczni inteligenci, zachodni bankierzy, masoni, Żydzi i pederaści. A niepokój z powodu ślepej unifikacji podzielam, a pewne objawy naszej zaściankowej szlacheckości ogromnie lubię.

Znakomity eseista Ryszard Przybylski też z rozpaczy pisze książkę „Pustelnicy i demony". Uważa, że ojczyzna nasza „wpadła w zapaść duchową", woła więc do rodaków, „których wspólnota ginie w rozterce między tanim bazarem, a wyświechtanymi słowami". Ale zarazem odcina się od bęcwalstwa prawicowo-narodowego i nawet atakuje kościół nasz. Poza tym książka cała wysnuta jest z cienkiej pajęczyny myśli, to raczej nudna, ale bardzo piękna opowieść o daw-

nych pustelnikach i nękających ich demonach. Podobno głównie w wieku trzecim uciekano od zgiełku i brudu świata w samotność. I w takiej ucieczce dzisiaj widzi Przybylski nadzieję, czyli w studiowaniu starych ksiąg i w samotności.

A mój bliski znajomy P. pisarz z odległego miasta na przekór wszystkiemu wyostrzył poczucie ważności roli artysty. Grzmi nieustannie jak Skarga wznosząc dłonie, że postępuje skundlenie społeczeństwa, a my pisarze siłą ducha dźwignąć musimy upadek do góry. P. chyba zawsze był patetyczny, ale kiedyś mniej to drażniło, dzisiaj na tle krajobrazu naszej zimnej wolności jest już niemal tylko figurą retoryczną. Jak wieloryb wypuszcza z karku fontanny patosu, by zanurzać się w oceanie słów. Kiedy jesteśmy na ludnym spotkaniu działaczy kulturalnych z całego województwa, gdzie wielki płacz o pieniądze na zdychającą kulturę, P. wtacza się na trybunę, ale już po kilku minutach sala mu przerywa. Ci ludzie czują, że tak nadmuchane słowa nie pociągną za sobą żadnego czynu. P. jest wstrząśnięty, już dawno nie widziałem człeka, który swoje oburzenie równie melodramatycznie niósł przed sobą, z pomrukiem, „kneblują pisarza".

Niestety niczego nie zrozumiał, bo kiedy wsadzał nas do taksówki, szepnął do kierowcy — „to są pisarze". Pomyślałem, już lepiej by brzmiało gdyby powiedział — „to są hydraulicy". Kiedy jestem u niego w domu, wielce zaniedbanym ale ciepłym, dowiaduję się że już od roku nie płaci czynszu, bo nie ma czym. Jego dzieci urocze, ale jakże od niego inne, jeden syn jest sportowcem, drugi z włosami do ramion antysportowcem, oni budować będą Polskę już według własnego planu, a naszego ględzenia słuchają łaskawie, ale nie żłobi ono głębokich kolein.

A międzynarodowa konferencja utonęła w naszych polskich prowincjonalnych sporach, kto nawalił, a co miało być dialogiem uparcie trzymało się monologu. Nie mogłem się powstrzymać by w poincie, nie przeprosić naszych zagranicznych gości za ten spektakl — goście byli wielce wyrozumiali, bo nikt nie jest tak wyrozumiały wobec Polaków, jak niemieccy intelektualiści — przepraszając więc, ośmielam się zauważyć, że po tej lekcji przynajmniej łatwo im będzie pojąć czemu Polska, mimo że wolna, długo jeszcze nie będzie krajem dobrobytu, chociaż bez wątpienia trudno się w tym kraju nudzić.

Rozmawiając z kierownikiem placówki kulturalnej w dużym mieście, które nie jest Warszawą, dostaję potwierdze-

nie swoich intuicji, i o czym opowiadał mi kiedyś Andrzej Wajda. Gdy chodzi o upadający polski teatr, to nie pieniądze są problemem, to samo dotyczy filmu, i wszystkich dziedzin kultury. Problemem jest amatorstwo i bezradność w organizowaniu placówek kulturalnych w nowych warunkach, kiedy trzeba zabiegać o publiczność. I nie ma takich pieniędzy, które nie będą zmarnowane.

Jadąc autobusem przez Polskę rozmawiam z K. świetnym człowiekiem i artystą, ma w sobie tyle światła, szkoda, że jak to u nas bywa przyciemnia to światło papierosowym dymem i gasi je alkoholem. K. został po przełomie senatorem. Potem już za Boga nie chciał. Opowiada, że jeszcze za jego czasów, mimo różnic, każdy senator z każdym rozmawiał, a wie od kolegów, że obecnie są głównie konflikty naburmuszenia i wzdęcia godnościowe. Żyjąc w niewielkim mieście, wiele jeżdżąc po wsiach, potwierdza moje obserwacje na temat zakwaszenia polskich dusz. I jakby się wszyscy wypalili. Nikt nie ma już siły.

Młoda generacja — zgadzamy się — tylko oni mogą obciąć krzywe knoty naszych pokrzywionych ogarków i zapalić swoje pochodnie.

Kiedy na Żoliborzu w wojskowym hotelu spotykam się z lordem Alanem Bullockiem jestem wzruszony, ale nie tylko dlatego, że tak poruszyło mnie jego dzieło „Hitler-Stalin". Inna jego gruba jak cegła książka „Hitler" stała przez lata w moim rodzinnym domu, w miejscu które codziennie musiałem omiatać wzrokiem. Więc zdawała mi się ta książka jedną z kolumn tego domu. Już wtedy przed wieloma laty wydawał mi się Bullock osobą z innego wymiaru czasu, a teraz mogę z nim rozmawiać.

Ten hotel jest w jakimś sensie pomnikiem Jałty. Każdy jego centymetr jest zrobiony z sowiecko-prlowskiej materii, od wykładzin po portiernię i portiera, to są socjalistyczne materiały, brązowe i szare, tu wszystko nadal pachnie brakiem wolności. Tylko telewizory zachodniej produkcji przypominają małe statki kosmiczne, które przybyły z innego świata. Angielski lord wyjęty z powieści Sir Arthura Conan Doyle'a wygląda na tym tle doprawdy kuriozalnie. Jako gość wojskowego wydawnictwa otoczony przez oficerów, którzy nadal nie czują się zręcznie w wolności, jakby została ona skrojona nie na ich miarę. Młody kapitan opowiada mi półszeptem, jak z szeroko otwartymi oczami obserwował gdy

pod blaskiem słońca wolności topniały lodowe twarze wszystkich oficerów Armii Ludowej, jak osobliwe ujawniały się rzeczy pod tą pokrywą. Opowiada jak chrzcił potajemnie dziecko. I pomyśleć, że dzisiaj specjalne komisje głowią się, czy nasi generałowie podpuszczani przez Prezydenta głosowali przy stole w Drawsku nad dymisją ministra obrony narodowej, czy nie? Co się porobiło!

Bullock ma 80 lat i patrząc w przestrzeń cytuje słynny „zakład" Pascala, że trzeba wierzyć, że istnieje życie po śmierci. „Inaczej nasze życie tu nie ma sensu, i historia też nie ma" — mówi historyk — „wierzę, że wszechświat jest większym spektaklem niż nam się wydaje". Otóż ja nie wierzę, ale nie jest to przecież temat do dyskusji. Nie czuję w „zakładzie" Pascala dreszczu metafizyki, on rodzi się z tego co widzę przez okno. Hotel mieści się tuż obok domu, gdzie mieszkał i wyszedł na śmierć ojciec mojej matki, legionista i zawodowy oficer. Wkrótce potem w beznadziejnej sytuacji podrywając do ataku swoją kompanię, przekreślony został czarną serią karabinu maszynowego przez piersi. I pomyśleć, że ta seria naznaczyła moje obecne teksty do „Kultury" ciemną smugą, którą zatruwam od lat czytelników. Bo moja matka była wtedy dzieckiem a ta śmierć ojca oraz groźne wojenne losy osieroconej rodziny naznaczyły jej psychikę ciemną smugą, którą użyczyła mi bezwiednie. Nie próbuję jednak tych komplikacji tłumaczyć Bullockowi, więc tylko nie przypadkiem obgryzając paznokcie zerkam przez okno na okoliczne domy. Rozmawiamy o blacie stołu, o idiotycznym blacie stołu, który uratował Hitlerowi życie gdy wybuchła podłożona przez oficerów bomba — gdyby nie ten blat wojna skończyłaby się wcześniej, Polska od pół wieku byłaby krajem wolnym, a w nas i za oknami byłoby o wiele więcej świateł.

SMECZ

Sąsiedzi

Litwa — czy jest lepiej?

We wrześniu 1994 znów odwiedziłem Litwę. Jak zwykle lecieliśmy z siostrą przez Warszawę. Litewskie Linie Lotnicze — od zeszłego roku tu się dużo nie zmieniło. Prace nad ukończeniem dworca lotniczego posunęły się trochę naprzód: odloty są już na modłę zachodnią. Przyloty nadal po staremu. Formalności minimalne i żadnej kontroli bagażu. Przed paru miesiącami otrzymałem nowy paszport litewski (teraz w pewnych wypadkach podwójne obywatelstwo jest dozwolone). Urzędnik na lotnisku spojrzał tylko na okładkę i nawet go nie otworzył.

Po przejściu odprawy paszportowej i celnej jak zwykle tłumy znajomych i przyjaciół. Już następnego dnia, odwiedzając groby rodzinne, zauważyłem, że wśród grobów legionistów, wokół serca Marszałka, tam gdzie przedtem były nie uporządkowane groby powstańców z 1944 roku, teraz (prawdopodobnie z okazji wizyty Ojca Świętego), wszyscy mają jednakowe płyty, jak ci co tam już uprzednio spoczywali.

Wilno na zewnątrz lepiej się przedstawia. Tu i ówdzie widać sklepy z towarami wystawionymi w oknach, umyte szyby, sporo kawiarni i restauracji. Za ostatniej mojej wizyty były jeszcze „talony", teraz są już lity wymienne na dewizy. Kurs cztery lity za dolara. Moim zdaniem utrzymywany sztucznie by nie podnosić ceny towarów z importu. Może był to właściwy kurs ubiegłego roku. Teraz powinno być przynajmniej pięć litów.

Właściwie obecna Litwa bardzo mi przypomina Polskę sprzed pięciu lat. W sklepach prywatnych pełno importowanych z Zachodu towarów i wszystko można dostać, ale ludzie nie mają pieniędzy. Z drugiej strony, sprytni i obrotni

doskonale dają sobie radę. Trzeba mieć wpływy i znajomości! Ustawy nie są jasne i często brakuje rozporządzeń wprowadzających je w życie. Ludzie to wykorzystują.

Ale są już prywatne „supermarkety", może nie tak wspaniałe jak na Zachodzie, czy nawet w Warszawie. Można już się jednak zupełnie dobrze w nich zaopatrzyć. Jeden z większych, który zwiedziłem to „U Józefa". Poza mlecznymi produktami, mięsami i przetworami mięsnymi, wszystko jest z importu. Ale te lokalne produkty są już atrakcyjnie opakowane i w dobrym gatunku.

Warto tu opowiedzieć o trzech energicznych młodych Belgach, którzy zaczęli parę lat temu od wydawania po angielsku przewodnika po Wilnie. Bardzo dobrze zrobiony i dowcipny, dający nie tylko historię miasta i kraju, listę restauracji i hoteli, ale również praktyczne rady. Autorzy podkreślali, że ponieważ prawie nikt nie zna angielskiego języka mogą bezkarnie pisać prawdę. Chłopcy dorobili się na tym wydawnictwie.

Dziś mają już swoją firmę samochodów do wynajęcia i „łańcuch" supermarketów „IKI". Zwiedziłem jeden z nich. Oto kilka cen, które dla łatwości podaję w dolarach: świnina od 3 do 5 $ za kg; wołowina $ 2,5; cielęcina $ 2. Kiełbasy (dobre) od $ 2 do 5. Szynka $ 4, polędwica $ 7. Chleb 0,15 do 0,40. Mleko 0,15 do 0,30 za litr. Wódka $ 5 za litr. Piwo litewskie od 0,50 do 0,75 za litr, itd. Według statystyk przeciętny mieszkaniec Litwy wydaje obecnie 55 % swego zarobku na jedzenie.

Ceny towarów importowanych często są bardzo różne za te same artykuły, gdyż z jednej strony stale są zmiany w wysokości opłat celnych, z drugiej często są to towary z przemytu. Ze zdziwieniem zauważyłem, że Litewskie Linie Lotnicze, aż trzy razy na tydzień mają loty do Dubajj, a dwa razy na tydzień do Istambułu i na Cypr. Są to właśnie „szlaki dróg importowych", jak dawniej „szlaki bursztynu". W ciągu jednej wyprawy można pokryć nie tylko koszta podróży, ale zarobić dobrą miesięczną pensję.

Mówiąc o wynagrodzeniach, starcza emerytura wynosi $ 28 na miesiąc; średni zarobek miesięczny $ 62, a dobra pensja $ 100, od której płaci się już podatek dochodowy w wysokości 24 %. Najwyższy podatek dochodowy jest 33 %. Ogólnym problemem, najbardziej odczuwanym na wsi w rolnictwie, w szkolnictwie i instytucjach kulturalnych, jest brak gotówki. Pracodawcy (w tym wypadku państwo) zalegają z wypłacaniem wynagrodzeń po kilka miesięcy. Rolnicy nie

dostają zapłaty za dostawy sprzed dwu lub trzech miesięcy. Powiedziano mi, że nawet taka instytucja jak telewizja wileńska, od kwietnia bieżącego roku, właściwie działa jakby była prywatną instytucją, gdyż żyje wyłącznie z ogłoszeń i to tylko z ogłoszeń zagranicznych firm. Skarb państwa nie dał ani grosza na wypłacanie zarobków, czy też na inne wydatki.

Zmienił się również na ulicach wygląd samochodów. Dziś w takich miastach jak Wilno duży procent stanowią wozy zachodnich marek. Kradzież wozów jest nagminna i najbardziej popularne marki to Łada, Żiguli etc. — wozy które można wwieźć do Rosji bez cła. Jest już szereg eleganckich stacji benzynowych. Koszt benzyny 95-oktanowej zależnie od marki może wahać się od 0,30 do 0,50 $ za litr.

Podobnie jak to było na początku w Polsce, wiele rzeczy w tym procesie przejścia do gospodarki rynkowej jest nie zbalansowanych. Na przykład jest dobre piwo litewskie (najlepsze z Uciany), czy też wódka. W żadnej restauracji nie można tego dostać, gdyż sprzedają tam wyłącznie piwa niemieckie, wódki duńskie czy fińskie, które są czterokrotnie droższe. Zainteresowało mię to i zacząłem szukać przyczyny, która okazała się bardzo prosta: za pozwolenie wyszynku opłata wynosi od 30.000 do 50.000 litów rocznie. Lokale muszą sprzedawać drogie alkohole, na których zarobek jest większy, by móc pokryć te koszta. Nonsens, ale tak jest. Nikt się nie zastanawia, że za import trzeba płacić eksportem, a to nie jest łatwo, gdyż trudno być konkurencyjnym, jak było się przyzwyczajonym do wsparcia rządowego.

Poszliśmy zjeść w Trokach. W centrum miasteczka jest duży nowoczesny budynek. Na budynku napis „Café-Gasthaus", a nad wejściem „Eingang, Entrance" i na samym dole „Iejimas". Od razu widać kogo tu najchętniej przyjmują. W ogóle pod względem kulinarnym niestety Litwa w ciągu ostatniego roku uległa kompletnemu przeistoczeniu. Dziś jest to jeden wielki „pizza land" i jestem przekonany, że za parę lat to kołduny, czy cepeliny będą znane tylko z opowieści historycznych. Z wielką przyjemnością przeczytałem artykuł Pani Ewy Berberyusz o cepelinach sprzedawanych przy autostradzie. Moja siostra strasznie je lubi i może zjeść ich sporo, zaś moja żona uważa, że należy najpierw zamówić ambulans nim się przystąpi do ich spożycia. No trudno. Na szczęście jeszcze nie zauważyłem Macdonaldów.

Z bardziej pozytywnych zjawisk jeżdżąc po Litwie, tym razem znów widziałem kilkakrotnie wielkie stada krów i nawet po raz pierwszy wielkie stado owiec. Widać znów

zaczęło się opłacać hodować owce na Litwie. Prywatne budownictwo i remonty domów i mieszkań, choć jeszcze bardzo powoli, posuwają się naprzód (nie można tego powiedzieć o państwowych zakładach). W Wilnie zaczęto prace nad restauracją kościoła Bernardynów. Potrwa to jeszcze, ze dwa lata, ale jest to krok naprzód. Niestety nic się jeszcze nie robi by odnowić jedne z najładniejszych kościołów, to jest Misjonarzy i Św. Jerzego.

Cudzoziemcy mają już dzisiaj prawo do nabywania nieruchomości i ziemi. Wygórowane ceny (w Wilnie $200 za metr kwadratowy, a na Starym Mieście $400) i tak praktycznie wykluczają lokalnych nabywców. Ceny powyższe są przed modernizacją, która na ogół zawsze jest konieczna. W przeciwieństwie do zeszłego roku, w miastach co dzień jest już gorąca woda i ogrzewanie powyżej 14°C.

Mój przyjaciel wiezie mnie z Wilna przez Poniewież do Szawel. Aż do Poniewieża autostrada jest właściwie skończona. W ogóle stan dróg na Litwie jest bardzo dobry i na taki mały kraj mają z 600 km autostrad o standardzie zachodnioeuropejskim. Ja również myślałem na początku, że to względy strategiczne Związku Sowieckiego były bodźcem do ich budowy. Powiedziano mi jednak, że odbywało się to niezupełnie tak. Zresztą stan dróg na Białej Rusi, czy też na innych terenach pogranicznych potwierdza tę drugą hipotezę. W byłym Związku Sowieckim wyznaczano budżet wszystkim sowieckim republikom na budowę dróg. Pieniądze przeznaczone na ten cel musiały być wydane we wskazanym terminie. Praktyczni Litwini zaopatrzeni w słoniny i wódki udawali się w podróż po różnych republikach azjatyckich, gdzie nie było ani samochodów ani sprzętu do budowy dróg, i „odkupywali" kontyngenty pieniężne, które następnie zużywali we własnym kraju. Stąd Litwa już w 1989 roku miała najlepszą w całym Związku sieć dróg i największą ilość samochodów na stu mieszkańców.

Po parogodzinnym postoju w Szawlach i wizycie w muzeum, jedziemy do Kielm starym traktem budowanym na rozkaz Katarzyny II. Dziesiątki kilometrów bez jednego zakrętu. Tak była wyznaczona droga z Petersburga przez Rygę, Mitawę, Szawle, Taurogi do granicy pruskiej w Tylży. Tu i ówdzie zostały jeszcze stuletnie brzozy, którymi ta droga była wysadzana. Myślę o tym, jak Katarzyna jeździła tą drogą by odwiedzić swe dziecinne strony, czy też jak Aleksander I jechał tędy w 1807 roku na spotkanie z Napoleonem na tratwie na Niemnie pod Tylżą. O parę kilometrów od tej starej pięknej drogi jest dziś nowoczesna szosa.

W Kielmach zatrzymujemy się. Zbór Kalwiński jest teraz gwałtownie odnawiany za pieniądze protestantów niemieckich. We dworze muzeum. W Cytowianach zatrzymujemy się również by zwiedzić stary pobernardyński klasztor, fundowany przez Wołłowicza. Spostrzegam, że refektarz z przepięknym stropem jest teraz odnawiany. Do Szydłowa jest już teraz droga asfaltowa. Zrobiono to w zeszłym roku na przyjazd Papieża. Kaplica Wiwulskiego troszkę zbyt jaskrawo odnowiona. Może z czasem nabierze patyny.

Na wieczór dojeżdżamy do Kowna. Kolacja jak zwykle u naszych znajomych. Rok temu byli na emeryturze. Teraz oboje pracują w firmie należącej do brata pani domu. Jest to *holding* mający szereg mniejszych firm pod sobą, zatrudniający paręset ludzi, między innymi robiący z odpadków i śmieci izolację do domów, budujący jednorodzinne domki w Szwajcarii i w Moskwie z drzewa rosyjskiego, itd. Jest to pocieszające, że już tego rodzaju firmy powstają.

W Kownie jesteśmy zaproszeni — niestety nie mam czasu by tam pójść — na spotkanie „Klubu Szlacheckiego", czyli inaczej mówiąc Związku *ex*-ziemian. Mówią mi, że sprawdzają kandydatury członków według „Herbarza Rycerstwa" Kolajewicza z 1894. Żałuję, że nie mogłem więcej się o tej organizacji dowiedzieć.

W kilka dni później robimy jeszcze jeden wypad z Wilna. Jedziemy przez Suderwę do Kiernowa. W Suderwie jest ciekawy kościół kolisty z kopułą, bez wieży, według planów Gucewicza, twórcy Katedry Wileńskiej, zbudowany już po jego śmierci w roku 1803. Wokół kościoła piękny stary cmentarz i wszystkie napisy na grobach w języku polskim. Widok na okoliczne jeziora.

Kiernów (Kernavé) to najstarsza stolica Litwy. Według podania tu żyła w XI wieku piękna Pojata, córka Kernusa, tu w roku 1242 Mendog był koronowany na króla Litwy. Dopiero Giedymin w 1321 roku przeniósł stolicę do Trok. Podobno, gdy po Chrzcie Litwy obalono posągi Perkunasa w Wilnie, arcykapłan Lizdejko tu się schronił i nadal „znicz" utrzymywał. Dziś nic już z tego nie zostało, poza piękną doliną Wilii z tajemniczymi wzgórzami i kurhanami strzegącymi historię przeszłości.

Obok kościółka stoi kaplica grobowa wzniesiona w osiemset pięćdziesiątych latach przez Stanisława Romera dla ekspiacji grzechu swej matki, Puzynianki z Kozielska, która

popełniła samobójstwo rzucając się w Wilnie z mostu Zielonego do Wilii.

Jak każde młode państwo Litwa nie jest pozbawiona problemów „ząbkowania". Ludziom jest w tej chwili ciężko. Nie są głodni, ale po zapłaceniu komornego i po zakupie jedzenia, na ubrania, podróże i inne przyjemności dużo nie zostaje. Tym bardziej denerwuje ich jak czytają w swej prasie, że prezydent kupuje w Stanach na swoje podróże zagraniczne (Litwa jest tak mała, że wewnątrz kraju nie ma dokąd lecieć) „Executive Jetstar". Ale w Polsce Premier Pawlak pod pretekstem, że Prezydent i on nie mogą znajdować się na pokładzie tego samego samolotu, też zakupił dla swego urzędu Tupolewa 154. Na Litwie członkowie Parlamentu przeprowadzili ustawę, że każdemu z nich przysługuje samochód (Volkswagen Golf). To jeszcze można by było strawić, ale zdecydowano, że powinny te samochody mieć specjalne numery rejestracyjne i wobec tego zamówiono w Instytucie Sztuki specjalny projekt takich rejestracji, który kosztował dobrych kilka tysięcy dolarów. Dobrze, że jest wolna prasa, która wszystko to z detalami opisuje.

Jest walka o stołki i fotele. Ludzi się mianuje na stanowiska nie tyle według ich kwalifikacji, co według przynależności partyjnej i znajomości. Materializm i brak ideowości. Niestety znamy i większe państwa, gdzie podobne rzeczy mają miejsce. Odczuwa się jeszcze na każdym kroku parę pokoleń „sowietyzacji" i w sposobie myślenia i w przyzwyczajeniach. Ale młode pokolenie rośnie szybko. Zdrowy rozsądek i kontakty z Zachodem prędko wyrugują mentalność *homo sovieticus*.

Dlatego jestem optymistą i mam wrażenie, że sytuacja na Litwie się polepsza. Zajmie to jeszcze trochę czasu, ale nie zdziwiłbym się, gdyby przy swej pracowitości i uporze w ciągu pięciu do dziesięciu lat Litwini prześcignęli swoich sąsiadów.

Andrzej ROMER

Notatki rosyjskie

Październik — mam na myśli ostatni — zapisał się w dziejach Rosji dwoma wydarzeniami. Po pierwsze, katastrofalnym spadkiem wartości rubla. „Czarny wtorek", pisali dziennikarze o feralnym dniu. Po drugie, przemówieniem Aleksandra Sołżenicyna w Dumie 28-go. Wypadł piątek, ale dziennikarze nie przydali mu żadnego przymiotnika, co samo w sobie wskazuje, że waga tych wydarzeń była różna, i różna też ocena ich znaczenia.

Kiedy rubel traci w ciągu jednego dnia 25 % wartości, jest to z rozmaitych powodów ważne wydarzenie. Przede wszystkim świadczy o stanie gospodarki rosyjskiej, nastrojach społecznych i chaosie w sferach rządzących. Pokazuje także mentalność prezydenta Rosji. Dzień po krachu Borys Jelcyn zwołał Radę Bezpieczeństwa i kazał jej „...wyjaśnić, na ile upadek rubla związany jest z bieżącymi procesami gospodarczymi, czy nie ma tu spisku ekonomicznego, a może i dywersji". Niezłomna pewność, że jeśli coś się zdarza, to koniecznie z ręki wroga, nie opuszcza większości przywódców Rosji. Rada Bezpieczeństwa o dziwo odpowiedziała po trzech dniach, że „spisku nie było, dywersantów nie znaleziono". Centralny Bank — twierdził raport Rady Bezpieczeństwa — popełnił techniczny błąd w obliczeniach, ale główne przyczyny krachu były natury gospodarczej. Wniosek: doszukiwanie się w okolicznościach „czarnego wtorku" spisku politycznego mija się z celem. Prezydent, niezadowolony z odpowiedzi, dał komisji jeszcze dziesięć dni. Odpowiedź wypadła taka sama. Kozły ofiarne leżały jak na dłoni: p.o. ministra finansów Dubinin i dyrektor Banku Centralnego Gieraszenko.

Główne przyczyny krachu są wszystkim świetnie znane. Przede wszystkim — gospodarka. Po pierwsze, państwo jest winne ogromne sumy robotnikom i urzędnikom, którym od miesięcy nie wypłaca się pensji. Po drugie, Centralny Bank udzielił w ostatnich miesiącach na rozkaz rządu sporych kredytów przemysłowi wojskowemu oraz kołchozom i sowchozom. Ponieważ państwo praktycznie przestało zbierać podatki, może tylko drukować pieniądze albo wymieniać dolary na ruble. A im więcej dają za dolara, tym państwu wygodniej, bo ono płaci w rublach.

Do gospodarczych przyczyn krachu dochodzą przyczyny polityczne. Kiedy upadek rubla wstrząsnął gospodarką rosyjską, rozeszła się z fal radia „Echo Moskwy" pogłoska, jakoby premier Czernomyrdin został odwołany ze stanowiska. Wydawało się to logiczne: koniec końców za rubla odpowiada premier. Ale Czernomyrdin jest dziś jednym z najpoważniejszych kandydatów na prezydenta — o ile nie najpoważniejszym. Do wyborów jeszcze ponad rok, ale manewry polityczne toczą się od dawna. Prezydent nie zdymisjonował premiera. Duma, gdzie Czernomyrdin przedstawił pod koniec miesiąca bilans, udzieliła mu votum zaufania. Widać wyraźnie, że jego osoba odpowiada większości frakcji. W ten sposób „czarny wtorek" stał się epizodem kampanii wyborczej.

Upadek rubla stał się powodem zmian w rządzie, ale mógł też być pretekstem do zrównoważenia wpływów różnych nurtów. Po wymianie ministra finansów i prezesa Banku Centralnego poszedł w odstawkę reformatorski wicepremier i minister gospodarki Szochin. Jego miejsce natychmiast zajął były minister prywatyzacji, 39-letni Anatolij Czubaj, który zapowiada dalsze reformy i stabilizację finansową w roku 1995. Jelcyn wybrał nowego ministra gospodarki i nowego ministra finansów z grona specjalistów pracujących dla jego urzędu. Trzeba zaznaczyć, że Rada Bezpieczeństwa badająca przyczyny „czarnego wtorku" jest organem niekonstytucyjnym będącym częścią tejże samej administracji prezydenta.

Borys Jelcyn ma dziś ogromną władzę, ale korzysta z niej dziwnie, skokami, przez krótkie chwile. Potem znowu wpada w apatię i bezwład. Nie ma dziś chyba w Rosji ani jednego działacza politycznego, który nie uważałby, że krajowi potrzebna jest twarda władza centralna. Pytanie tylko, kto ma ją sprawować. Także na Zachodzie mówi się o konieczności silnej władzy centralnej. Jacques Attali, były doradca Mitterranda, a potem dyrektor Banku Rozwoju Europy Wschodniej (BERD), udzielił 10 listopada paryskiemu tygodnikowi *L'Express* wywiadu, w którym oświadczył, że Rosja nie ma żadnej przyszłości. „Rosja to katastrofa. Nie ma instytucji, nie ma prawa własności, nie ma długoterminowych kredytów... Rosja tonie jak 'Titanic', a była Armia Czerwona w roli orkiestry wciąż gra i gra".

Jacques Attali, socjalista, demokrata i liberał, uważa, że jedyny ratunek w wojsku. „Jedyny organizm, który funkcjonuje, to armia. Trzeba było od początku masowo oddać w jej ręce władzę administracyjną, z jej kręgów wybrać prefektów itd. Nie ma społeczeństwa bez kręgosłupa[1]". Gdyby Jacques Attali

1. Przekład z oryginału francuskiego.

znał piosenki Okudżawy, mógłby zanucić: „*Nadieżdy maleńkij orkiestrik pod uprawlenijem armii*"...

O ile dobrze rozumiem Jacques Attali proponuje Rosji program wypróbowany w Polsce: stan wojenny itd. Wątpliwe jednak, by Rosja mogła się dziś uciec do takiej metody, między innymi dlatego, że stan wojska też jest opłakany. Po zamordowaniu dziennikarza Dmitra Chołodowa, który badał korupcję w wojsku, Jelcyn zdymisjonował wiceministra obrony generała Matwieja Burłakowa. Burłakow dowodził Zachodnim Zgrupowaniem Wojsk, stacjonującym w Niemczech i, jak piszą gazety, kradł tam pełnymi garściami. Nie przeszkodziło mu to zostać wiceministrem po powrocie do macierzy. Jednym z trzynastu co prawda, ale zawsze. Borys Jelcyn zwolnił go teraz i niewykluczone, że na tym zamknie się śledztwo w sprawie korupcji. Odnosi się wrażenie, że niezwykła łatwość zarobku uderzyła do głowy wszystkim generałom, pułkownikom i oficerom, którzy mogą docisnąć się do worka z pieniędzmi. Żadne wydarzenie w przeszłości nie rozłożyło armii rosyjskiej tak, jak ją dziś rozkłada dziki kapitalizm.

Aleksander Sołżenicyn zaproponował na zgromadzeniu Dumy swój program ratunku dla Rosji. „Droga zbawienia Rosji nie jest zamknięta", powiedział, podkreślając, że przede wszystkim potrzebne jej jest moralne odrodzenie po siedemdziesięciu latach komunizmu. „Trzeba niestety przyznać, że wychodzimy z komunizmu najkoślawszą, najbardziej patologiczną, najmniej wskazaną drogą". Plan, który Sołżenicyn zaproponował Dumie, jest znany: Sołżenicyn powtórzył to, co napisał przed wyjazdem z Vermontu w „Jak przebudować Rosję", ale włączył do tego programu wnioski, które wyciągnął z podróży po Rosji. Należy podkreślić, że autor „Czerwonego koła" wzywa kraj do demokracji. Dzisiejszy ustrój nazwał oligarchią i zakończył przemówienie słowami: „Jeśli tyle razy, tak często głosiliśmy: 'Do demokracji! Idziemy do demokracji', należy wreszcie poważnie do niej dążyć".

Podstawą demokratycznego ustroju w Rosji powinien być, zdaniem Sołżenicyna, lokalny samorząd, dla którego proponuje starą rosyjską nazwę „ziemstwa". Jego poglądy na granice Rosji też się nie zmieniły: „Azję Środkową i Zakaukazie pora całkowicie opuścić". Zmierzać należy do „unii państwowej trzech republik słowiańskich i Kazachstanu".

Ludowi przedstawiciele Rosji przyjęli przemówienie Sołże-

2. U Okudżawy: „*Nadieżdy maleńkij orkiestrik pod uprawlenijem lubwi*" („mała orkiestra nadziei pod batutą miłości").

nicyna obojętnie. Abstrahując już od faktu, że równie ostro krytykował wszystkie ich frakcje, program, jaki zaproponował, nie odpowiada żadnej, bo wespół z całkiem strawnymi propozycjami padły też takie, których nie może przyjąć żadna. Nie mówiąc już o tym, że pisarz, który tak nie lubi liberałów z 1917 roku, wypomniał deputowanym do Dumy: „Żaden minister Rządu Tymczasowego nie był złodziejem!"

Na prasie rosyjskiej przemówienie Sołżenicyna też nie zrobiło wrażenia. Wszyscy czekali, że — jeśli przemówi, kiedy przemówi — rzeknie słowo, które zbawi Rosję, znajdzie wyjście, które ją uratuje. Tymczasem program Sołżenicyna łatwo krytykować, mimo że „klucz", jaki proponuje — lokalne wybory — teoretycznie jest właściwy. Amerykanie wciąż cytują słowa jednego z najwybitniejszych kongresmenów XX wieku, Tipa O'Neilla: „Polityka jest zawsze polityką lokalną". Rzecz w tym, że amerykańska demokracja liczy już dwieście lat, a i to od czasu do czasu chwieje się w posadach. Sołżenicyn sam przyznał, że go ostrzegano: przy wyborach lokalnych dzieją się najstraszniejsze rzeczy... Człowiek powie słowo, następnego dnia wylatuje z roboty, dobrze, jeśli ujdzie z życiem...

Najciekawiej skomentował przemówienie Sołżenicyna znany dziennikarz Lew Timofiejew, który regularnie zamieszcza artykuły w paryskiej *Russkoj mysli*. Timofiejew zwrócił uwagę, że w jednym z wywiadów, jakich udzielił po przemówieniu w Dumie, sam Sołżenicyn powiedział: „Nie było to przemówienie polityczne, lecz deklaracja moralna i ogólnopaństwowa". Timofiejew uważa, że program Sołżenicyna jest programem prezydenckim. „Przeciwstawić się ciemnej sile idącej na Rosję nie może dziś żaden program ekonomiczny ani polityczny — uważa dziennikarz — choćby był najrozsądniejszy i najrozumniejszy, lecz wyłącznie autorytet moralny, tylko charyzmatyczna postać".

Lew Timofiejew, który uważa, że Sołżenicyn nie powinien być samozwańcem, który sam wystawia swoją kandydaturę, robi to za niego, w nadziei, że pociągnie za sobą masy: „Ja, Lew Michajłowicz Timofiejew, obywatel Rosji, proszę Aleksandra Isajewicza Sołżenicyna, aby zgodził się stanąć do nadchodzących wyborów na prezydenta Federacji Rosyjskiej".

Nie czas zastanawiać się, jakie byłyby szanse Sołżenicyna. Jeden z ojców politologii, Niccolo Machiavelli, twierdził, że zwyciężają tylko zbrojni prorocy. Narody — uważał mądry Florentyńczyk — są z natury zmienne. Łatwo je przekonać, trudno utrzymać w przekonaniu. Dlatego trzeba

niekiedy, kiedy przestają wierzyć, zmuszać je do wiary. Za Sołżenicynem nie stoi żadna siła poza siłą przekonań. Zarazem sytuacja robi się coraz dziwniejsza, coraz bardziej irracjonalna.

Rzecz niebywała, 11 listopada Duma przegłosowała prawie jednomyślnie — 281 głosami za, trzema przeciw — obowiązkowe badanie na AIDS u wszystkich cudzoziemców. Duma wie doskonale — i to jest najbardziej charakterystyczne — że nie ma materialnej możliwości wprowadzenia tej ustawy w życie, nie mówiąc już o tym, że wzbudzi ona gwałtowne krytyczne reakcje w świecie. Duma chciała właśnie pokazać swoją niezależność i wrogość wobec całego świata. Uchwalić ustawę łatwo: nad sformułowaniem nieco podyskutowano, ale żaden z posłów nie odważył się głośno powiedzieć: nie! Fala ksenofobii rozlewa się bez przeszkód po szerokiej rosyjskiej równinie.

Na jej tło należy rzutować „bitwę Rosjan z Polakami" na dworcu warszawskim i odwołanie wizyty Czernomyrdina w Polsce. Rosyjskie gazety za dużo piszą o sukcesach Polski i jej usilnych staraniach by wejść do zachodniej Europy. Bawiąc w Warszawie, czytałem polskie gazety, których w Paryżu nie widuję. W jednej z nich trafiłem na wywiad, którego polski minister spraw zagranicznych Andrzej Olechowski udzielił pewnej wiedeńskiej gazecie. Kraje zachodnie — doradza polski minister — powinny stosować wobec Rosji metodę kija i marchewki. Zasady takiej polityki pierwszy sformułował prezydent Stanów Zjednoczonych Teodor Roosevelt: przemawiać łagodnie, a w dłoni trzymać potężną pałę. Rzecz w tym, że Roosevelt miał na myśli politykę Stanów Zjednoczonych wobec krajów Ameryki Łacińskiej. Wątpię, by Polska mogła takim językiem mówić do Rosji, w nadziei, że „silne chłopaki" z Zachodu w razie potrzeby przybiegną na pomoc. Polska historia uczy, że Zachód z pomocą się nie spieszy. Jak widać, Rosja nie ma monopolu na irracjonalność.

Jest oczywiste, że Moskwa i Warszawa nie mają wspólnego, zrozumiałego dla obu stron języka. Równie oczywiste wydaje mi się, że prędzej czy później język taki znajdą. Ważne, aby żadna strona nie robiła sobie złudzeń co do siły i możliwości drugiej. Otto von Bismarck, zapytany, czym się różni głupi polityk od mądrego, odpowiedział: „Głupi uważa, że pewne rzeczy nie mogą się zdarzyć. Mądry wie, że zdarzyć może się wszystko".

13 listopada 1994

Adam KRUCZEK

Polska i Ukraina — jak wyjść z impasu?

Rok 1994 nie przyniósł stosunkom polsko-ukraińskim ni chluby ni postępu. Schodzi z politycznej sceny w przeszłość jako symbol politycznego nieurodzaju, pasywności, inercji. Można by nań machnąć ręką, gdyby widoki na przyszłość były lepsze. Niestety tak nie jest. Przeciwnie, wszystko wskazuje na to, że sytuacja może się pogorszyć. Nie można ulec złudzie, że rozmaite konferencje, seminaria i spotkania, świadczą o żywotności wzajemnej współpracy. Nie twierdzę, że tego rodzaju imprezy są zbyteczne. Jest ich raczej za mało niż za dużo. Ale nawet tym zbliżeniom grozi rutyniarskie zużycie. Są to bowiem najczęściej zebrania zawsze tych samych ludzi i z tradycyjną nieomalże tematyką wypominania sobie wzajemnych krzywd i urazów. Jest pewna grupa ludzi w obydwu społeczeństwach, która się w tym historycznym i histerycznym pieniactwie wyżywa: dla szerokich rzesz obydwu społeczeństw sprawy te stają się coraz bardziej obojętne. Nie znaczy to, że sporne kwestie przeszłości należy ignorować. Dyskusje są potrzebne i winny przebiegać na dwóch płaszczyznach: w gronie kompetentnych historyków i na płaszczyźnie popularyzatorskiej. Ale w ostatnim czasie granice pomiędzy tymi płaszczyznami zacierają się i zamiast fachowców zaczyna działać plejada amatorów, kierujących się ambicjami lub urojonymi prerogatywami. Natomiast instytucje jak najbardziej do tego powołane, a przede wszystkim wspólna komisja podręcznikowa, pracują ślamazarnie. Ale ani akademie ani uniwersytety nie mogą wziąć na siebie ciężaru normalizacji stosunków. Mogą i winny odgrywać ważną rolę, ale zarówno ze względu na obszar możliwych kroków jak też ograniczone środki materialne, będzie to — choć niezwykle ważny — ale margines całokształtu sprawy.

Rozwój współpracy sąsiedzkiej w duchu wspólnych zadań na przyszłość jest tylko wtedy możliwy jeżeli stanie się ogólną sprawą państw i społeczeństw, organizacyjnych wysiłków istniejących i liczących się sił politycznych, instytucji państwowych i publicznych, ośrodków gospodarczych, nauki, sztuki, turystyki. Muszą istnieć wyspecjalizowane instytucje jak Ośrodki Kultury, wspólne programy nauczania języków,

urządzania koncertów, wystaw, wieczorów autorskich.

Przykłady tego rodzaju owocnej współpracy sąsiedzkiej istnieją w stosunkach niemiecko-francuskich i polsko-niemieckich. Doświadczenia te mogłyby być z korzyścią wykorzystywane na ugorze polsko-ukraińskim. Należy chyba powołać do życia jakieś mieszane konsorcjum z przedstawicieli rozmaitych regionów i grup społecznych, fachowców z różnych dziedzin, aby się zastanowić nad sposobem wdrożenia takiej współpracy. Istniejące ciała państwowe, jak na przykład okrzyczany Komitet Prezydentów, okazały się instytucjami prestiżowo-kanapowymi, niezdatnymi do systematycznej, owocnej współpracy. Brak im zresztą jakiejkolwiek kontroli społecznej a tym samym również stymulacji i siły napędowej.

Oglądając się na ostatnie lata rzuca się w oczy kontrast pomiędzy okresem sprzed odzyskania niepodległości i następnym etapem. Otóż wcześniej problem współpracy był przedmiotem szczerego i emocjonalnego zaangażowania wielu jednostek, pism i ośrodków. Z chwilą odzyskania niezawisłego bytu państwowego w Polsce w sposób jednoznaczny, na Ukrainie z wielu dotychczas jeszcze pozostałymi trudnościami, proces ten jakby uległ zahamowaniu. Wielu działaczy z czasów „Solidarnościowych" nad Wisłą i dysydenckich nad Dnieprem odeszło od sprawy polsko-ukraińskiej i zajęło się innymi przeważnie wewnętrznymi problemami. Euforia niepodległości ostudziła dawną żarliwość na rzecz przyjaźni, a egoizm narodowy przesłonił perspektywę konieczności budowania wspólnej polityki.

Po nawiązaniu stosunków dyplomatycznych i podpisaniu układu o przyjaźni i stosunkach dobrosąsiedzkich wielu społecznikom dźwigającym dotąd na swych barkach ciężar i obowiązek wdrażania współpracy wydawało się, że obecnie rządy przejmą te agendy, a samemu będzie można się zająć tym, co się najbardziej lubi lub co jest najłatwiejsze. Nie dotyczy to, broń Boże, wszystkich dawnych zapaleńców, ale jak mi się zdaje, dość licznych. Taka postawa była jednak błędna. Czynniki państwowe zarówno w Warszawie jak i w Kijowie ograniczyły się do kroków merytorycznych i czysto formalnych. I chociaż obydwaj prezydenci podpisujący w Belwederze ówczesne fundamenty pod przyszłe stosunki, Lech Wałęsa i Leonid Krawczuk, przyrzekali sobie uroczyście, że będą one miały priorytetowe znaczenie w ich polityce zagranicznej, wszystko pozostało w świecie bombastycznej retoryki. A z dwudziestu banków, które obiecał niebawem utwo-

rzyć Wałęsa, nie powstał dotychczas ani jeden. To tylko jako przykład na rozziew między słowami i czynami dzisiejszych polityków.

Kogo za to winić, że nasze stosunki gdzieś w pół drogi ugrzęzły w trzęsawisku frazesów i gołosłownych programów? Rządy, partie, działaczy, prasę, radio i telewizję, kościoły, uniwersytety? Kto po obu stronach granicy bardziej zawinił i dlaczego dzisiaj nic się nie dzieje? Oskarżenia niewiele pomogą, ale mimo to należy rozważyć gdzie tkwią przyczyny powszechnej apatii i niechęci do rozwoju współpracy. Może najogólniejszym powodem jest zasklepienie się w skorupie narodowego izolacjonizmu. Dawniej zapłonem do aktywności były działania pisarzy, poetów, naukowców i polityzujących dysydentów, ale nie zawodowych polityków, którzy w taki czy inny sposób byli powiązani z systemem komunistycznym. Fakt, że nikt z nich nigdy nie zajmował się problemami sąsiedztwa a poważna część dzisiejszych działaczy w obydwu państwach wychowywała się w atmosferze kłamstwa lub utrwalonych stereotypów o negatywnej treści, wytworzył wśród klasy rządzącej po odzyskaniu niepodległości *vacuum* w teorii i praktyce. Zabrakło ludzi już nie na miarę Piłsudskiego czy Petlury ale choćby Ignacego Daszyńskiego lub Wasyla Mudrego. Po stronie ukraińskiej sprawa ta wygląda o wiele tragiczniej, gdyż tam wytrzebiono gruntownie świadomość dawnych pokoleń myślących niezależnymi kategoriami politycznymi. Na wschodzie Ukrainy stało się to już we wczesnych latach dyktatury sowieckiej. W Kijowie nastąpiło później. Pielęgnowanie dawnych związków duchowych i cywilizacyjnych ostało się tylko w pieczy kilku twórców, jak wielki poeta Maksym Rylski autor kongenialnego tłumaczenia „Pana Tadeusza". Na zachodzie, a więc w Galicji i na Wołyniu, myśl o współpracy wbrew obłędnej polityce urzędowej Warszawy wykosili najpierw piewcy „integralnego nacjonalizmu", którym nienawistny był słaby ruch demokratyczny, pertraktujący z Polakami. A ponieważ ruch ten był legalny, to bolszewicy z łatwością wyłowili po wmaszerowaniu jesienią 1939 roku wszystkich zwolenników polityki „normalizacyjnej" z Polską. Tylko nieliczni działacze zdołali uciec za granicę i na nich opierała się kontynuacja poczynań przedwojennych, aż nieubłagany czynnik czasu starł tę ostatnią rezerwę. Nacjonaliści, będąc ruchem nielegalnym, potrafili w konspiracji lepiej przetrwać okres niewoli. Fakty te liczą się obecnie na tle *wielkiej próżni* o wiele bardziej niż w społeczeństwach, które nie poniosły takich monstrualnych strat

wśród elit jak Ukraina. Stąd też luki w dziedzinie czysto informacyjno-erudycyjnej o przeszłości w stosunkach polsko-ukraińskich są kilkakrotnie większe niż w społeczeństwie polskim. Wciąż jeszcze ciąży na umysłach systematycznie wpajana doktryna fałszu o polityce „pańskiej" Polski. I choć nie ma dziś świadomej antypolskości, to istnieje coś w rodzaju ściany obojętności. Wśród polityków ukraińskich brakuje ludzi traktujących stosunki ukraińsko-polskie w perspektywie historycznej. Krawczuk miał to zrozumienie, ale zabrakło mu twardej woli i wytrwałości w nadaniu tej koncepcji bardziej krzepkich i solidnych form aniżeli efemeryczny Komitet prezydencki. Mieli i mają zrozumienie wagi tej sprawy dwaj politycy: Mychajło Horyń, przewodniczący Ukraińskiej Partii Republikańskiej i Dmytro Pawłyczko, stojący na czele Partii Demokratycznej, ale obydwaj nie weszli do nowego parlamentu i muszą działać w opozycji pozaparlamentarnej. Słabym punktem w ich działalności jest regionalne pochodzenie z Galicji.

Ale w obecnej sytuacji tylko ci trzej politycy są w stanie coś zdziałać. Może im pomóc w tej materii nowy minister spraw zagranicznych Hennadij Udowenko, który przyszedł na to stanowisko z placówki warszawskiej. Jako pierwszy ambasador Ukrainy w Polsce poznał tam zarówno doniosłość jak też i trudności tego problemu. Wydaje się, że będzie on na tle obojętności swych kolegów ministerialnych ważnym czynnikiem rozwoju stosunków w nieco szerszym zasięgu niż było za czasów jego poprzednika Anatola Złenki. Ale to nie wyczerpuje tematu. A kwestia jest o tyle złożona, że w obecnym przesunięciu na wschód zagadnienie stosunków z Polską dla wielu polityków jest kwestią niemalże egzotyczną.

Kościoły nie mogą wyręczyć polityków jak to było w pewnym okresie pomiędzy Polską a Niemcami. Po pierwsze ani u prawosławnych ani u grekokatolików nie ma żadnej postaci na miarę Wyszyńskiego. A zresztą, kościoły prawosławne są rozswarzone, a katolicki jako zjawisko regionalne nie ma odpowiedniego mandatu ogólnonarodowego, aby mógł wystąpić w podobnej misji pojednawczej, jak to uczynił swego czasu kościół polski. A więc nowe impulsy muszą wyjść od polityków. Ale gdzie oni? Tylko Hanna Suchocka zdołała dwukrotnie przełamać szlaban konwenansów, ale od razu krasnoludki drżące ze strachu przed zemstą Pani Matki Rosji przywołały ją do zasady niewychylania się w stronę Ukrainy. A kiedy latem na konferencji o „Nowych Niemczech w nowym świecie" w Warszawie niemieccy uczestnicy

zwrócili polskim organizatorom uwagę na doniosłość ich stosunków z Ukrainą, znowu tylko pani Suchocka się tym zajęła, inni raczej niechętnie i zdawkowo potraktowali tę sprawę. A na zakończenie Marcin Król oświadczył: „Dawniej mieliśmy dwóch wrogów — a teraz mamy dwóch przyjaciół: Niemcy i Rosję". I otóż, politykom polskim zapatrzonym raz to w Niemcy, raz to w Rosję, coraz trudniej znaleźć wyjście na Ukrainę.

Jeśli nie ma polityków zdolnych wystąpić z owocną myślą twórczą, jeśli się skończył wiek przywództwa poetów i pisarzy, a że się skończył, nie należy chyba wątpić, a istniejące towarzystwa „przyjaźni" też nie przejawiają oszałamiającej aktywności, to pozostają jedynie prasa i publicystyka. Ale i na tym polu nie wszystko w porządku. Nie ma systematycznej obsługi informacyjnej. Większość dziennikarzy jest słabo obeznana z historią naszych krajów. Nie zna języków i posługuje się zazwyczaj jakimś przedziwnym wolapikiem, tak zwanym „surżykiem", nie może więc systematycznie czytać pism z kraju sąsiedzkiego. Przy tym sytuacja prasy mimo, z nielicznymi wyjątkami, żenującej słabości w operowaniu faktami, a jeszcze gorzej w przedstawianiu genezy i zaplecza wydarzeń, w Polsce jest o niebo lepsza niż na Ukrainie. Tamte pisma nie mają — z bardzo małymi wyjątkami jak na przykład lwowska *Mołoda Hałyczyna*, której warszawski korespondent Andrij Bołkun informuje rzetelnie a czasami nawet podaje rubrykę „Polska w cyfrach i faktach" — w ogóle ani korespondentów ani ekspertów do spraw polskich. Próbowała urządzić największa gazeta kijowska *Hołos Ukrainy* swego przedstawiciela Wołodymyra Sawcowa w Warszawie, ale eksperyment z braku pieniędzy skończył się fiaskiem.

Gorzej kiedy zamiast rzeczowej analizy górę biorą emocje. Tak było w ostatnich tygodniach. Podłożem były zawstydzające fakty, urągające normalnym stosunkom, nadużyć ze strony policji ukraińskiej i władz więziennych wobec obywateli polskich. Podobne rzeczy rozgrywały się też mniej więcej w tym samym czasie między Niemcami i Czechami. U Niemców i Czechów spokój i raczej wyciszanie spraw krępujących dobre stosunki, w Polsce wielki hałas. Praktyki moich ziomków zasądziłem w nieubłagany sposób w apelu radiowym. Ale chodzi mi o coś innego, a mianowicie z jaką łatwością większość prasy polskiej uogólnia negatywne zjawiska jeśli chodzi o Ukrainę. Ubolewa nad tym redaktor warszawskiego ukraińskiego tygodnika *Nasze Słowo* i postuluje wyjście

z tego kryzysu. Jakie? Otóż właśnie. Nikt nie wie jakie wysiłki należy w tym celu podjąć. Słyszę, że zarówno *Tygodnik Powszechny* jak też *Nasze Słowo* przygotowują na ten temat ankiety, jak to niegdyś robiły *Kultura* a potem nieboszczka *Widnowa*. Ankiety to jeszcze nie wyjście, ale przynajmniej próby rozeznania w nowych realiach.

14 listopada

Bohdan OSADCZUK

MARC S. FRANCISZKOWSKI

LETTRES SLAVES

LIBRAIRIE — EDITIONS

18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS

Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24

Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.

●

Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową

●

Na życzenie wysyłamy katalogi

O religii bez namaszczenia

Książka papieża

1.

Chodzi oczywiście o książkę pt. „Przekroczyć próg nadziei", która ukazała się w końcu października równocześnie w 35 krajach świata, w 17 językach i w nakładzie 20 milionów egzemplarzy[1]. Inżynierem tego spektakularnego przedsięwzięcia, bardzo w stylu spektakularnego pontyfikatu Jana Pawła II, jest niewątpliwie energiczny sekretarz prasowy Stolicy Apostolskiej Dr Navarro-Valls, na którego powołuje się we wstępie włoski redaktor książki, znany katolicki dziennikarz Vittorio Messori. Messori wyjaśnia w nim kulisy powstania książki: jak to mnogość zajęć nie pozwoliła papieżowi na udzielenie mu telewizyjnego wywiadu w piętnastą rocznicę jego pontyfikatu w październiku zeszłego roku i jak w kilka miesięcy później Dr Navarro-Valls niespodziewanie przekazał mu pisemne odpowiedzi Ojca św. na postawione mu w swoim czasie pytania.

Podziwu godna jest zarówno energia starego i schorowanego papieża, jak i mistrzowski zgoła sposób wylansowania książki przez jego sekretarza prasowego. To jednak samo w sobie nie tłumaczy rozgłosu, jaki książka w przeciągu paru dni uzyskała w całym bodaj świecie, owego mnóstwa notatek, recenzji, audycji i artykułów. Jeśli wierzyć rzymskiemu korespondentowi *Tygodnika Powszechnego*, sprzedaż książki w

1. Posługuję się wersją angielską „Crossing the Threshold of Hope", wydaną w Londynie przez firmę Jonathan Cape, str. 244. Wydanie jest bardzo piękne. Wewnętrzne strony twardej okładki zdobi *facsimile* rękopisu papieża w języku polskim; wiadomo, że papież pisał książkę po polsku.

rzymskich księgarniach bije na głowę poczytność nowego bestsellera popularnego powieściopisarza Umberta Eco. Kto tak masowo kupuje książkę papieża? Niezbyt pobożni zwykle mieszkańcy świętego miasta? Turyści? Pielgrzymi? Jest to tym bardziej zastanawiające, że stosunkowo niedawno ukazała się inna książka tegoż Jana Pawła II, zbiór modlitw i rozmyślań na 365 dni roku, o której mało kto słyszał[2]. Mam niemiłe wrażenie, że ulegamy tu wszyscy sławetnej manipulacji środkami masowego przekazu, tym razem watykańskiej, albo, by użyć bardziej neutralnego wyrażenia, inżynierii informacyjnej, która jak zwykle jest mieszaniną rzetelnej informacji z przyprawą pewnej dozy sensacji. Rezultatem jest trwająca przez pewien czas samopotęgująca się reakcja łańcuchowa. Ulegamy jej wszyscy, redaktor *Kultury* też, i ja wraz z nim. Bo z chwilą, gdy informacja przybiera rozmiary wydarzenia — jak to się mówi — zachodzi potrzeba zajęcia wobec niej stanowiska i potrzeba komentarza. To jest teraz moje zadanie.

2.

Inżynieria informacyjna, jak się rzekło, jest pojęciem neutralnym i w niczym nie przesądza wartości przekazywanej informacji, w tym przypadku książki papieża. W rzeczy samej jest to całkiem dobra książka. Jeśli wiele w niej rzeczy natury — powiedzmy — dość konwencjonalnej (bo znamy na ogół doktrynę katolicką i znamy obecnego papieża), w tym również wiele rzeczy budzących już też konwencjonalny sprzeciw, to jednak nie brak w niej też myśli nowej i świeżej i naprawdę budzącej nadzieję. Przede wszystkim jest to zakrojone na szeroką skalę wyznanie osobistej wiary Jana Pawła II i dlatego ton książki jest całkiem inny niż oficjalno-dogmatycznych encyklik czy niedawnego epokowego w zamierzeniu Katechizmu Kościoła Katolickiego. Jest to w dużej mierze zasługa papieskiego interlokutora, który był inicjatorem książki. Vittorio Messori jest wierzącym katolikiem i jego pytania są z jednej strony nacechowane zgoła religijną czcią dla dostojnego rozmówcy, ale z drugiej strony są też bardzo śmiałe, czasem wręcz prowokacyjne, dotykające bez żenady istoty kolejnych problemów. Papież odnosi się do

2. Mnie znowu jest znana wersja angielska pt. „Prayers and Devotions" (Vikings, London).

nich z pełnym zrozumieniem, choć nie zawsze wprost na nie odpowiada.

Specyfika i delikatność sytuacji rozmowy z papieżem na tematy doktrynalne polega na tym, że papież sam jest jednym z kluczowych elementów doktryny. Messori całkiem słusznie od tego zaczyna. Według nauki katolickiej papież jako Namiestnik Chrystusa jest przedstawicielem samego Boga na ziemi; inni natomiast nie podzielają tego poglądu. Jesteś zatem, Ojcze św., powiada mu Messori, albo tajemniczym żywym znakiem Stwórcy wszechświata albo głównym protagonistą milenijnej iluzji. Czy papież kiedykolwiek przeżywał wątpliwości co do swego szczególnego stosunku do Jezusa Chrystusa, a tym samym do Boga? Papież odpowiada na to długą homilią na temat powołania apostoła Piotra, jego słabości i jego mocy (która jest właściwie mocą jego Pana), i z kolei wszystkich Piotrowych następców, z nim samym, obecnym papieżem włącznie. Wszyscy są słabi, ale wszyscy posłusznie przyjmują obowiązek, który Pan na nich włożył. Oczywiście ani Messori ani nikt inny nie mógł się innej odpowiedzi spodziewać. Wiadomo, że Jan Paweł II jest szczególnie świadom swej jednostkowej i wyłącznej roli w Kościele, do tego stopnia że w oczach jego krytyków zdaje się to stać w sprzeczności z proklamowaną przez ostatni sobór zasadą kolegialności rządów w Kościele. Tłumaczy to jego absolutną niewrażliwość na wszelką krytykę, czy to wewnątrzkościelną czy krytykę z zewnątrz. Motywacja tej postawy jest prosta: krytycy nie mogą mieć racji, bo nie mają tego charyzmatu Ducha św., który ma papież, i nie oni są za Kościół odpowiedzialni. Toteż nie ma w książce bodaj jednego zdania, w którym papież nie byłby całkowicie pewny słuszności tego, co mówi. Jeśli prawdą jest, co powiedział Tomasz Merton, że nie ma wiary bez wątpienia, bo wiara jest przezwyciężeniem wątpienia, to ta prawda nie odnosi się do papieża. Natomiast rozmówca papieża podsuwa mu jedną wątpliwość po drugiej. Są to na ogół standardowe wątpliwości, które nurtują każdego wierzącego człowieka. Na tym między innymi, na wierzeniu wątpliwości, polega wartość tej książki.

A więc np. dlaczego w świecie stworzonym przez dobrego i wszechmocnego Boga istnieje zło? Papież nie może oczywiście wyczarować nowej odpowiedzi na stare pytanie, ale jego wykład teologii Krzyża nie jest pozbawiony głębokich i oryginalnych intuicji. Krzyż, powiada papież, nie tylko jest przejawem solidarności Boga z człowiekiem w jego cierpieniu; przez krzyż Bóg poddaje siebie pod sąd człowieka. Paradoksalne stwierdzenie papieża, że krzyż jest nawet przejawem wszechmocy Boga, wydaje mi się o tyle przekonywające, że dobrowolne przyjęcie cierpienia z miłości do człowieka istotnie może wymagać większej mocy ducha niż stworzenie świata. Ale nie zamierzam upierać się przy tym punkcie, który mnie osobiście przemówił do przekonania. Papież jest także zaskakująco przekonujący, gdy pora się z innym problemem przedstawionym mu przez jego rozmówcę. Oto około roku 2000 liczba wyznawców islamu w świecie przekroczy liczbę katolików, a już dziś wyznawców hinduizmu jest więcej niż protestantów i prawosławnych razem wziętych. Czy nie stanowi to ponurej prognozy dla chrześcijaństwa po 20 wiekach ewangelizacji? Papież odpowiada całkiem słusznie, że wartości religijne nie są wymierne w liczbach, choć oczywiście nie lekceważy wysiłku misyjnego i ewangelizacyjnego w krajach Afryki i Azji, a także w napawającej go największą troską Europie. Nie dziwi, że w oparciu o odpowiednie dokumenty soborowe papież mówi z sympatią i zrozumieniem o innych religiach i o współpracy ekumenicznej między wyznaniami chrześcijańskimi. Ale byłem mile zdziwiony, gdy w rozdziale o nowej ewangelizacji wyczytałem takie słowa: „Jeśli nawet świat nie jest wyznaniowo katolicki, to jednak jest on głęboko przesycony wartościami Ewangelii. Można nawet powiedzieć, że misterium Kościoła, Ciało Chrystusa jest w nim w jakiś sposób niewidzialnie obecne" (str. 112 wyd. ang.).

Słowa te uważam za niezwykle ważne, tym bardziej że w ustach papieża są one dość zaskakujące. Są zaskakujące w kontekście jego częstych narzekań na zmaterializowanie współczesnego świata, na przesycenie kultury zachodniej ideami Oświecenia, na postępującą sekularyzację i zanik wartości sakralnych. Ba, już o parę linijek dalej papież mówi o potężnym nurcie antyewangelizacji, o dobrze zorganizowanej opozycji wobec Kościoła i Ewangelii w postaci świata nauki, kultury, pisarzy, intelektualistów i mass mediów. Jak gdyby wszystko co nie kościelne było antykościelne, co nie jest sakralne było antysakralne i jak gdyby co jest świeckie nie mogło być Boże. Przypomina mi się słynny esej zmarłego niedawno dominikanina O. Marie-Dominique Chenu stwierdzający, że istnieje ogromna różnica między sakralizacją świata a jego uświęceniem[3].

3. M.D. Chenu O.P. „Consecratio mundi". Pierwodruk w *Nouvelle*

Dlatego z taką radością powitałem to zacytowane wyżej izolowane zdanie, które zdaje się znamionować jakieś wyjście z zaczarowanego sakralno-antyświeckiego kręgu.

Bo nie trzeba być bezkrytycznym wielbicielem naszej wcale nie różowej współczesności, by uznać jak głęboko wartości Ewangelii przeniknęły do postoświeceniowego świeckiego świata i jak wiele z kolei nowoczesne chrześcijaństwo zawdzięcza wyrosłym z tego ziarna już czysto świeckim wartościom. Papież w swej książce wielokrotnie cytuje wielką soborową konstytucję o Kościele w świecie współczesnym (*Gaudium et Spes*) i szeroko omawia pionierską Deklarację o Wolności Religijnej (*Dignitatis Humanae*), ale brak mi w tym uznania roli świeckiego świata w genezie głęboko chrześcijańskich wartości, o których te dokumenty mówią. Na dobrą sprawę Deklaracja jest chyba pierwszym w historii Kościoła oficjalnym dokumentem proklamującym wolność sumienia. Tymczasem papież, cytując zdanie Deklaracji, że nie wolno nikogo zmuszać nawet do przyjęcia prawdy, twierdzi, że taka była zawsze nauka Kościoła. Powołuje się w tym (słusznie) na św. Tomasza z Akwinu, ale jeszcze i po Tomaszu praktyka Kościoła była zgoła inna. Jej teoretycznym podbudowaniem była nauka św. Augustyna w jego *Civitas Dei*, że opornych trzeba zmuszać do przyjmowania głoszonej przez Kościół prawdy. Papież pisze też, że Kościół nigdy nie twierdził, że człowiek niewierzący nie może być moralnie dobry. Tak też nie było i by to uzasadnić nie potrzeba cofać się aż do fatalnego orzeczenia soboru florenckiego w XV wieku, które nie tylko wszystkich nieochrzczonych ale i ochrzczonych heretyków skazywało na wieczne potępienie. Prawda, że zasady tolerancji i wolności sumienia są mocno ugruntowane w Ewangelii, i jest zasługą Kościoła że Ewangelię wiernie przez wieki głosił, ale to nie zmienia faktu, że wprowadzenie tych ewangelicznych zasad w życie, także do oficjalnego nauczania Kościoła dokonało się w dużej mierze pod presją czynników świeckich, z grubsza od czasów Oświecenia, o tyle też słuszne jest zacytowane wyżej zdanie papieża, że i świecki świat, w każdym razie świat kultury zachodniej jest głęboko przesycony duchem Ewangelii.

3.

Dotknąłem zaledwie kilku świateł i cieni sławnej książki papieża. Jest w niej dużo więcej — od racjonalnego uzasadnie-

Revue Théologique", 1964. Polska wersja w zbiorze pt. „Lud Boży w świecie", wyd. Znak, Kraków, 1968.

nia wiary w Boga i sztuki modlitwy po zakaz sztucznych środków antykoncepcyjnych i wszelkiej aborcji. Uzasadnieniem książki jest, że jest to, jak to zostało powiedziane w pierwszym rozdziale, wykład wiary Namiestnika Chrystusowego, a więc przedstawiciela samego Boga na ziemi. Nadaje to tej nauce charakter nieomylnej normy. Wprawdzie formalny dogmat ogranicza nieomylność papieża do dość ściśle określonych okoliczności, ale wiadomo że Jan Paweł II interpretuje zasadę nieomylności raczej szeroko, stosując ją również do tak zwanego zwyczajnego nauczania. Jakkolwiek, jak widzieliśmy w poprzedniej części artykułu, nauka Kościoła uległa w ciągu wieków zmianom, to papież niewątpliwie liczy na utrzymanie obecnych norm po wsze czasy — wbrew rozlicznym popularnym presjom zarówno wewnątrz kościoła rzymskiego jak i ze strony innych kościołów, domagających się rozmaitych reform.

Wiadomo, że papież nie jest w najlepszym stanie zdrowia i dlatego niektórzy uważają jego ostatnią książkę za pewnego rodzaju testament. Nie wydaje mi się to słuszne, choć jest on tak głęboko wierzący, że na pewno jest gotów przyjąć śmierć w każdej chwili. Ogłoszona prawie równocześnie z książką lista 30 nowych kardynałów, podnosząca liczebność kolegium kardynalskiego do 120 (nie licząc 47 kardynałów mających więcej niż 80 lat i dlatego już wyłączonych z *conclave*), zdaje się istotnie zmierzać do zapewnienia, że jego następca będzie kontynuować zasadniczo konserwatywną linię obecnego pontyfikatu. W odmłodzonym kolegium aż stu kardynałów zawdzięcza swą nominację Janowi Pawłowi, a wiadomo że w swej polityce personalnej stosował on klucz dość ciasno pojętej ortodoksji i skłonności kandydata do posłuszeństwa. Z tym wszystkim Jan Paweł zamierza długo jeszcze pozostać na tronie Piotrowym, przynajmniej do początku nowego tysiąclecia. Nawet bardzo ciężki stan zdrowia nie skłoniłby go chyba do ustąpienia, czego koła reformatorskie pragnące szerszego oddechu w Kościele, bardzo by sobie życzyły. Jakkolwiek istnieją tego nieliczne precedensy w historii i jakkolwiek normalnie każdy biskup powinien się liczyć z możliwością ustąpienia po osiągnięciu 75-go roku życia, to obecny papież uważałby to zapewne za sprzeniewierzenie się swojemu powołaniu. Papieże, tak jak królowie, panują do śmierci.

Przy całym swoim konserwatyzmie i zgoła monarszym absolutyzmie Jan Paweł II też jest świadom, że Ecclesia semper est reformanda. Szczególnie końcowe rozdziały

jego książki przesycone są pragnieniem radykalnej odnowy Kościoła i całego chrześcijaństwa. Między innymi (choć w książce nie ma o tym mowy) ma się on nosić z myślą dokonania u progu nowego tysiąclecia generalnego rachunku sumienia Kościoła, otwartego przyznania się do jego historycznych błędów. Jesteśmy przyzwyczajeni do pobożnego ogólnikowego przyznania, że Kościół składa się z grzeszników, ale do oficjalnego napiętnowania historycznych błędów, i nawet zbrodni, zawsze brakowało odwagi. I teraz podobno pewna ilość dostojników, którym papież zwierzył się ze swej myśli, jest jej przeciwna. Widocznie gra tu obawa, że podkopałoby to autorytet Kościoła wśród szerokich rzesz wiernych. To nie jest oczywiście wykluczone, ale należy mieć nadzieję, że umiłowanie prawdy przeważy nad tego rodzaju taktycznymi względami. Istnieje niebezpieczeństwo, że jeśli myśl papieża w ogóle doczeka się realizacji, skończy się na jakimś mało znaczącym kosmetycznym zabiegu. Ale może też być, że myśl papieża zaowocuje radykalnym przeoraniem oficjalno-kościelnej mentalności na miarę aktów ostatniego soboru i że nie tylko nie zmniejszy zaufania do bieżącego nauczania Kościoła, ale wprost przeciwnie, ogromnie zwiększy jego wiarygodność i autorytet.

Antoni POSPIESZALSKI

PS.: Już po otrzymaniu artykułu został ogłoszony List Apostolski *Tertio Millennio adveniente*, poświęcony tej sprawie. Mamy nadzieję wrócić do tych zagadnień w jednym z najbliższych numerów *Kultury*.

Redakcja KULTURY

Kronika kulturalna

Żywy głos Cerkwi

Ostatnią dekadę maja w Hajnówce, położonej na skraju Puszczy Białowieskiej, dominuje Międzynarodowy Festiwal Muzyki Cerkiewnej. Dzieje się tak nieprzerwanie od trzynastu lat. Zaczynano skromnie od Dni Muzyki Cerkiewnej (1982), w których wystąpiło 10 chórów prawosławnych, parafialnych. Każda z ponad 200 parafii w Polsce ma jakiś chór, bez śpiewu nabożeństwo w cerkwi przecież odbyć się nie może. Impreza odzwierciedlała — mówiąc w dużym uproszczeniu — ówczesny stan polskiej Cerkwi: do Hajnówki przyjechali głównie ludzie starsi, którzy śpiewali jak potrafili.

Dzisiaj zjeżdża tu blisko 40 dobrych i bardzo dobrych chórów z całego świata, dalekie państwa, np. Grecja, wysyłają swoich specjalnych wysłanników chcąc nawiązać kontakty z polskimi kompozytorami muzyki cerkiewnej, zaś kraje o nieporównywalnie większej tradycji prawosławnej, jak Rosja, przeszczepiają pomysł organizowania festiwalu na własny grunt (Festiwal Rosyjskiej Muzyki Duchowej w Moskwie). Fakt, że prestiżowe nagrody z Hajnówki wypromowały wiele chórów rosyjskich, białoruskich czy ukraińskich — zwykle owocuje to zaproszeniami, trasami koncertowymi po Europie i Ameryce — ma już mniejsze znaczenie.

Myślę, że wynika to nie tylko z wielkiej wizji dyrektora Festiwalu — p. Mikołaja Buszki. Kryje się za tym mądra, zakrojona na wiele lat praca polskiej Cerkwi, uaktywnianie, samodowartościowanie młodzieży. Jej przekonanie, że wnosi do kultury Rzeczpospolitej własną, odrębną, niekwestionowaną wartość. Pojawienie się na majowej imprezie coraz większej liczby chórów młodzieżowych, nawet dziecięcych (w tym roku było ich 7!), to potwierdza.

Śpiew cerkiewny korzeniami sięga początków chrześcijaństwa: już w I wieku „układano hymny ku chwale Bożej". Ich intonacja na jednym dźwięku przypominała melorecytację i mieściła się w klasycznym kanonie interpretacji tekstów poetyckich właściwym dla starożytności. W IV — V stuleciu, w okresie rozkwitu bujnego życia zakonnego na pustyniach Palestyny, Egiptu i Synaju pojawiła się psalmodia wykorzystująca pewną liczbę dźwięków. Św. Atanazy Aleksandryjski wprowadził zwyczaj melodyjnego śpiewania psalmów. Kolejne wieki wypracowują kanony według których tworzy się wzorce śpiewu, różnicują się typy melodyczne, poszerza liczba śpiewanych tekstów. VIII stulecie przynosi już system śpiewu cerkiewnego, kluczowy okazał się pomysł wprowadzenia ośmiu głosów, który — jak pisze ks. dr Mikołaj Lenczewski (senior) — „można uważać za źródło niewyczerpane, z którego wypłynęły potoki i rzeki wszystkich starodawnych melodii we wszystkich prawosławnych Kościołach lokalnych". Kolejny rozkwit zakonów, tym razem w Rosji XV-XVI w., implikuje powstanie „motywów melizmatycznych, które są szczytem osiągnięć staroruskiej sztuki śpiewu". XVII stulecie i czasy Piotra I skaziły klasyczny, symboliczny rosyjski melos zachodnią kulturą manieryzmu, niemniej przetrwał on jeszcze do połowy XIX w. w monasterach, np. w wałaamskim, gdzie życie było szczególnie uduchowione.

Dlaczego o tym piszę w odniesieniu do Festiwalu w Hajnówce? Ano m.in. i dlatego, że w 1992 r. gościli na nim mnisi najstarszego na Rusi klasztoru, Kijewo-Peczerskiej Ławry wykonując zapomniany *Obichod notnogo pienija* i *Prejdie sień zakonnaja*. Surowy, staroruski zaśpiew musiał brzmieć szczególnie w miejscu gdzie niegdyś stykały się tak różne kultury: polska, niemiecka, litewska i ruska. W tym roku przyjechał „Romeiko Choral Ensemble" z Filadelfii składający się z amerykańskich Greków wykonujących muzykę cerkiewną tworzoną przed półtora tysiącem lat we wschodniej części cesarstwa rzymskiego, tzn. na terenach dzisiejszej Albanii, Bułgarii, Grecji, Libanu, Serbii i Syrii.

I by dopowiedzieć do końca wyjątkowość miejsca: dzieje się to na ziemi, którą nazywam polską Białorusią, podczas imprezy jednoczącej prawosławnych Białorusinów, Łemków, Rosjan, Ukraińców, którą od kilku lat rozpoczyna odśpiewanie staropolskiego hymnu *Bogurodzica* a w tym roku jeszcze *Gaude Mater Polonia*. Taki Festiwal mógł powstać tylko w obrębie „ściany wschodniej", zachowującej tu i ówdzie klimat II Rzeczpospolitej, tego co jeszcze przed pięćdziesięciu laty

nazywano kresami, bez nadużywania, podkolorowywania pojęcia jak to ma miejsce dzisiaj.

Jeżeli dodam, że chóry przyjeżdżające ze Szwecji śpiewają prawosławne pieśni po szwedzku, że obok staro-cerkiewno-słowiańskiego słyszy się wykonania w ukraińskim, bułgarskim, fińskim, rosyjskim, białoruskim, nawet w dialekcie łemkowskim, stanie się jasne, że jest to Festiwal jedyny na świecie, o wadze, znaczeniu nie do przecenienia. Szczęśliwie, że znalazł się człowiek, który go wymyślił, wykreował a inni — wbrew powszechnemu narzekaniu na bylejakość, miałkość nie tylko kulturalnego życia w dzisiejszej Polsce — dali pieniądze by mógł być jaki jest.

Zdaniem tego człowieka, dyrektora Mikołaja Buszki, Festiwal dopracował się formy optymalnej: 7-8 dni przesłuchań konkursowych i seminariów z udziałem trzydziestu kilku chórów (1 130 chórzystów). Najlepsze kwalifikuje się do uczestnictwa na podstawie nagrań. Chóry występują w pięciu kategoriach, w tym roku jurorzy mieli pewne problemy z wytypowaniem tych absolutnie najlepszych, jako że — tak przynajmniej mówiło się żartem w kuluarach, podobnie informowała *Gazeta Festiwalowa* — wystąpił nadmiar dobrych zespołów. Ostatecznie werdykt głosił:

I. w kategorii chórów parafialnych wiejskich pierwsze miejsce zajął chór z Jarabina na Słowacji, pod dyrekcją Anny Derevianikowej;

II. spośród chórów parafialnych miejskich, dwie równorzędne, pierwsze nagrody przypadły zespołowi uspienskiego soboru w Zołotonoszy na Ukrainie pod dyr. Tatiany Żury i parafii św. Mikołaja w Białymstoku pod dyr. Aleksandra Łysynkiewicza;

III. w kategorii chórów parafialnych innych, pierwsze miejsce przypadło chórzystom Nowosspaskiego Monasteru w Moskwie, pod dyr. o. Mitrofana (Smirnowa);

IV. najlepszym amatorskim zespołem świeckim okazał się Kameralny Chór z Nowopołocka na Białorusi, pod dyr. Ludmiły Żukowej;

V. w kategorii chórów zawodowych świeckich dwa równorzędne pierwsze miejsca przyznano Chórowi im. A. Ter-Oganisjana z Erywania, pod dyr. Emmy Caturian oraz Kameralnemu Chórowi Konserwatorium w Sankt-Petersburgu pod dyr. Andreja Pietrenki.

Muzyka cerkiewna ma swoją specyfikę, przy ocenie, obok typowych kryteriów jak repertuar, rozśpiewanie, wystrojenie chóru, artykulacja dźwięku, dynamika, itp. bierze się

pod uwagę siłę duchową, umiejętność kreowania nastroju modlitewnego. „Wiara w Boga — powiada Wacław Panek, jeden z jurorów tegorocznego Festiwalu — stworzyła w człowieku obszary psychiczne, które w żadnej innej materii są niewyobrażalne. I ta wiara spowodowała, że również w twórczości znalazło to odbicie, gdyż największe dzieła muzyczne, jakie powstały, są związane z wiarą, religią". O magnetycznej sile prawosławnej pieśni przekonali się chórzyści białostockiego soboru św. Ducha koncertując kilka lat temu w zwykłej sali koncertowej w Moskwie. Podczas uczuciowej, sakralnej interpretacji pieśni *S nami Bog*, słuchacze nagle wstali i ze wzruszeniem zaczęli się modlić. Z podobnych powodów jeszcze do niedawna zespół z Brześcia zmuszony był podkładać pod muzykę *Dostojno jest* świeckie słowa.

Po przesłuchaniach, codziennie, jurorzy — prof. Romuald Twardowski — przewodniczący jury Festiwalu od 1982, Andrzej Dyrdał, Vesselin Nikołow, Wacław Panek, Jerzy Szurbak i prof. Wiktor Rowdo z Mińska — spotykali się z dyrygentami na robocze rozmowy. Osobno, seminarium dla dyrygentów poprowadził wielki autorytet w dziedzinie chóralistyki (ponad 50 lat pracy z chórami) prof. Wiktor Rowdo.

W tym roku hajnowski Festiwal użyczył nieco splendoru Białystokowi: przez 3 dni, równolegle, koncerty odbywały się w białostockiej dolnej cerkwi Świętego Ducha. Rozrosły się również występy towarzyszące: tym razem zespoły śpiewały w Bielsku Podlaskim, Siemiatyczach, Zabłudowie, Łapach, na św. Górze Grabarce oraz w kościele rzymskokatolickim w samej Hajnówce. Impreza nabrała rozmachu i — wydaje się — osiągnęła wymiar optymalny, jeśli jak powiada p. Buszko — życie nie przyniesie jeszcze lepszych rozwiązań. Dzięki takim ludziom jak Irena Parfeniuk, Sławomir Kaliszuk, Rościsław Kuncewicz, Halina Wojskowicz — bo to przecież oni, nie instytucje organizują Festiwal — pomocy kilkudziesięciu społeczników, młodzieży z Bractwa Cerkiewnego, Międzynarodowy Festiwal Muzyki Cerkiewnej w Hajnówce rok w rok przebiega bez zarzutu. Jest jednak pewien cień: profesor Twardowski twierdzi, że nie przywiązuje się tutaj należytej uwagi do prawykonań. Każda impreza, jeśli chce się prawdziwie rozwijać, musi wprowadzać coś nowego. Nie można ograniczać się jedynie do odtwarzania muzyki cerkiewnej — największe światowe festiwale dbają o nowinki w swoich programach.

Szef jury realizuje w praktyce swój postulat wprowadzając co jakiś czas do hajnowskiego Festiwalu własną kompozycję, w tym roku obok *Osanny* dwa razy wykonano *Chwalitie Imia Gospodnie*. Należy żałować, że w kraju tylko Krzysztofa Pendereckiego, jak dotąd, interesuje ten rodzaj twórczości.

Myślę, że gdybania na temat przelotnej mody na muzykę cerkiewną w Rzeczpospolitej można sobie darować; Festiwal się obroni. Gwarantuje to nie tylko jego wysoki, profesjonalny poziom. Rzymscy katolicy niekiedy dopiero teraz dowiadują się o istnieniu prawosławia w Polsce, coraz częściej (niektórzy nawet twierdzą, że zbyt często jak na wagę problemu) o nim się pisze, wykorzystuje motywy charakterystyczne dla tej religii w różnych dyscyplinach twórczości. W ten sposób realizuje się tłamszona do tej pory na wiele sposobów tęsknota, dla wielu może nawet nieświadoma, do tego co w Rzeczpospolitej od wieków było najcenniejsze, najbardziej interesujące: wielowarstwowości naszej kultury, sztuki. Można by sobie życzyć by prawosławni, grekokatolicy, czy przedstawiciele innych mniejszości mocniej akcentowali swoją obecność np. w literaturze tutaj tworzonej. Zanim dojdzie do pełnego, harmonijnego zestrojenia tych pozostałości wielokulturowego, wieloreligijnego tygla jaki otrzymaliśmy wraz z III Rzeczpospolitą, mamy przynajmniej Hajnówkę-Betlejem, tę „drugą Paschę" — by użyć słów ks. Jerzego Szurbaka. W fazie brania pierwszych, ostrożnych akordów na tej drodze jest to i tak dużo.

Przyjemnie powiedzieć, że nareszcie widzi się pieniądze wydatkowane na cel nie tylko zbożny, ale przede wszystkim mądry.

Lublin, październik 1994

Adam W. KULIK

Tak różne są przypadki ludzkiego cierpienia

(O POEZJI ADAMA CZERNIAWSKIEGO)

Liryka Adama Czerniawskiego prezentuje różne wzorce artystycznych wypowiedzi — od retrospektywnego wyznania, monologu wyliczeniowego, zwierzenia — kreując bohatera

pozostającego w bezpośrednim i emocjonalnym związku ze swoim twórcą. Poeta świadom granicy między światem istniejącym realnie a światem postrzeganym i utrwalanym za pomocą kodu wyobraźni zdecydowanie wybiera do swoich peregrynacji przestrzeń lirycznie przetworzoną. Między *szeptem horyzontów i cichym przelotem błyskawic* odczuwamy *ograniczoną wieczność i domniemaną przyszłość* w pejzażach świata wypełnionego muzyką i twarzami ludzi z różnych epok i cywilizacji.

Adam Czerniawski, autor takich zbiorów wierszy, jak m.in. „Widok Delft" (Kraków 1973), „Władza najwyższa" (Kraków 1982), „Wiek złoty" (Paryż 1982), „Jesień" (Kraków 1989), zaproponował ostatnio czytelnikowi swoje „Poezje zebrane" (Łódź 1993). W tomie tym znajdujemy również „Wiersze nowe" z refleksyjnym poematem pt. „U schyłku XX wieku", w którym poeta przygląda się doświadczeniom historycznym i egzystencjalnym ludzkości, stawiając pomyślną diagnozę przyszłym pokoleniom. Człowiek doby obecnej, ukształtowany doświadczeniami Hioba i samotnością technicznej cywilizacji, zasługuje na prawdę i optymizm: *bo ma za sobą wieki ludzkiej trwogi, / która mu właśnie przejaśnia się w uśmiech* („U schyłku XX wieku"). Poeta z wielkim wyczuciem sytuacji oprowadza swojego bohatera po labiryncie codzienności, uświadamiając mu, że minął wiek złoty, a wokoło tylko pomniki zagłady i w ciemności słychać szloch Orfeusza. Poeta wie, że między pamięcią rodzaju ludzkiego a naszą *niepamięcią* jest pewien niezmienny porządek natury. To ona rodzi *mity miłości i śmierci*, nakłania człowieka do wiary i działania, choć zaproponować może tylko rozpad, *podmuch erozji*.

Bohater liryki Czerniawskiego wierzy w swoje **niepowtarzalne chwile**, układa **komentarze do snu**, czuje, że ból doświadczenia ma wartość edukacyjną i chce wyrwać się spod władzy *vanitas*. Lecz stwarza go właśnie owe odczucie przemijania czasu, swojego życia i form świata. Dobra *vanitas* pozwala mu wierzyć, że śmierć (nazywana w wierszach „jesienią") pozwoli mu przetrwać w innych wymiarach egzystencji i sposobach kreacji. Bohater czasami wątpi w swoje indywidualnie pojęte przesłanie i siłę jednostkowego przetrwania:

Cóż na nas czyha
w gwałcie października, ilu doświadczy wątłe
życie grozy? Stoją za nami architekci

dziejów, do nich się zwracam o spokojną
przyszłość, choć mnie nie słyszą, oczy ich
z kamienia.

(„U schyłku XX wieku")

Poeta często przywołuje przeszłość i wpisane w nią postacie. Z jednej strony chciałby nawiązać kontakt z mądrością *etnosu*, a z drugiej przekonać się, że istotna dla człowieka wiedza rodzi się poza centrami nauki i kultury. Wiersz „Incydent w świątyni" o konstrukcji wyliczeniowej przypomina ważne dla duchowego rozwoju człowieka obszary i dziedziny życia, choć jego liryczny podmiot odcina się od przeszłości i kwestionuje funkcję autorytetów w życiu społecznym. Wiele utworów Czerniawskiego to teksty osadzone w konkretnym kontekście historycznym („Próba ochrony środowiska", „Samosąd", „Asurbanipal i inni", „Lustra i refleksje") i właśnie dlatego ich liryczne przestrzenie zapełniają rekwizyty z innych epok, kontrastujące z detalami współczesnej nam codzienności. Dawni przywódcy świata wywoływani po imieniu za pomocą toposu *Ubi sunt...?*, przypominani na kartach książek, uwieczniani w nazwach ulic, zaludniają i zarazem przeludniają pole wyobraźni bohaterów tej liryki. Historia jest dla poety kluczem do zrozumienia a może zhumanizowania współczesnej cywilizacji, lecz zauważa on zarazem, że trzeba zaufać duchowym drogom poznania, **skierować umysł wewnątrz** („Ewolucja przedmiotów"). Propozycją może być senna wizja, tworzenie poezji, próba odbudowy mitów.

Główne tematy poetyckie zbiorów „Sen cytadela gaj" (1966) i „Widoku Delft" (1973) związane są z poznawaniem egzystencji człowieka i wskazywaniem jego miejsca na scenie ludzkiego życia. Takie wiersze jak: „Tren", „Człowiek w probówce", „Wizerunek człowieka poczciwego", „Mały kodeks karny", „Lingua adamica" tłumaczą ograniczone możliwości każdego z nas, gdy tracąc punkty orientacyjne w świecie ufamy pozornej prawdzie faktów i fałszywych opinii. Utwór pt. „Prowokacja" ukazuje wręcz drwinę ze świata-cyrku, śmiesznego festynu. Natomiast zbiór „Jesień" (1989), najbardziej dojrzały poetycko i najciekawszy stylistycznie, przenosi odbiorcę w sferę **wiedzy i doświadczenia** związanego z przeczuciem odchodzenia i poznaniem kresu. Tu podmiot liryczny obdarzony zostaje funkcją komentującego *ludzkie komedie pomyłek, wojny, kruchość bytów naturalnych* i jego wypowiedź to głos rozpaczy człowieka świadomie opuszcza-

jącego bramy edenu („Desolation Sound czyli Głos Rozpaczy", „Słowa", „Poświata", „Wiedza i doświadczenie"). JESIEŃ to dla poety pora poznania, czas edukacji i odejście od ciemności świata. W utworze pt. „Ex libris" następuje demetaforyzacja rzeczywistości, odszukanie przez bohatera właściwych znaczeń słów i gestów. Czujemy, że poeta chciałby odnaleźć „sens całości" na przykładzie swoich myśli i minionych wydarzeń. „Lustra i refleksje", poemat wieńczący cykl „Jesień", ukazuje prawdy świata i pogrążonego w chaosie informacji człowieka:

A my też stoimy na chodniku mitów:
płyty się osuwają, pękają, ukazują
szczeliny, potknięcia, błotniste zacieki,
przeszłość wciąż zmienna:
zwycięzcy przegrywają bitwy
prawdy uczonych niszczeją w muzeach
barbarzyńcy okazują się zbawcami
(...)
żaden krzyk rozpaczy do nas nie dociera.

Utwór ten, wielowarstwowy tematycznie i znaczeniowo, stanowi wariację poświęconą radościom istnienia i wyborom życiowych ról. Poeta twierdzi, że każdy z nas może być tylko sobą, lecz jest to wyznanie bardzo przekorne i raczej jesteśmy skłonni wierzyć, że to suma postaw innych ludzi kształtuje nas i mobilizuje do ciągłych przemian. W lustrach tego poematu, ustawionych retrospektywnie i wewnątrz ciała odbiorcy, odbija się wiedza poety i słowa zapisywane przez myślicieli różnych czasów. Czerniawski przekazuje swojemu bohaterowi pytanie: *„Jak się wydostać ze szponów refleksji?"* i zarazem sugeruje odpowiedź: *„zrzucić nadwagę pojęć i zdań... być nie sobą, nie wiedzieć o niczym"*. „Lustra i refleksje" gromadzą szereg lirycznych motywów pojawiających się w całej twórczości poety, m.in. obrazy życia-sceny z Plotynową koncepcją człowieka-marionetki, motywy na zawsze utraconej radości (...*„tej drogi już nie ma"*), myśli o ziemskości w kontekście tego, co wieczne i niezmienne. Wiersze z cyklu „Jesień" to również portrety nas samych idących w kierunku ostatniej pory poznania.

Linia poetycka *peregrinatio vitae* Adama Czerniawskiego wiedzie odbiorcę w kierunku refleksji na temat sztuki poetyckiej i kodów tworzenia. W całej twórczości autora „Władzy najwyższej" znajdujemy szereg zapisów poświęconych materii *poesis* i kondycji twórcy („Na powrót muz", „Lekcja poezji", „Ostatni wiersz", „Ex libris", „Poeta współczesny", „De arte poetica" i in). Poetę interesują reguły sztuki poetyckiej pojętej jako odczytywanie życia i poszukiwanie sposobów mówienia o sobie. W poemacie pt. „Oczyszczanie starego wiersza" Czerniawski wyraża refleksję na temat możliwości artysty i możliwości imitacyjnych w ogóle. Wie, że dzieło sztuki odzwierciedla „doświadczenie ludzkości" i jest wierną kopią jej wizerunków w poszczególnych przedziałach czasu — od **wieku złotego** do **jesieni**. Literacki proces rekonstrukcji świata kształtuje zarazem u tego autora postawę poznawczą i posiada dla niego na pewno aspekt edukacyjny. Tworzy on w tym celu wiele wierszy o profilu objaśniającym („Biografia biografii", „Rzecz o poezji", „Lamentacje"). Ikoniczność jego wierszy i ich intelektualna chłonność wyrażają „poznające ja" tej liryki w sposób szczegółowy i jednoznaczny. Demaskować i ilustrować świat swoimi doznaniami.

W grupie utworów odwołujących się do tradycji gatunków regularnych („Tren", „Mała elegia nagle", „Lamentacje", „Oda do młodości...") spotykamy bardzo swobodne operowanie tematem żałobnym i motywami opłakiwania. Mimo luźnego związku tych wierszy z wzorcami gatunkowymi typowymi dla literackiej tradycji grecko-rzymskiego antyku ważne jest zaznaczenie przez poetę swojego miejsca na terenie kultury śródziemnomorskiej. Nieobecny bohater „Małej elegii nagle" wiąże ze swoją postacią osoby, pejzaże i emocje wciąż istniejącego i zmieniającego się świata, naszego cichego i mądrego kosmosu. Jest w nim miejsce na podróż, pielgrzymkę do miejsca zwanego „celem", choć autor ostrzega przed „krokiem fałszywym" i grozą nieporozumień.

Starannie dobierana do obrazów poetyckich leksyka sprawia, że liryczny język tych wierszy jest bardzo obrazowym i znaczeniowo nośnym kodem. Układy słów charakteryzujących poszczególne sytuacje bardzo przypominają wielokolorowe i przestrzenne ekrany skupiające ludzi, wydarzenia i rekwizyty wraz z klimatem i nastrojem chwili. Może plastyczna wyobraźnia Czerniawskiego odwołuje się do praktykowanych niegdyś przez twórców renesansu i baroku utworów emblematycznych — z obrazem, mottem i objaśnieniem w formie wiersza. Poeta bowiem często wprowadza odbiorcę w świat wielu przestrzeni równocześnie i zmusza go do podjęcia trudu interpretacji znaków kultury. Wypowiedzi słowne poety są często wynikiem jego refleksji metapoetyckich („Z

albumu", „Rzecz o poezji", „Poznanie przez opis", „W terenie") i sugerują, że sztuka tworzenia łagodzi pragnienie przetrwania i istnienia poza czasem („Słowa i pył"). Aczkolwiek tragiczna a może tylko ironiczna myśl dotycząca kondycji twórcy z wiersza pt. „Poeta" ma informować o tym powołaniu jako przypadku ludzkiego cierpienia. Ciekawą grupą tekstów wspomagających ten temat są liryki mówiące o samym autorze, np. „Autoportret z okresu dojrzewania", „Autopsja", „Człowiek który myśli", „Autoportret z kobietą", które w pewnym sensie diagnozują poetyckie „ja" Czerniawskiego i wprowadzają nas za kulisy sceny twórczości. Życie wewnętrzne jako synonim egzystencji realnie osadzonej w materii i formach energii staje się dla poety pretekstem do wyrażenia prawdy o świecie własnych przemian i odczuć.

Topografia liryczna autora „Jesieni" uwzględnia różne miejsca sprzyjające bądź wrogie człowiekowi (znane w tradycji literatury jako krainy szczęśliwe lub straszne). Poznajemy dalekie kontynenty, jeziora, lodowce, skały, ogrody, ale również szare przestrzenie wszechświata, samotne drogi, martwe krajobrazy. Czerniawski nie unika mówienia o naszym obecnym życiu jako pułapce i gąszczu absurdalnych, niepotrzebnych dróg. W utworze pt. „Miasto wczoraj i dziś" obserwuje człowieka, który świadomie opuszcza raj, by poznać wszystkie odcienie życia. Jego *nieufni bezradni* niepokoją się, że już za późno na odwagę i decyzje, a zwłaszcza na znalezienie sobie nowego miejsca w życiu („Miasto...", „Widok Delft", „Lamentacje"). Poeta chciałby zatrzymać wiek złoty, ale czas prowadzi go do cywilizacji betonu i szkła, pustki i samotności. Jego postawę odzwierciedla wiersz „Pierwszy śnieg" o kataklizmach kształtujących oblicze ziemi i sferę odczuć człowieka, a wspomaga sugestia na temat wyboru odpowiednich autorytetów w utworze „Próba ochrony środowiska".

Kategoriami nadrzędnymi w modelowaniu światów poety stają się **pamięć** i **wyobraźnia**:

> *A teraz natrafiając na fragment brukowanej ulicy*
> *a teraz na podmiejskim skwerze lub na skrzyżowaniu*
> *alej myślę tędy szły szyny w pamięci*
> *lub wyobraźni*
>
> („Próba ochrony...")

To one sprawiają, że człowiek zapomina o złych stronach losu, gdyż historia uczy go cierpliwości i zachęca do aktywności.

Gdybyśmy mieli wskazać na cechy tej poezji, to na pewno oniryczność byłaby jedną z nich. Poeta wie, że doświadczeniu zawartemu we śnie odpowiada ogólna wiedza o świecie i dlatego warto ustalić znaczenia wyśnionych przedmiotów i sytuacji. Czerniawski nie zawsze informuje, że konkretna wizja poetycka ma swoje źródło we śnie, nie posługuje się toposem *życie snem* i nie przykłada zbytniej wagi do psychologicznych interpretacji wypowiedzi modelowanych przez siebie bohaterów, lecz traktuje przestrzeń snu jako realnie istniejącą sferę naszego życia, miejsce dla „drugiego ja", przyczynek do *visio*. Poemat tego autora pt. „XII propozycji albo sen" podkreśla niedosłowność świata i nieporadność człowieka bojącego się samotności. Tylko sen, który nie zniekształca uczuć i marzeń, przynosi człowiekowi ulgę w cierpieniu i zachęca do poznawania prawdy o sobie. Poeta jakby przepowiadał konieczność zaistnienia w nowym wymiarze egzystencji: *To co kiedyś życiem było jest snem* („XII propozycji...") i wierzył w oniryczne wyprawy do krainy swojej preegzystencji.

Poezja Adama Czerniawskiego wydobywa z mroku przedmioty z przeszłości, ożywia kolory pór roku setki lat temu, ukazuje wyobraźnię ludzi zamieszkujących ziemię przed nami. Jest wielogłosowa w swym retrospektywnym dążeniu do początków różnych cywilizacji. Symbolika starohebrajska, babilońska, chrześcijańska splata się w tej liryce ze znakami współczesnej cywilizacji i mitami naszego wieku. Podmiot liryczny wchłania w siebie doświadczenia rodzaju ludzkiego i przekazuje je wpisanemu w tekst odbiorcy, lecz na szczęście bez moralizowania i podkreślania przewagi swojej sytuacji. I jeżeli ta poezja miałaby nas czegoś nauczyć, to na pewno wiary w to, że człowiek może nazwać i zrozumieć swoją rolę na ziemi, aby nie robić błędów w przyszłości.

Autor „Jesieni" opowiada o tym co się stało, gdyż w ten sposób opowiada o sobie. Tylko w tragicznym i nierzadko bolesnym splątaniu dziejów może uwidocznić swoje autorskie i jednostkowe, czyste w swej wrażliwości „ja". *Nie bez melancholii rozpamiętuję losy*, wyznaje w utworze „Ex libris", tak jakby chciał się usprawiedliwić, że przeszłość jest dla niego ważna, bardziej prawdziwa od teraźniejszości. Pasja archeologa, historyka dusz?

Poezja A. Czerniawskiego nie koncentruje się na chrono-

logii wydarzeń, wyjaśnianiu porządku natury, nie klasyfikuje emocji związanych z przemijaniem i nie podejmuje walki z czasem. Jest propozycją odczytania świata, wykładem na temat naszego losu, i tak osobiście pojęta ma szansę stać się komentarzem do dziejów rodzaju ludzkiego. Jest w niej miejsce na codzienność, introspekcję, spacery w świecie sztuki. Bohater tej liryki czuje się mieszkańcem dobrego makrokosmosu (*A nad nim ład moralny gwiaździstego nieba...*) i choć zastanawia go wielość własnych wizerunków, akceptuje swoje miejsce w życiu. Potrafi zauważać i czuć.

Wiersze te mówiące o „przypadkach ludzkiego cierpienia" uczą też, jak cierpienia unikać i jak mu się przeciwstawiać. Pamięcią i marzeniem.

Danuta KÜNSTLER-LANGNER

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w październiku 1994 roku. *Dziękujemy*:

— WYDAWNICTWU ANEKS za przekazanie 19.445 egz. czasopism (potwierdzenie zaległe — przepraszamy);
— WARSZAWSKIEJ OFICYNIE WYDAWNICZEJ GRYF za przekazanie 100 egz. książek;
— FUNDACJI POGRANICZE za przekazanie 700 egz. książek;
— DOMOWI WYDAWNICZEMU REBIS za przekazanie 4.084 egz. książek;
— Pani Marii Trzcińskiej za przekazanie 50 egz. książek.

Otrzymane pisma i książki przekazujemy nieodpłatnie bibliotekom w kraju i za granicą.

Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo idee Fundacji, podajemy numer naszego konta: FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM, PBK III Oddział w Warszawie, nr konta 3700015-975148-132-3.

Nasz adres:
FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM,
ul. Hoża 29/31, 00-524 Warszawa,
tel./fax 621-70-75, 628-42-57

Książki

„Napiszesz o mnie książkę"

Napisała ją po 50 latach[1]. Jadwiga Karbowska poznała Stanisława Mackiewicza w Wilnie w latach 30-tych jako młoda dziennikarka i potem, przez szereg lat, dzieliła z nim życie w Polsce, w wojennej Francji i w Londynie. Nazywała się wtedy inaczej, nie robi jednak tajemnicy z tego, że chodzi o tę samą osobę,

Książka nie jest pełną biografią Mackiewicza, mówi o pewnym wycinku jego życia. Są w niej osobiste dzieje i uwagi autorki, próba odtworzenia poglądów polityczno-historyczno-literackich Mackiewicza, oparta na tym co mówił i pisał i sporo sylwetek wybitnych przyjaciół i współpracowników (Adolf Bocheński, Karol Zbyszewski, Ksawery Pruszyński, ks. Meysztowicz i in.). Sam Mackiewicz nie znika ze sceny ani na chwilę. Albo jest jej fizycznym bohaterem, żywiołowy, niespokojny, trudny do systematycznego uporządkowania, albo odbity w komentarzach autorki. W książce zgrabnie łączą się różne wątki i jest specjalnie ciekawa dla czytelnika, który może robić porównania z tym co sam zna i pamięta. Czasem trochę irytuje błyskotliwą inteligencją i pamięcią protagonistów, gdy każdy temat ich rozmów, poruszony w codziennym życiu, przy stole czy na spacerze, przemienia się w mały pokaz wiedzy i zanim zawstydzony czytelnik zdążył sięgnąć po encyklopedię, oni już wywiedli ze szczegółami i datami kiedy rozpoczął się XX wiek i skończył XVIII, jak należy odnawiać dzieła sztuki, co powiedział/zrobił/myślał Puszkin, Churchill, paru Napoleonów, Hemingway, de Gaulle, Malraux i czym różniła się polityka Piłsudskiego i Dmowskiego.

1. Jadwiga Karbowska: *Z Mackiewiczem na ty*. Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1994.

„Londyniszcze" i Cat-Mackiewicz wzajemnie się nie lubili. Niepopularność jego na emigracji miała swój legendarny początek pewnego czerwcowego dnia 1940 roku w Libourne, gdzie znalazł się polski rząd na wygnaniu w tłumie innych uciekinierów z Francji przed Niemcami, którzy już zajęli Paryż. Każdy Polak, zbliżając się do portów, myślał tylko o znalezieniu się w Anglii, ostatniej wówczas przystani nadziei w losach wojny. Mackiewicz stanął tam przed prezydentem Raczkiewiczem i wierny tradycji szlacheckich sejmików zawołał z emfazą: „Nie tędy droga, Panie Prezydencie!", wskazując jednocześnie właściwy, według niego, kierunek ku zbliżającym się Niemcom. W książce scena z Libourne uległa interpretacji, ale bez zaprzeczenia intencji.

W atmosferze zrozumiałej wtedy powszechnej egzaltacji patriotycznej, ten okrzyk z Libourne miał wyraźny posmak zdrady i wlókł się za Mackiewiczem przez lata. W końcu, gdy rzeczywiście zdradził zaufanie, przede wszystkim tych, którzy — ku zdumieniu emigracji — powierzyli mu stanowisko premiera na wygnaniu i wyjechał do komunistycznej Polski w 1956 r., przypomniała się ta o nim opinia.

Mackiewicz w Londynie nie zmienił się od przedwojennych czasów. Był tak samo gwałtowny, egocentryczny, głośny, niechlujny, zadziorny jak wtedy, gdy — jak pamięta autorka — chodził po spokojnym Wilnie ze szpadą, ukrytą w nieodstępnej lasce. Tylko, że wtedy jego zachowanie było ukryte w wileńskim zaułku, podczas gdy w Londynie na pierwszy plan wysuwało się nie to co pisał i myślał, tylko jaki był.

Przedwojenna Polska znała go jako świetnego, odważnego, politycznie zaangażowanego publicystę i redaktora, który z prowincjonalnego *Słowa* potrafił zrobić pismo o znaczeniu ogólnokrajowym. Gdy w rubryce pod nazwą „Najlepszy artykuł tygodnia w prasie polskiej" ukazywał się wybrany artykuł, nawet dziennikarze o znanych nazwiskach uważali to za wyróżnienie.

Mistrzem Mackiewicza był Bainville, czołowy publicysta prawicowego pisma *L'Action Française*, o którym pisał w 1936 r.: „Nie był to dziennikarz informacyjny... W swoich króciutkich artykulikach komentował fakty z współczesnej historii w ten sposób, że każdy jego 60-wierszowy artykulik urastał do godności historiozoficznej koncepcji".

Zgodnie ze swym kiplingowskim pseudonimem, Cat-Mackiewicz chodził własnymi drogami i czytelnicy nie zawsze dotrzymywali mu kroku. Nie wszystkim odpowiadały jego poglądy monarchistyczne, federacyjne, i do tego stopnia konserwatywne, że uważał ziemiaństwo, tzw. żubry litewskie za gwarantów polskiej kultury. Jedni mieli mu za złe uwielbienie dla Piłsudskiego, inni — utarczki z sanacją, które doprowadziły go w końcu do Berezy, gdzie go wsadził Sławoj Składkowski a wyciągnęła stamtąd protekcja Prystora. Ale im więcej było koło niego sprzeczności, im bardziej był kontrowersyjny, tym chętniej go czytano. „Pod jego piórem wszystko stawało się pasjonujące — pisał w pośmiertnym wspomnieniu Karol Zbyszewski. — Ta błyskotliwość, ta erudycja, te zaskakujące tezy, ta łatwość w zmienianiu tematu... nie cedził i nie plótł banałów, nie mówił ciągle o sobie...[2]".

Indywidualizm Mackiewicza, który w kraju dodawał mu autorytetu, nie służył mu dobrze na emigracji. Nie przylegał do niej, nie leżało w jego charakterze, by się włączyć do jakiejkolwiek wspólnoty. Próbował brać czynny udział w emigracyjnej polityce, biegał z zebrania na zebranie, przejęty dziejowym znaczeniem obrad, co wyśmiewał jego przyjaciel Karol Zbyszewski, tłumacząc mu, że znacznie pożyteczniej spędzi czas, jeśli pojedzie z nim na grzyby. Wczesnowojenna emigracja przy swoich słabościach, wadach, złych posunięciach, wierna była jednej idei — wolności i niepodległości Polski. Dzisiaj, w czasach letnich uczuć, może to brzmieć patetycznie, ale za wszystkimi oficjalnymi deklaracjami owych czasów, mądrymi czy nie, stała niewzruszona solidarność wielotysięcznej masy emigrantów, dla których nie istniały historyczne wywody, intelektualne koncepcje, ani żadne polityki, tylko były niedawne łagry, Jałta, Katyń i utracone ziemie, z których większość pochodziła. Mackiewicz nie umiał oddzielić historii od współczesnej rzeczywistości i choć wydawał pismo pod tytułem *Lwów i Wilno*, potrafił wtedy nazwać Wołyń - Ukrainą w artykule, przysłanym do *Wiadomości* i choć wywodził to historycznie, Grydzewski, też historyk, zaprotestował przeciwko tej terminologii.

Żaden pisarz na emigracji nie był tak czynny jak Mackiewicz. Wznowił w Paryżu *Słowo*, potem założył pismo *Lwów i Wilno*, stale pisał do *Wiadomości*, wydawał niezliczoną ilość broszur i książki. Miał uznanie elitarne, czego dowiodła jedna z ankiet *Wiadomości*, w której czytelnicy wybrali go, obok jego brata Józefa (co zirytowało ich obu) jako „najpopularniejszego pisarza". Ale nie dawało mu to szerokiej popularności, jakiej pragnął, nie przyznawało mu roli

2. *Dziennik Polski* 12 marca 1966.

politycznej, do której uważał że jest przeznaczony, gdy udzielał rad Sikorskiemu, nie budził tym co pisał dyskusji, ani sporów. Jest w książce Karbowskiej moment, z którego może nie zdawała sobie sprawy jak jest tragiczny. Kiedyś wywołał ją z czytelni British Museum na dziedziniec, by jej powiedzieć w zdenerwowaniu: „Eddy, najwyższy czas, żeby przestać się łudzić. Już nigdy nie będę dziennikarzem... Trzeba się wreszcie na coś zdecydować. A gdybym tak zaczął pisać książki? Przeznaczone nie tylko dla polskiego czytelnika?... Pomyśl: artykuł żyje tylko jeden dzień, książka ma przed sobą czas nieograniczony".

Wtedy powstał pomysł napisania książki o Dostojewskim. Drukowana niemal w całości w *Wiadomościach*, ukazała się w angielskim przekładzie i nigdy nie miała szans na powodzenie, jakiego się spodziewał, uważając że „mój Dostojewski jest niewątpliwie najlepszą książką na emigracji w ogóle i kto wie czy nie najlepszą książką o Dostojewskim". Było to jeszcze jedno nieporozumienie. Nie liczył się z tym, że Anglicy uważają siebie za bezkonkurencyjnych specjalistów od literatury i kultury rosyjskiej i nie dopuszczają myśli, by ktoś im mógł na ten temat coś nowego powiedzieć. A dla polskich czytelników był to ostatni temat, którego byliby ciekawi w ówczesnych nastrojach, zwłaszcza, że literatura rosyjska nigdy nie była ogółowi Polaków bliska i nawet ci, którzy nie czytali Dostojewskiego, wiedzieli o jego stosunku do Polaków.

Żałośnie wyglądały i inne próby zdobycia popularności, nawet najłatwiejszej. Napisał sztukę o Hitlerze i choć na premierze byli wszyscy notable emigracyjni z prezydentem i Andersem na czele, sztuka została chłodno przyjęta przez publiczność i zgryźliwie przez krytyków, kiedy indziej gotowych z każdej emigracyjnej, najbardziej amatorskiej imprezy robić światowe wydarzenie artystyczne. „Postaci recytują artykuliki Cata"; „Nic z tego mętliku nie wynika"; „Polszczyzna — mimo poprawek reżysera — okropna". W książce Karbowskiej jest mowa o występie Mackiewicza na pół towarzyskim, pół literackim wieczorze, jaki sobie zorganizował. Błyszczał, opowiadał anegdoty, próbował mówić poważnie, zbierał brawa i uśmiechy i — jak pamiętają uczestnicy tego wieczoru — publiczność rozeszła się zadowolona jak po kabarecie Hemara.

W odróżnieniu od innych ludzi, którzy miewają swoje zainteresowania, upodobania, skłonności, Mackiewicz miał tylko pasje. Historia, polityka, Wilno, kobiety, łakomstwo na heroiczną skalę.

W małym „polskim" Londynie wojennym, rojącym się od plotek, nie było ich trzeba, by wszystko wiedzieć o prywatnym życiu Mackiewicza. Popularny wśród Polaków White House, wielopiętrowy ul małych mieszkań tzw. *service flats* przylegających do siebie cienkimi ścianami, nie pozostawiał wiele domysłów co do życia sąsiadów, zwłaszcza przy głosie Mackiewicza. Jego zachowanie przypisywano „rosyjskości", obcej ludziom z zachodniej Polski, którzy stanowili większość w ówczesnym Londynie. Wszyscy bali się spotkać z nim na ulicy czy w autobusie, .bo zwracał na siebie uwagę, wykrzykując na cały głos komentarze, wymachując rękami, pokazując kobiety palcami. „Staś robi często wrażenie niepoczytalnego" — napisał w jednym z listów jego przyjaciel W.A. Zbyszewski, który też nie przestawał zżymać się na rusycyzmy Mackiewicza. A do folkloru emigracyjnego przeszły dowcipne relacje układnego krakowianina, Zygmunta Nowakowskiego, świadka obiadów w „Ognisku", o manierach Mackiewicza przy stole towarzyszących pożeraniu przez niego dwóch porcji każdego dania. Gdy ktoś wymieniał nazwisko Mackiewicza, wiadomo było, że to nie mowa o jego ostatnim artykule, tylko o jakimś nowym skandaliku.

Ostatecznie ośmieszyło go histeryczne zachowanie, gdy opuściła go Eddy. Mdlał na ulicy — jak głosiła fama — szalał, biegał od prezydenta do Andersa, żądając by zatrzymali w Portugalii statek, płynący do Argentyny, zanim on tam nie poleci, by zawrócić niewierną z drogi. Gdy wszystkie instytucje, do których się zwracał odmówiły mu pożyczki kilkuset funtów na tę podróż, szybko się pocieszył w towarzystwie „Zielonych oczu".

Przy takim komediowym akompaniamencie odbywał się dramat człowieka, który zgubił swoje miejsce. Było mu dobrze tylko, gdy królował w Wilnie. Po kilkunastu nieudanych latach emigracji, spróbował, że może w kraju będzie mu lepiej. Autorka, która zachowała w książce chwalebny umiar, w tej sprawie uległa niełądnej pokusie. Cytując słowa dawnego przyjaciela Mackiewicza, ks. Waleriana Meysztowicza z jego książki „Gawędy o czasach i ludziach", który tak skomentował wyjazd Mackiewicza do kraju: „Mackiewicz bez hamulców dla swoich zachcianek doszedł do takiego rozprzężenia pod wszystkimi względami, że w końcu on, ułan, szlachcic, już nie mówiąc o ministerialnej wysokiej godności wśród emigracji — rzucił wszystko, pojechał oddać się w pęta,

oddać własną swoją myśl w obcęgi" — Karbowska komentuje jako dowód wynaradawiania się emigracji, wywodząc, że ojczyzna jest niezależna od politycznych wydarzeń.

Mackiewiczowi potrzeba było kilkunastu lat, by dojść do tego patriotycznego wniosku. W znienawidzonym „Londyniszczu" pisał i drukował swobodnie co chciał, otrzymywał godności i nie cierpiał biedy, choć tematem listów do Grydzewskiego było nieustanne upominanie się o pieniądze, nawet o śmieszne parofuntowe sumy. Nie dowodziło to wcale „nędzy emigracyjnej", którą szermowała propaganda komunistyczna. Karbowska opowiada jak w Wilnie wybierał zaliczkami pensję „do roku 3000" i raz ogłosił w redakcji, że wyjeżdża na objazd kilku stolic Europy, gdzie właśnie odbywały się ważne międzynarodowe konferencje. Po sześciu dniach wrócił z Paryża, gdzie przejadł wszystkie pieniądze.

Wracając do komunistycznej Polski, wszystkowiedzący, tak politycznie mądry Mackiewicz, przegrał, czego z góry byli pewni mniej mądrzy od niego. I przegrał w sposób dla niego najboleśniejszy. „Nawet w Londynie mój 'Dostojewski' był lepiej przyjęty niż tutaj" — gdzieś się poskarżył. I pisząc do Grydzewskiego z Warszawy w 1965 r.[3] prosił go o zamieszczenie w reakcyjnych *Wiadomościach* recenzji o książce „Europa in flagranti", „bo tutaj o niej nie zamieszczono ani jednej bibliograficznej wzmianki". W tym samym liście doniósł, że został skreślony z listy dziennikarzy „za szkalowanie Polski w *Kulturze* w czym sąd koleżeński dopatrzył się przekroczeń etycznych. Motywacja wyroku wygląda jak *płoszczadnaja* połajanka".

Stefania KOSSOWSKA

3. „Z listów do Mieczysława Grydzewskiego". Wybór, wstęp i opracowanie Rafał Habielski. Polonia. Londyn 1990.

Czas ponurych obrazów

Książka Kalinina* (ur. 1933, mieszka w Częstochowie) jest utrzymana w pierwszej osobie i stanowi literackie przetworzenie autentycznej — jak zapewnia nota edytorska — narracji bohatera o nazwisku Antoni Tuchoski, opowiadającego o swych przeżyciach w Związku Sowieckim w latach 1939-43. Gdyby nie to, że słowo „gawęda" kojarzy się z nastrojem raczej pogodnym i tematyką niedramatyczną można by użyć tego terminu do określenia prozy Kalinina, stylizowanej na nieupiększony zapis relacji mówionej kresową (wileńską?) polszczyzną i notowanej na żywo z wszystkimi wtrącanymi przez opowiadającego kolokwializmami (typu: „tak to, panie szanowny..." i „jeszcze dziś, po tylu latach..."). Całość podzielona jest na cztery części zwane obrazami i opatrzone tytułami określającymi ich centralny, „puentujący" motyw. I tak na przykład „obraz" trzeci pt. „Konie" jest opowiadaniem o zagładzie syberyjskiego obozu, w którym będące pod opieką narratora konie zapadają na nosaciznę i — wbrew jego ostrzeżeniom — zostają zjedzone przez wygłodniałych więźniów. Zaraza ogarnia cały łagier. Tuchoski uchodzi z życiem, gdyż uznany za winnego pomoru koni zostaje natychmiast zamknięty w karcerze, a następnie skazany za „sabotaż". W jakiś czas potem w krasnojarskim więzieniu spotyka — też w międzyczasie uwięzionego — „naczalnika" końskiego łagru, od którego dowiaduje się końca tej historii:

> W ten dzień (...), gdy konwój karny z obozu wyszedł, już się ta zaraza zaczęła. W nocy ona wybuchła, jak ogień niespodziewany jaki. Nagle ludzie zaczęli umierać cicho i gęsto jak muchy. Żyli, żyli, aż nagle słabli i żyć przestawali. Już nad ranem masę trupów przed barakami leżało. (...) Najpierw skonali ci, co mięso końskie jedli, a potem wszy na innych zarazki przenieśli tak, że w południe cały łagier zarażony już był. Strach pomyśleć, jak dużo tych trupów było. Umierali jakby na złość władzy radzieckiej robić chcieli.
>
> A tu wybrańci sobi, mówił naczalnik, plany wykonać trzeba. A tu drzewo rzeką spławiać trzeba. A tu zaraza w obozie wielka. Więc zjechało niebawem naczalstwo z Rejkomu. (...) I martwili się oni bardzo, zasmucili się też i obiecali ludziom tym konającym, że władza radziecka ich nie zos-

* Andrzej Kalinin, „I Bóg o nas zapomniał...", Wyd. Arcana, Kraków 1994, 235 str., ISBN 83-86 225-30-0.

tawi (...). Więc niech czekają cierpliwie, bo pomoc co rychło nadejdzi. (...)

Tak i przystąpiła pośpiesznie Władza Radziecka do walki z nosacizną. Natychmiast rozdzwonili się telefony. Depesze po drutach polecieli. I już za parę godzin pomoc nadeszła. Przyjechali trzy pełne ciężarówki enkawudzistów, z bronią, z granatami i z cysterną pełną benzyny do walki z zarazą przygotowaną. Od razu do dzieła przystąpiono i rozkazy konieczne wydano. Cały obóz dokładnie otoczony został ludźmi zbrojnymi niby parkanem szczelnym. A wszystko po to, żeby nawet jedna zarazka na zewnątrz wydostać się nie mogła. Całą epidemię, co do jednego, w barakach pozamykali, zasuwy ryglując. (...)

Bardzo dobrze to było zrobione, chwalił naczalnik. Sprawnie i dokładnie, bo właśnie w żarze tym i ogniu gorącym zaraza i epidemia wypalić się miała. Pewnie, że krzyczeli, ci zarazki. Miotali się w barakach. Przez palące się okna i wrota na plac wyskakiwali. (...) Ale żadna z nich nigdzie uciec nie mogła, bo karabiny maszynowe grali, a granaty wybuchali śmierć powodując.

Podobnych ponurych obrazów — zbiorowych i indywidualnych — jest w tej książce więcej. Składają się na jeszcze jedno infernalne świadectwo wystawione „ojczyźnie proletariatu" i wywołują podobne uczucie bezradności jak wszystkie opisy skoncentrowanego zła w jakie obfituje nasz wiek. Mówiąc „bezradność" mam na myśli całe *spectrum* reakcji jakie budzi refleksja nad tym: od „wytępić te bestie!" (tak już Kurz w „Jądrze ciemności") do teoretyczno-humanistycznego czy też chrześcijańskiego „zrozumieć czyli wybaczyć". Ale tak naprawdę to co: wytępić — kogo? wybaczyć — jak?! Życie radzi sobie inaczej — wymianą pokoleń. Dla młodej generacji te sprawy to już tylko historia, a któż będzie wytaczał proces Dżyngis Chanowi czy choćby Stalinowi?

Tak więc losy Antoniego Tuchoskiego — żołnierza w 1939, deportowanego w głąb Sowietów w 1940 i dalej normalną rzeczy koleją: łagiernika, zesłańca i „zapomnianego przez Boga" (bohaterowi nie udało się dostać do armii gen. Andersa i wrócił do Polski jako repatriant dopiero w 1947) — są już tylko przypomnieniem, że tak było i że to „tak" było niesprawiedliwe i okrutne. Zasługą autora, czyli Andrzeja Kalinina, jest przekonywające oddanie sylwetki narratora jako sympatycznego „prostego człowieka" z Kresów, który w sowieckim piekle usiłuje zachować zarówno życie jak i duszę. Zapewne za to — i za dobrze utrzymaną równowagę języka: nie zanadto literackiego i nie zanadto gwarowego — książka została wyróżniona Nagrodą Literacką Czesława Miłosza.

Na zakończenie chciałbym odnotować refleksję, która często mnie nachodzi i która odnowiła się w trakcie lektury tej książki: na czym polega różnica między reakcją Niemców na nazizm, a Rosjan (czy też „ludzi radzieckich") na komunizm? Spotkałem wielu Niemców szczerze wstydzących się swej przeszłości narodowej — choć byli zbyt młodzi by ponosić za nią osobistą odpowiedzialność; nie spotkałem Rosjanina (czy też „człowieka radzieckiego") traktującego w ten sam sposób przeszłość swojej zbiorowości — zawsze tworzyli ją jacyś „oni", nigdy „my". Czy świadczy to o innym stosunku do współziomków, czy też do struktury czasu — jednolitej dla Niemców, nieciągłej dla Rosjan? Do dziś nie znalazłem jasnej odpowiedzi na to pytanie.

M. BROŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

KĘPIŃSKA-BAZYLEWICZ (Halina). *Łączniczka Kora.* Str. 158 i 2 nlb. (Burchard Edition, Warszawa 1994).

DANOWSKI (Marek). *Dzieła zebrane.* Tom I: *Wracać czy nie wracać...?* Str. 82. (Wyd. B. Kohler Verlag, Zürich, Szwajcaria 1994/95).

KRZYWICKI (Tomasz). *Szlakiem Mickiewicza. Przewodnik po Nowogródczyźnie, Wilnie i Kownie.* Str. 252 i 4 nlb. (Wydawnictwo Polskie w Wilnie 1994).

MIĘDZYRZECKI (Artur). *Rzeka czarownic.* Wiersze wybrane 1944-1994. Str. 192. (Wyd. TIKKUN, Warszawa 1994).

LIPSKI (Jan Józef). *Katolickie państwo narodu polskiego.* Str. 228 i 2 nlb. (Wyd. ANEKS, Londyn 1994).

MARGOLIS-EDELMAN (Alina). *Ala z elementarza.* Str. 138 i 4 nlb. (Wyd. ANEKS, Londyn 1994).

FRISZKE (Andrzej). *Opozycja polityczna w PRL 1945-1980.* Str. 608. (Wyd. ANEKS, Londyn 1994).

Pomoc lotnicza Wielkiej Brytanii dla Powstania Warszawskiego. Raport pułkownika H.M. Threlfalla. Opracował Jan Ciechanowski. Str. 110 i 2 nlb. (Wyd. Ambasada Wielkiej Brytanii, British Council, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Warszawa 1994).

Powstanie Warszawskie w świetle dokumentów brytyjskich i polskich. Katalog wystawy. Str. 40 i 8 nlb. (Wyd. Ambasada Wielkiej Brytanii, British Council, Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Warszawa 1994).

KÜNSTLER-LANGNER (Danuta). *Idea Vanitas — jej tradycje i toposy w poezji polskiego baroku.* Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. Uniwersytet Mikołaja Kopernika, seria Rozprawy, Toruń 1993).

KACZMAREK (Leon), SKUBALANKA (Teresa), GRABIAS (Stanisław). *Słownik gwary studenckiej.* Str. 328 i 2 nlb. (Wydawnictwo

UMCS, Lublin 1994).

Inni wśród swoich. Białorusini, Cyganie, Czesi, Grecy, Karaimi, Litwini, Łemkowie, Macedończycy, Niemcy, Ormianie, Rosjanie, Słowacy, Tatarzy, Ukraińcy, Węgrzy, Żydzi. Praca zbiorowa. Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1994).

PĘKALA-KUCHCIŃSKA (Krystyna). *Czy potęga zapowiedziana słowem traci?* Poezje. Str. 46 i 2 nlb. (Wydawnictwo Pomorskie RPK PTTK w Gdańsku, Poezje zeszyt 3, Gdańsk 1993).

Tybet — Fakty mówią za siebie. Str. 122 i 2 nlb. plus tekst listu Wei Jingsheng do Deng Xiaopinga z 5. 10. 92. (Wyd. Polskie Stowarzyszenie Przyjaciół Tybetu, Warszawa).

BOBKOWSKI (Andrzej). *Opowiadania i szkice.* Str. 192. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Interim, seria: Utwory nieznane, Warszawa 1994).

NOWAKOWSKI (Zygmunt). *Mój Kraków.* Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza Interim, seria: Utwory nieznane, Warszawa 1994).

PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA (Maria). *Listy 1940-1945.* Str. 90 i 20 nlb. (fotografie). (Wyd. Oficyna Wydawnicza Interim, Warszawa 1994).

SZLAGA (Krystyna). *Spotkanie z manichejczykiem.* Poezje. Str. 62 i 2 nlb. (Wydawnictwo PiT, Kraków 1994).

SŁAWSKA (Maria). *Jesteś moim milczeniem.* Wiersze. Str. 64. (Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1994).

OSTRYCHARZ (Mirosław). *Wymyślanie jesieni.* Wiersze. Str. 96. (Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1994).

GRZYWNA-WILECZEK (Anna). *„Jest więcej prawd w piśmie".* Mickiewiczowskie „Zdania i uwagi" w kontekście Biblii. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Katedra Literatury Oświecenia i Romantyzmu, Lublin 1994).

Zagadnienie godności człowieka. Redakcja Jan Czerkawski. Str. 166 i 2 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Wydział Filozofii, Lublin 1994).

Pierwsze tysiąclecie chrześcijaństwa (988-1988) na ziemiach wschodniej Słowiańszczyzny od Rusi Kijowskiej do Rosji, Ukrainy i Białorusi. Kronika ważniejszych wydarzeń dziejowych — opracował Ryszard Łużny. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. Katolicki Uniwersytet Lubelski, Wydział Nauk Humanistycznych, Lublin 1994).

BIELECKI (Robert). *Długa 7 w Powstaniu Warszawskim.* Str. 120 i 44 nlb. — dokumenty i fotografie. (Wyd. Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Archiwum Główne Akt Dawnych, Warszawa 1994).

PIESZCZACHOWICZ (Jan). *Koniec wieku.* Szkice o literaturze. Str. 272. (Wyd. Książka i Wiedza, Warszawa 1994).

ELSTER (Jon). *Tworzenie konstytucji w Europie Środkowej czyli przebudowa łodzi na pełnym morzu.* Tłumaczenie Katarzyna Michałowska. Str. 80 i 2 nlb. (Wyd. Biblioteka Komitetu Helsińskiego w Polsce, Agencja EXIT, Warszawa 1994).

Uczelnia mędrców Lublina. Wydano z okazji Seminar on Contemporary Issues on Jewish Law and Ethics, Lublin, 20-22 sierpnia 1994. (Wyd. UMCS, Lublin 1994).

FRAJLICH (Anna). *Jeszcze w drodze.* Wybór wierszy. Str. 76 i 4 nlb. (Wyd. NOWA, Warszawa 1994).

Polonica zagraniczne. Bibliografia 1985. Praca zbiorowa. Str. 264. (Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1994).

GRUSZCZYŃSKI (Lesław). *Z problematyki politycznej w kazaniach katolickich okresu stanisławowskiego.* Odbitka z *Acta Universitatis Lodziensis*, Folia Historica 49, 1993, str. 13-34.

Notatki Redaktora

Incydent na Dworcu Wschodnim, który wywołał taką burzę, wynikł z naszej winy, a mianowicie ze złego — łagodnie powiedziawszy — funkcjonowania naszej policji i służb bezpieczeństwa. Nie jest to przecież pierwszy wypadek obrabowywania podróżnych rosyjskich. Wystarczyłoby wzmocnienie policji na dworcu, działające telefony, a przede wszystkim oduczenie policji brutalności i arogancji. Ponieważ takie rabunki są głównie spowodowane przez coraz bardziej panoszącą się mafię rosyjską — w pociągach idących na Wschód musi być wystarczająca obstawa. Dlaczegóż by nie wojskowa? Obstawa wojskowa byłaby skuteczniejsza, a przede wszystkim przeciętłaby plotki — o czym zaczyna się mówić — na temat korupcji i powiązań części policjantów z mafią rosyjską. Niestety uzdrowienie tej sytuacji jest — jak dotąd — niemożliwe ze względu na politykę premiera, który wszelkimi siłami i sposobami chce obsadzić wszytkie stanowiska *swoimi* ludźmi.

Jest również sprawą bardzo pilną rozbudowanie i uporządkowanie punktów granicznych, specjalnie ze wschodnimi sąsiadami. Wielogodzinne, jeśli nie parodniowe przestoje, panoszące się łapownictwo, źle funkcjonujące cło także i tu wymagają pomocy wojska. Ma się rozumieć, trzeba by w sposób jak najbardziej kategoryczny wymagać takich samych reform i po drugiej stronie granicy.

●

Przez Polskę przepływają tysiące, jeśli nie setki tysięcy handlarzy i poszukujących pracy. Nie jest to zjawisko całkowicie negatywne: bazary są namiastką stosunków handlowych i powoli normalnieją (przypomnijmy sobie mrowie polskich handlarzy zalewających Niemcy czy Francję). Robotnik rosyjski czy ukraiński jest dobrym i tanim pracownikiem. W znakomitej większości stosunki z nimi układają się dobrze a nawet przyjaźnie. Tu także należałoby prowadzić energiczną walkę z mafią, która eksploatuje i terroryzuje „bazarowiczów", stworzyć określone miejsca na takie bazary zapewniając tam przynajmniej minimum higieny i tanie noclegi. Pozwoliłoby to na oczyszczenie dworców, które wyglądają w Polsce wprost kompromitująco. Te sprawy powinny być głównym zadaniem i troską ministra Spraw Wewnętrznych, a nie — pożal się Boże — wielka polityka. I jeszcze jedna uwaga: już poprzednio pisałem, że nie kwestionuję talentów p. Zacharskiego. Tacy ludzie jak on mogą być państwu potrzebni, ale powinni być w cieniu, a nie wysuwani na oficjalne stanowiska. Bardzo byłem zaskoczony czytając, że minister Milczanowski podał do publicznej wiadomości, że p. Zacharski był w jego świcie podczas jego ostatniej podróży do Moskwy, i że oddał on nawet duże usługi. Komentarz zbyteczny. Jednym słowem, jak to świetnie scharakteryzował Jerzy Pomianowski, zamiast polityki wschodniej mamy Dworzec Wschodni.

●

Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim zrezygnowano z nauki języka rosyjskiego. Jest to zaskakująca decyzja w mieście o tak wielkich tradycjach wschodnich, w którym inicjatorem współpracy z naszymi sąsiadami jest prof. Jerzy Kłoczowski. Czyż trzeba przypominać, że język rosyjski jest faktycznie *lingua franca* w całej Europie Wschodniej i Azji. Jest jakaś niezrozumiała dla mnie konsekwencja w eliminowaniu ze szkół języków nam potrzebnych. Tak w swoim czasie na Śląsku Opolskim zabroniono nauki języka niemieckiego. Dziś nie ma tam nikogo kto mógłby się zajmować działalnością mniejszości niemieckiej z bardzo prozaicznego powodu — nieznajomości języka niemieckiego.

●

Niedawno alarmowałem o niszczeniu Puszczy Białowieskiej. Ostatnio minister Ochrony Środowiska, Stanisław Żelichowski, oświadczył, że w chwili obecnej jest niemożliwe by cała puszcza (60 tysięcy hektarów) stała się parkiem narodowym. Obecnie obejmuje on jedynie 5 tys. ha. Tymczasem podzielono puszczę na trzy strefy, tylko w jednej nie będzie się *prawie* prowadziło wyrębów, natomiast w pozostałych dwóch strefach wyręby mogą dochodzić do 80% drzew. Przewiduje się również zredukowanie stada żubrów, które jakoby niszczą las. Głupota czy ignorancja? Jedno i drugie.

●

Kolejna gafa prezydenta Wałęsy. Zaprosił on na styczniowe obchody wyzwolenia Oświęcimia przywódcę Palestyńczyków, Jasera Arafata uzasadniając, że zaprasza jednocześnie wszystkich laureatów Pokojowej Nagrody Nobla. Trudno o większy policzek dla społeczeństwa żydowskiego.

●

Coraz więcej zastrzeżeń wzbudza działalność bp. polowego Głódzia. Przede wszystkim nie wiadomo komu podlega. Ostatnio odmówił on stawienia się przed komisją sejmową, która rozpatrywała sprawę tzw. „buntu generałów" w Drawsku, w którym biskup brał czynny udział (z jakiego tytułu?!). Już jest najwyższy czas by został odwołany i by jego następcą został ktoś, dla którego działalności będzie wzorem nieodżałowanej pamięci biskup Gawlina, który bardzo przestrzegał zakresu działań duszpasterskich w wojsku i przejawiał wielkie zrozumienie dla spraw prawosławia i mniejszości narodowych.

●

Rosnący rozkład nie tylko naszej polityki zagranicznej ale samej struktury państwa. Prawdziwy szał w rozjazdach za granicę: prezydent Wałęsa odbył w tym roku 14 podróży, premier podróżował 11 razy, marszałek sejmu — 10, a marszałek senatu — 7. Większość tych wyjazdów była nieprzygotowana, niezharmonizowana z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Również nie brakuje częstych rozjazdów członków rządu — czasami do krajów bardzo egzotycznych, które tłumaczyć można tylko chęcią uprawiania turystyki, z wyjątkiem może nielicznych resortów gospodarczych. Dotyczy to również izb ustawodawczych. W czasie obecnej kadencji odnotowano 836 wyjazdów w tym 157 delegacji parlamentar-

nych, 415 wyjazdów indywidualnych na koszt kancelarii. Równie często wojażują przedstawiciele opozycji prowadzący rozmowy i rokowania polityczne. Jest to przyjęte na całym świecie, lecz również przyjęte jest, że te wyjazdy są harmonizowane z polityką rządową. Trzeba jeszcze dodać niepokojący brak nie tylko kultury politycznej ale i osobistej. Nie kwestionuję osobistej uczciwości premiera Pawlaka i jego bezinteresowności, ale szkoda że nikt z najbliższego otoczenia nie zwrócił mu uwagi, że nie należy korzystać z uprzejmości koncernów zagranicznych zabiegających o takie czy inne koncesje w Polsce. To po prostu jest sprawa dobrego wychowania.

●

Uderzający jest negatywny stosunek do emigracji: całkowite jej lekceważenie i traktowanie w sposób czysto użytkowy. Zresztą przy kompletnej nieznajomości realiów. Tak np. wizyty prezydenta i premiera na zaproszenie Kongresu Polonii Amerykańskiej były próbą wykorzystania KPA dla rozgrywek wewnętrznych, przeceniając przy tym jego rolę i znaczenie, natomiast na zapytanie, co Polska może zrobić dla Polonii Amerykańskiej, prezydent zaproponował kupienie przez Polonię kilkuset dworków i pałaców celem ich odrestaurowania! Jednocześnie obowiązuje przepis, że tylko ludzie mieszkający w Polsce ponad 5 lat posiadają bierne prawo wyborcze, naturalnie jeżeli posiadają również obywatelstwo polskie. Zapomina się, że prezydent Narutowicz jak i prezydent Mościcki byli obywatelami szwajcarskimi i niewątpliwie oddali Polsce bardzo wielkie usługi zarówno w dziedzinie gospodarczej jak i politycznej.

●

W Polsce coraz bardziej wszystkie sprawy rozpatruje się pod kątem widzenia personaliów. Jeśli dyskutuje się o kompetencjach prezydenta, to myśli się wyłącznie pod kątem widzenia Wałęsy. Sprawa wzmocnienia autorytetu i kompetencji Najwyższej Izby Kontroli zależy od stosunku do p. Kaczyńskiego, a więc podejście czysto personalne bez myślenia o funkcjonowaniu ustroju. Tak samo próby działania ministra Cimoszewicza (przy wszystkich popełnionych i to dużych błędach) w zakresie uzdrowienia stosunków pieniężno-politycznych są pożyteczne. Zostało to jednak przyjęte jako rozgrywki personalno-partyjne. Powtarza się historia z lustracją.

REDAKTOR

Polemiki

Problem mniejszości niemieckiej

(REPLIKA)

W siódmym numerze *Kultury* Leszek Szaruga polemizuje z moim artykułem pt. „Opolszczyzna" (*Kultura* 4/94). Oprócz poruszonych dwóch wątków: obiektywnej teorii narodowości (kim się czuję tym jestem) i kwestii śląskości, Autor podważa zasadniczą myśl, *że Ślązacy są naturalnym pomostem między Polakami a Niemcami.* Z tym zgodzić się nie mogę. Kwestia wymaga jednak szerszego omówienia.

Leszka Szarugę znam z licznych publikacji książkowych, licznych artykułów w *Kulturze* i referatu wygłoszonego na lubelskich „Spotkaniach z *Kulturą*" w maju br. Właśnie tu dał się poznać lubelskim uczestnikom sesji, jako Ten, który swoimi wypowiedziami potrafi wyciszyć salę i zmusić dyskutantów do dyscypliny intelektualnej. Sprawa śląska jest jednak bardzo specyficzna. Myślę, że człowiek pogranicza polsko-niemieckiego, jakim jest niewątpliwie Leszek Szaruga, nie będzie miał nic przeciwko temu jeżeli replikę potraktuję w sposób wyjaśniający.

1. Kilka słów wstępu. Szaruga występując jako obrońca zasadniczych praw demokratycznych ogranicza się do warunków idealnych. Sygnalizuje wprawdzie możliwość działań politycznych na Śląsku, ale nie bierze ich pod uwagę.

Gdyby na Śląsku tak było naprawdę jak pisze Szaruga, nikomu nie przyszłoby do głowy robienie problemu z podwójnego obywatelstwa czy istnienia mniejszości niemieckiej.

Zasadniczym błędem, jaki się popełnia w związku ze sprawą mniejszości niemieckiej w Polsce, jest n i e o d d z i e l a n i e dwóch zupełnie innych spraw: ś l ą s k i e j i n i e m i e c k i e j. Nie wolno

ich łączyć ponieważ traci się ostrość widzenia, gubi właściwe proporcje i sens całej sprawy. Śląsk ma podwójne dno. Niedostrzeganie tego faktu stawia dyskutantów na zupełnie abstrakcyjnej płaszczyźnie. W tym kontekście dyskusja o demokracji nie ma sensu.

Śląsk jest pograniczem nie rzeczywistym lecz socjohistorycznym i jeżeli występują w nim zjawiska typowe dla bezpośredniego pogranicza, to oznacza, że dzieje się tam coś złego. Żadnego bowiem problemu nie można rozpatrywać bez kontekstu historycznego — na Śląsku szczególnie. Problematyka śląska jest dziś do tego stopnia zagmatwana, że cokolwiek by o niej nie napisać — ktoś musi się obrazić. W tym tkwi część tajemnicy zmowy milczenia. Doszukując się głębszej przyczyny tego zjawiska nie możemy pominąć peerelowskich nawyków i ... w pewnym sensie korupcji. Istota tkwi w demokratycznym usposobieniu Polaków (i nie jest to śmieszne). Co więcej, wiążąca się z tym naiwność pozwala wierzyć, że cudza demokracja wprowadzi nam porządek odpowiadający polskiej specyfice i oczekiwaniom. A to jest nieporozumienie.

W artykule polemicznym pojawił się wniosek, że swoją propozycją rozwiązania problemów śląskich chcę zablokować wpływy niemieckie w tej części kraju... Wypada mi zapytać co to znaczy „wpływy niemieckie?" Owe wpływy należy wyraźnie podzielić na: postnazistowskie, związane z BdV czyli ziomkowskie oraz najsłabsze — demokratyczne. Postnazistowskimi powinno się zająć polskie MSW, polityką ziomkostw — rządy niemiecki i polski po to, by przetrzeć drogę tym ostatnim wpływom — demokratycznym. Działań takich wymaga wzajemny szacunek, jako warunek funkcjonowania demokracji. Ba, tego wymaga status końca XX wieku.

2. Szaruga pisze: „Stałą tendencją publicystyki polskiej w tej kwestii (mniejszości niemieckiej — R.S.) są próby podważenia zasadności zgłaszanej przez część ludności śląskiej opcji niemieckiej". Stałą tendencją publicystyki polskiej w kwestii śląskiej jest przede wszystkim powierzchowność w traktowaniu tego problemu. Mimo tak znacznej ilości wychodzących w kraju tytułów prasowych, społeczeństwo nie wie co dzieje się naprawdę na Śląsku Opolskim. W Polsce centralnej spotkać się można na przykład z przekonaniem, że w Opolu „mówią po niemiecku". Źle świadczy to o mediach. Blokując naturalny przepływ informacji, blokuje się jednocześnie proces rozwoju stosunków międzyludzkich, w przypadku Śląska, również międzynarodowych.

Prób podważania zasadności zgłaszanej opcji niemieckiej przez część ludności śląskiej nie było przed II wojną. Dziś ma to swoje uzasadnienie w historii (o tym później), i w aktualnej

statystyce, którą przytoczyłem w tekście „Opolszczyzny" (s. 5). Pisałem, że według badań socjologicznych (1990 r.) 65 % badanych opowiedziało się jako Ślązacy, 3,5 % jako Polacy, 7 % skłaniało się ku polskości, 25 % ku niemieckości, z tego 10 % (czyli 2,5 % — R.S.) jako Niemcy. Członkowie przedwojennego Związku Polaków w Niemczech, którzy najlepiej się orientują w opcjach narodowościowych na Śląsku ostro protestują przeciwko nazywaniu Ślązaków Niemcami, ale ich protest jest niesłyszalny. Mogę dodać, że wielokrotnie obserwowałem z jakim bólem przyjmowany był przez Ślązaka epitet „ty Szwabie". Dziś to może się wydać dziwne, ale tak było. W swojej pracy reporterskiej również wielokrotnie spotykałem się z ostrym protestem, wręcz krzykiem, Ślązaków reprezentujących opcję polską. Nie mogli się pogodzić z biernością polskiej władzy. Jako ludzie pogranicza muszą mieć w kimś oparcie, jeżeli nie mają, unikają konfrontacji ponieważ wiedzą, że na końcu tej drogi zostaną ofiarami.

Gdy wejdziemy głębiej w statystykę okaże się, że 10 % z natury osiadłej ludności śląskiej uznało, że nie posiada ziemi rodzinnej, a 18 % że „trudno powiedzieć". Łącznie 28 %. Czy kwestią przypadku jest, że pozostałe 2/3 ludności rodzimej należy do mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim?

Na kolejne pytanie: gdzie chciałbyś mieszkać po ukończeniu szkoły, 10 % odpowiedziało, że nie ma takiego miejsca, następne 10 % nie udzieliło żadnej odpowiedzi. W sumie daje to 20 %... 84 % tej ludności posiada wykształcenie podstawowe i zawodowe. Tu widać dramat. Gdy takim ludziom zawiesza się symbole nazistowskie na pomnikach i wmawia, że są Niemcami podstawiając jednocześnie marki, to czy nie powinien się tym zająć Komitet Helsiński — jeżeli władze polskie nie chcą? Przy argumentach pozornej demokracji wyrządza się tym ludziom dużą krzywdę. Polak, choćby syn marnotrawny, zawsze może wrócić do ojczyzny i zostanie przyjęty. Ślązak, dzięki liderom ziomkostw i mniejszości niemieckiej w Polsce, jest już skompromitowany... I oto chodzi, by wytworzyć taką sytuację, z której będzie daleko zarówno do Polski jak i do Niemiec. Śląski syn marnotrawny nie ma dokąd wrócić. Wpędzony jest już w matnię. Czy jest prawo, które sankcjonowałoby taki przypadek?

Zanim zorganizowała się mniejszość niemiecka w Polsce, przez 50 lat wcześniej pracowały nad nią ziomkostwa z pełną kiesą marek. Zanim powstały pierwsze koła DFK, po Śląsku buszował Peter Opszondek i Hartmuth Koschyk.

Szaruga pisze: „Na Śląsku organizują się w grupy nacisku i interesów ci, którzy określają się jako Niemcy, nie czynią tego Ślązacy". Takie postawienie sprawy nie jest właściwe. Na wsi opolskiej panuje bardzo silna presja w kierunku mniejszości nie-

mieckiej, a oferta ze strony ambasady niemieckiej jest tak kusząca, że tych którzy nie ulegli, należałoby uznać za bohaterów, albo szaleńców. Ze strony polskich władz regionalnych Opolszczyzny nie wyszedł żaden konkretny impuls. Jest to stan nienormalny. A przecież istnieją tam znakomite rody Adamców, Bożków, Buhlów, Jacków, Ligudów, Marków, Mehlów, Musiołów, Nabzdyków, Pawletów, Planetorzów i wiele innych tradycyjnie polskich rodzin, do których Ślązacy ze Śląska pruskiego przed wojną i w czasie II wojny chodzili po poradę i pomoc. Bez udziału tych rodzin, członków Związku Polaków w Niemczech nie uchwalono by Pięciu Prawd Polaków. Warto je przypomnieć: 1. Prawda pierwsza — Jesteśmy Polakami; 2. Prawda druga — Wiara ojców naszych jest wiarą naszych dzieci; 3. Prawda trzecia — Polak Polakowi bratem; 4. Prawda czwarta — Co dzień Polak narodowi służy; 5. Prawda piąta — Polska Matką naszą, nie wolno o matce mówić źle. Uchwalono je na pierwszym i ostatnim zjeździe w 1938 r.(!) Gdzie? W Berlinie...

Tradycja ta ginie w cieniu mniejszości niemieckiej — tworu zupełnie sztucznego, obliczonego na obce zyski polityczne. Członkowie mniejszości niemieckiej są manipulowani, a większość z nich nie zdaje sobie z tego sprawy. Najcięższe oskarżenia pod adresem liderów mniejszości niemieckiej słyszałem z ust samych Ślązaków. O jakiej demokracji tu mowa? Na przymkniętych oczach polskich ginie rzeczywisty pomost porozumienia polsko-niemieckiego i wartość, którą w sposób naturalny wytworzyło pogranicze — jedno z najbardziej gorących w Europie. Tak samo zresztą, jak inna, podobna wartość którą wytworzyli przed II wojną ekspatrianci ze wschodu. (Wiedza ta pozwoliłaby nawiązać lepsze stosunki i kontakty z Ukrainą, Białorusią i Litwą). Czy nie jest to zubożenie naszej kultury?

3. Nie rozumiem i nie podzielam obaw Leszka Szarugi, że wzmocnienie śląskości jest niekorzystne dla Polski — to zresztą doskonały argument popychający wahających się Ślązaków ku niemieckości. Ślązacy wykazali wystarczający patriotyzm i wkład podczas II wojny światowej w odbudowę Polski o jaką walczyli. Nie możemy ich traktować tak, jak traktuje nas Europa. Polacy nie powinni mieć problemu ze zrozumieniem specyfiki śląskiej, ponieważ sami przez 200 lat przebijali się do świadomości międzynarodowej. Nas też instrumentalizowano. Dziś niewiele się zmieniło. Polskość i śląskość są sobie bliskie.

W tym kontekście wyrażony zachwyt, że „gwara śląska jest jednym z najbardziej interesujących zjawisk językowych" zamyka problem w kategoriach językowych, a to jest nieporozumienie. Tym językiem wyraża się śląskość. Ma ona inny kod historyczny. Wszystko co w innych kulturach spisano na papierze tam

ukryte jest między słowami i trzeba to wydobyć.

Jakim fałszem jest głoszenie, że językiem ojczystym Ślązaka jest język niemiecki, albo, że to, co reprezentuje mniejszość niemiecka jest jakimś ubogaceniem. Mniejszość niemiecka nie może być przez Niemców uznana za reprezentanta kultury niemieckiej, a prezentować śląskiej nie chce. Przedstawicielki chóru mniejszości z Głogówka z wielkim zdziwieniem przyjęły wiadomość, że nie znaleziono ani jednej pieśni śląskiej w języku niemieckim; nie ma też gwary śląskiej w języku niemieckim (co tak podkreśla prof. F.A. Marek z Uniwersytetu Opolskiego). Jakież to ubogacenie?

Problem mniejszości niemieckiej na Śląsku Opolskim jest problemem zastępczym w konflikcie polsko-śląskim, z którego zyski czerpie ziomkostwo w Niemczech. Co więcej, istnieje możliwość stworzenia tam takiej samej karykatury z praw człowieka, jaką przed wojną Niemcy zrobiły z praw dla mniejszości narodowych przyznanych w Traktacie Wersalskim.

4. Komentarz do napisanego przeze mnie zdania, że na Śląsku „pojawiło się dziesiątki tysięcy politycznych Niemców" Szaruga daje następujący: „Samo wyodrębnienie kategorii politycznego Niemca ma tu być podstawą do kwestionowania jego etniczności". Sformułowanie właśnie takie zapewne jest niezamierzone, ponieważ bardzo trudno kulturę śląską związać z przynależnością do kultury germańskiej. Dalsza część akapitu jest wyłącznie teoretyczna: „I choć osobiście uważam, że kryteria etniczne należą do najbardziej zwodniczych, to muszę stanowczo stanąć wobec zasady powiadającej, że określenie narodowości jest sprawą osobistą. Kwestionowanie jej jest niebezpieczne i stanowić może podstawę (...) politycznych manipulacji. Należy pamiętać o tych wszystkich doświadczeniach, w wyniku których raz wygodne było pozbawienie kogoś jego tożsamości, innym razem narzucenie mu tożsamości obcej". Obawy kierowane są do wątpliwej demokracji polskiej. Trudno jednak uznać je za uzasadnione z dwóch powodów: 1) czas się zmienił a biorąc pod uwagę interesy państwa, dziś możemy mówić o nadmiernej demokracji; 2) doskonała demokracja niemiecka nie znalazła miejsca dla mniejszości narodowych (z wyjątkiem duńsko-fryzyjskiej, ograniczonej do Landtagu — 60 tys. osób). W RFN żyje ich 10% — około 9 mln, czyli 10 województw opolskich.

W momencie, gdy na grunt demokratyczny wkracza polityka, a dzieje się to w państwie stabilizującym się, wszystkie dotychczasowe układy zaczynają się chwiać. Teoretyczna dlatego, że na Śląsku należy mówić właśnie o narzuceniu tożsamości niemieckiej, z tym, że odbywa się to za pomocą transakcji nieświadomej — w stosunkach społecznych niedopuszczalnej. Skąd więc te obawy?

5. Kwestia podwójnego obywatelstwa w krajach na wschód od Odry, gdzie panują inne warunki polityczne niż na Zachodzie, ma dwa kierunki: 1) ze wschodu na zachód o podłożu ekonomicznym, ten nie wymaga komentarza; 2) z zachodu na wschód o argumentacji politycznej. Opiera się ona między innymi na artykule 116 Konstytucji RFN, za pomocą którego stwarza się fakty dokonane na terenie Polski — niekorzystne dla Polski. (Trudno zrozumieć twierdzenie niektórych prawników polskich, że art. 116 nie powinien Polaków obchodzić ponieważ dotyczy on państwa niemieckiego). Istnienie art. 116 podważa wiarygodność Niemiec w stosunku do Polski, ponieważ otwiera cały rozdział filozofii mniejszości niemieckiej, tak dokładnie sprecyzowanej przed i w trakcie II wojny światowej. Gdy weźmiemy pod uwagę żądania ziomkostw sudeckich (poparte przez rząd bawarski), wysuwane w stosunku do rządu czeskiego, by ten zniósł ustawę wysiedleńczą z 1945 r., to obawy są zupełnie uzasadnione.

Polityka mniejszościowa została skompromitowana przed i po II wojnie. Po jej zakończeniu pokój w Europie został urządzony w oparciu o wysiedlenie. Taka była konsekwencja braku szacunku dla innych kultur i narodowości oraz odpowiedź międzynarodowa na niemiecką postawę w tamtym czasie wobec świata. Budowanie następnego „ładu pokojowego" jest wątpliwą przysługą, wystarczy zachować ten układ, który jest, przynajmniej z dwóch powodów: 1) zerwanie układu jałtańsko-poczdamskiego jest katastrofą dla całej Europy i prawdopodobnie świata (patrz Jugosławia); 2) po to, by kolejnego układu nie budować na zasadach ściśle narodowych, bo mniejszości nie traktowane politycznie są gwarantem łączności kulturowej (jeżeli oczywiście będzie komu budować).

Współczesne narody wracają do swych gniazd i jest to prawdopodobnie ogólnoświatowa tendencja (Niemcy są tego przykładem). Wychodzenie z kolejną *Volkspolitik* jest następnym wystąpieniem przeciwko światu. Wśród tych narodów, które mają dokąd wrócić jest szansa zachowania pokoju, pozostałe stanowią lokalne zagrożenia, nad którymi trzeba pracować — pod warunkiem, że uwzględni się ich interes narodowy. Prawo do w pełni niezależnego państwa i własnej kultury powinno być kardynalnym prawem naszej cywilizacji, opartej o doświadczenia ostatnich dwóch wieków.

6. Pod pojęciem „politycznego Niemca" kryje się cała filozofia mniejszości niemieckiej. O jej początkach pisze A. Powęska-Wolff w *Studiach Opolskich* (t. XXVIII). Zaczęło się jeszcze w XIX w., kiedy to geograf nazwiskiem F. Ratzel w stworzonej przez siebie nauce — *Kulturgeographie* rozpatrywał

przeobrażenia krajobrazu naturalnego pod kątem: rasy, religii, narodowości i krwi. W okresie Republiki Weimarskiej teorię obszaru kulturowego (*Kulturboden*) a potem narodowego (*Volksboden*) rozbudował inny niemiecki geograf A. Penck. Głosił, że niemiecka ziemia kulturowa sięga dotąd, dokąd sięgają wpływy kultury niemieckiej. Dopatrywano się ich w obrazie kulturowym niektórych państw Ameryki Południowej, Australii i Afryki. W okresie hitlerowskim naukowcy niemieccy stwierdzili, że „nie doceniono wagi problemu". Tuż przed wojną, że „walka o ostateczną jedność i życiowy porządek narodu niemieckiego jest jednocześnie walką o nowy porządek i historyczną postać Europy".

W tym kierunku pracowało kilkanaście instytutów. Pierwszy powstał w XIX w. (1881 r.) i nosił nazwę „*Verein für das Deutschtum im Ausland*".

O podstawach i celach niemieckiej polityki mniejszościowej w okresie międzywojennym pisał A. Moykowski w *Strażnicy Zachodniej* (4/1928, 1-6/1929) i M. Zawidzki (7-12/1924). Przytaczane są tam następujące nazwiska: von Hintze, M.H. Boehm, P. Schlieman, Rausching i inni. W latach pięćdziesiątych prof. S. Kolbuszewski istniejących *ostinstitutów* w Niemczech naliczył około 50. Prof. M. Cygański w „Polityce Republiki Federalnej Niemiec wobec polskiej ludności rodzimej na Śląsku w latach 1948-1990/91" pisze: „Zachodnioniemiecki Ostforschung legitymował się takimi nazwiskami jak: prof. W. Kuhn, prof. E. Lemberg, prof. W. Schlesinger, H.J. Koerber, M. Boehm, E. Sontag". Na ten temat pisała *Kultura* już w 1954 r. (nr 6/54). Przedmiotem intensywnych badań niemieckich nie jest tylko Polska lecz cały wschód, aż po Koreę.

Wobec nagromadzenia tak potężnego ładunku intelektualnego należałoby się spodziewać jakiegoś szerokiego otwarcia Niemców na wschód, a szczególnie na kulturę słowiańską. Byłoby to wielce chwalebne, a tu nic podobnego nie zaistniało. Nie widać poważniejszego zaczynu na poziomie kultury rozumianej nie jako *Kulturboden* lecz płaszczyzna do wymiany. Czyżby cała praca została wykonana za zamkniętymi drzwiami?

Nie ma też wyraźnego lobby polskiego. Pojednanie niemiecko-francuskie przebiegało zupełnie inaczej. Polak w niemieckich ankietach plasuje się na ostatnich miejscach pod względem sympatii. W szkołach niewiele się zmieniło. Dziś w okresie transformacji weryfikują się stereotypy, ale w Grudziądzu na wystawie zatytułowanej „Artyści *Gütersloh*", która odbyła się w dniach od 16.04-12.06.1994 r. kolportowano książkę pt. „Niemcy w świetle faktów i liczb". Zamieszczono w niej mapkę Niemiec w granicach z 1937 r. Na terenach zaboru pruskiego i Śląska widnieje napis: „pod polską administracją".

W Polsce słyszy się o pojednaniu polsko-niemieckim, ale nie

czuje się potrzeby wyjaśnienia podstawowych pojęć. Gdy mówimy „Europa" każda ze stron ma co innego na myśli. W oparciu o jaką filozofię, w oparciu o jakie fakty, o jakie wartości mamy się jednać? Pojednanie jest zbyt poważnym przedsięwzięciem, by opierać je tylko na marce i jednostronnym przymykaniu oczu. Pojednanie powinno być instytucją, ponieważ jest to prawdopodobnie nasza obopólnie ostatnia szansa.

Los Europy, jako całości zależy od gatunku nowego prądu myślowego, od sposobu pojednania się z krajami Europy Środkowo-Wschodniej leżącej na linii zachód-wschód oraz od zgody społeczeństw zachodnich na obniżenie u nich dotychczasowego standardu życia. Jest to rola nie do pozazdroszczenia, ale od dojrzałości dzisiejszych Niemiec zależy sukces całego przedsięwzięcia.

Jedno zdanie w tekście Leszka Szarugi jest bardzo ważne, że „W Niemczech sprawa mniejszości niemieckiej w Polsce jest problemem politycznym, w Polsce co najwyżej publicystycznym". I to wyznacza dzisiejszy parytet stosunków polsko-niemieckich.

W interesie Polski to musi być zmienione.

Ryszard SURMACZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

24.10.94
Zmarł w kraju w wieku 83 lat Józef Morton, prozaik.

28.10.94
Ogólnopolski Klub Miłośników Litwy oraz Towarzystwo Polska-Ukraina istniejące przy Uniwersytecie Warszawskim zainaugurowały roczny cykl wykładów o Europie Środkowo-Wschodniej referatem prof. Janusza Tazbira pt. „Tolerancja religijna i etniczna w dawnej Rzeczypospolitej".

7.11.94
W Lublinie staraniem Fundacji „Muzyka Kresów" odbyła się IV Międzynarodowa Sesja „Duchowość narodów Europy Środkowo-Wschodniej — kult zmarłych". W sesji wzięli udział etnografowie, etnolodzy i antropolodzy kultury z Polski, Białorusi, Litwy, Łotwy, Słowacji, Rosji i Ukrainy.

9.11.94
Tegoroczne nagrody literackie Stowarzyszenia Autorów ZAiKS za tłumaczenia z literatury pięknej otrzymali: Andriej Bazylewskij — za przekłady na język rosyjski i Vera Verdiani za przekłady na włoski. Nagrodzono również tłumaczy literatur obcych na polski: węgierskiej — Alicję Mazurkiewicz i czeskiej — Emilię Witwicką. Nagrody wynoszą 20 mln każda. ■ Sześcioosobowa komisja Fundacji Kultury pod przewodnictwem Stefana Starczewskiego wśród 51 maszynopisów nadesłanych przez wydawców do fundacji wybrała tom esejów Andrzeja Turczyńskiego „Rzeka popiołów" oraz Andrzeja Stasiuka „Biały kruk". Nagroda Fundacji Kultury wynosi dla autora 30 mln złotych a dla wydawcy pomoc w wydaniu książki. Ponadto przyznano 10 wyróżnień. Dla autorów stanowi to gwarancję, że fundacja weźmie na siebie część kosztów wydania ich książek. Wyróżniono następujące utwory: Mieczysławy Buczkówny „Nowe wiersze", Bronisława Maja tom poezji „Światło", Marcina Świetlickiego „Schizma", eseje Ryszarda Matuszewskiego „Od Leśmiana do Barańczaka", Michała Głowińskiego „Pismak i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach", Bronisława Wildsteina „O zdradzie i śmierci", powieść Czesława Dziekanowskiego „Projektantka intymności", Zbigniewa Jakubika „Mój wstrętny brzuch", Roberta Gawłowskiego „Podróż chroniczna". ■ Tegoroczną nagrodę im. Jana Cybisa otrzymał Jan Dobkowski, niegdyś uczeń Cybisa. ■ Kapituła nagrody im. Stefana Kisielewskiego przyznała nagrodę w kategorii polityków Leszkowi Balcerowiczowi, wydawców — Mieczysławowi Prószyńskiemu, publicystów — Jackowi Fedorowiczowi.

10.11.94
Zmarła w Łodzi w wieku 73 lat Ija Lazari-Pawłowska, wieloletni kierownik Katedry Etyki Uniwersytetu Łódzkiego, autorka wielu prac naukowych z zakresu etyki. Była wielkim autorytetem moralnym, przyjaciółką *Kultury*. ■ We Wrocławskim Muzeum Historycznym została otwarta wystawa poświęcona życiu i dorobkowi naukowemu prof. Rudolfa Weigla, wynalazcy szczepionki przeciwko tyfusowi plamistemu.

5. 12. 94
W Pałacu Rzeczypospolitej w Warszawie staraniem Biblioteki Narodowej została otwarta wystawa „Biblioteka Wielkiej Emigracji — tradycja i współczesność Biblioteki Polskiej w Paryżu". Jednocześnie, w tym samym dniu, nastąpiło otwarcie wystawy poświęconej księgarni paryskiej „Libella".

ZACHÓD — EMIGRACJA

22. 09. 94
W Zürichu zainaugurowano „miesiąc" ukraiński otwarciem w Ratuszu wystawy fotografii Wiktora Maruszczenki „Okno na Ukrainę". W uroczystości wziął udział ambasador Ukrainy w Szwajcarii Aleksander S. Slipczenko. 22 września odbył się odczyt dr. Anny-Halja Horbacz „Czarnobyl we współczesnej literaturze ukraińskiej", natomiast prof. Bohdan Osadczuk mówił o współczesnej Ukrainie. Oba odczyty zorganizowało Towarzystwo Szwajcarsko-Ukraińskie. Dalszą część „miesiąca" ukraińskiego wypełnią filmy, koncerty, Teatr Kukiełkowy i spotkanie literackie.

2. 10. 94
Bogusław Borowicz, artysta-fotograf, obywatel Republiki Chile, został odznaczony Oficerskim Orderem Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

8. 10. 94
Na Uniwersytecie Harvardzkim w Cambridge Massachusetts odbyła się trzydniowa międzynarodowa konferencja z okazji 10 rocznicy powstania i działalności Amerykańskiego Stowarzyszenia na Rzecz Studiów Polsko-Żydowskich. W konferencji wzięli udział m.in. Jan Błoński, Zbigniew Brzeziński, Jan Karski, Antony Polonsky, Jadwiga Maurer.

1. 11. 94
Tegoroczne nagrody Fundacji Kościelskich otrzymali: Tadeusz Słobodzianek za całokształt twórczości teatralnej, Maciej Niemiec za tom poezji „Kwiaty akacji", Marek Wojdyło za tom poezji „Kraina lenistwa". ■ Maria Teresa Kuczyńska malarka i rzeźbiarka zamieszkała w Australii odebrała w Berlinie nagrodę im. Daniela Chodowieckiego ufundowaną przez Güntera Grassa. Nagroda wynosi 10.000 marek.

13. 11. 94.
Zmarł we Francji Juliusz Hibner, były członek Brygad Międzynarodowych w Hiszpanii. Pogrzeb odbył się w Warszawie.

16. 11. 94
W Bibliotece Polskiej w Paryżu zostało otwarte Muzeum Bolesława Biegasa (1877–1954), malarza, rzeźbiarza i dramaturga pracującego we Francji.

22. 11. 94
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Paryżu zorganizowało odczyt p. Marka Jesionkowskiego pt. „Generał brygady inż. Tadeusz Kościuszko, żołnierz i dyplomata". Odczyt odbył się w Centre du Dialogue.

24. 11. 94.
W Instytucie Polskim w Paryżu miał miejsce wykład p. Krystyny Kersten, profesora historii PAN, na temat „Różne interpretacje historii polskiej w okresie 1945–1989".

29. 11. 94
W Bibliotece Polskiej w Paryżu, staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, odbył się odczyt prof. Adama Manikowskiego, dyrektora Biblioteki Narodowej w Warszawie. ■ W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt Andrzeja Paczkowskiego, profesora Instytutu Studiów Politycznych PAN na temat „Upadek władzy komunistycznej w Polsce — na podstawie opublikowanych archiwów PZPR".

30. 11. 94.
Staraniem INALCO (Institut National des Langues et Civilisations Orientales) odbyło się kolokwium na temat „Paris 'capitale culturelle' de l'Europe Centrale?", w którym wzięli udział przedstawiciele Polski, Czech, Węgier i Rumunii. Należy żałować, że INALCO nie uwzględniło w tym kolokwium przedstawicieli Litwy. Z Paryżem była związana twórczość Oskara Miłosza, jak również Jurgisa Baltrusaitisa, znanego historyka sztuki i działacza politycznego. Z Paryżem jest też związane Towarzystwo Naukowe im. Szewczenki, które jest centralnym ośrodkiem działalności naukowej i kulturalnej ukraińskiej. W Paryżu działa również biblioteka im. Petlury.

2. 12. 94
W Centre du Dialogue Krzysztof Zanussi wygłosił odczyt na temat „Media w Polsce i w Europie". Poprzednio 18.11. odbył się odczyt ks. Kazimierza Piwowarskiego, kierownika wydziału polskiego międzynarodowej organizacji charytatywnej „Kościół w Potrzebie" o głównych kierunkach działalności tejże instytucji. 25.11. ambasador Jerzy Regulski, stały przedstawiciel przy Radzie Europy w Strasburgu, wygłosił odczyt na temat „Polska w Radzie Europy".

Kroniką kanadyjska

Walny Zjazd delegatów Kongresu Polonii Kanadyjskiej w dniach 7–10 października — jubileuszu w 50-lecie powstania — miał przebieg burzliwy. Ostre starcia i to w formie brutalnej, prostackiej, natury personalnej — zastąpiły rozpatrzenie i ocenę przeszłości: okresu ostatniej kadencji i 50-lecia. W wyniku walki personalnej wybrano nowy Zarząd Główny z prez. Markiem Malickim i wiceprezesem Janem Kaszubą na czele. Pierwszy był prezesem w kadencji 1990–92, a drugi w 1980–84. ■ Dostojnicy byli i aktualni odwiedzają Kanadę, ściślej Polonię, z różnych powodów. W ślad za prez. Wałęsą zjawił się min. Michał Strąk (z doradcą Janem Bisztygą), którego jednak nie zaprosiły ani jakieś oficjalne władze kanadyjskie ani organizacje polonijne.

Na zaproszenie Fundacji im. Tadeusza i Zofii Romerów przybyli pod koniec października Jacek Kuroń i Leszek Balcerowicz — laureaci tej nagrody. Kuroń wystąpił w Montrealu 24 października z prelekcją pt. „Polska dziś" a w Toronto 26 października „Polska wczoraj, Polska dzisiaj". Leszek Balcerowicz natomiast miał prelekcje akademickie na uniwersytecie w Toronto. ■ Tamara Jaworska, której artystyczne tkaniny są chlubą tej sztuki w Kanadzie — otrzymała największe odznaczenie państwowe *Order Kanady*. ■ Na wydziale nauk politycznych University of Toronto Hubert Torzecki obronił tezę-pracę dla uzyskania doktoratu pt. „The Political Consequences of the Cleavage Structure: The Bases of Party Support in Post 1989 Poland" (Konsekwencje polityczne rozszczepionej struktury: Podstawy poparcia partii po 1989 r.).

Toronto 24.10.94 r.

B.H.

Kronika norweska

W piątek 22 kwietnia w godzinach wieczornych samotny Norweg, 31-letni Borge Oualand, dotarł na nartach do bieguna północnego. W swej wyprawie nie używał przygotowanych z góry baz zaopatrzeniowych. Wszystko ciągnął za sobą. Jest on pierwszym człowiekiem, któremu udało się w pojedynkę dotrzeć do bieguna północnego. Wyprawa trwała 52 dni. ■ Lato 1994. Chłopi norwescy wyganiają turystów pochodzących z państw należących do Unii Europejskiej. Korzystać z campingów mogą tylko Norwedzy o ile zadeklarują, że popierają stanowisko chłopów, którzy są przeciwko członkostwu w Unii. ■ Jeśli wierzyć ONZ-towskim statystykom Norwegia jest piątym krajem świata, w którym żyje się najlepiej. Wyprzedzają ją Kanada, Szwajcaria, Japonia i Szwecja. Pod uwagę brane są takie czynniki jak: długość życia, średni czas nauki szkolnej, wydatki na oświatę oraz trwałość pożycia małżeńskiego. ■ W czerwcu spotkali się w Oslo reprezentanci 33 państw od Kanady po Ukrainę. Podpisano umowę dotyczącą zanieczyszczeń siarczanych. W myśl porozumienia sygnatariusze mają zredukować do 2000 roku zanieczyszczenie atmosfery odpadami siarki. ■ Strefa Spitsbergenu została przyznana Norwegii traktatem z 9 lutego 1920 r. Prawo do wykorzystywania bogactw rejonu mają i inne państwa. Na tej zasadzie Rosjanie eksploatują węgiel kamienny. Zapewne nie chodzi tu o zysk z kopalni, lecz o obecność. Większość mieszkańców Spitsbergenu stanowią dziś Rosjanie. ■ Susza i spowodowany nią nieurodzaj są zazwyczaj klęskami żywiołowymi. Tak nie jest w przypadku Norwegii. Minister finansów po cichu zaciera ręce. W myśl porozumień między rządem a rolnikami państwo zobowiązane jest zakupić całe zboże wyprodukowane przez farmerów. Ceny negocjowane są rokrocznie i w bieżącym roku są czterokrotnie wyższe od światowych. Pozwoli to zaoszczędzić władzom ponad 20 milionów dolarów. Nie jest to kwota duża, ale pamiętajmy, że Norwegów jest zaledwie 4 miliony. ■ Ropę naftową na wodach terytorialnych mórz Północnego i Barentsa wydobywają Norwegowie już od 25 lat. Spowodowało to, że Norwegia z jednego z najbiedniejszych państw Zachodu nagle znalazła się w światowej czołówce. Toteż z wielkim niepokojem odbierane są informacje o przejściowym braku nowych odkryć i wyczerpywaniu eksploatowanych złóż. Sprawia to, że norweski koncern Norwegian Contractors zwalnia 2100 na 2400 zatrudnionych. A w Instytucie Konstrukcji Żelbetonowych redukcje mają objąć 80% pracowników naukowych. Obie instytucje specjalizują się w budowie platform wiertniczych. ■ W latach sześćdziesiątych na dziesięciu pracujących przypadało dwóch emerytów i rencistów. Obecnie czterech. Szacuje się, że w roku 2030 będzie ich aż sześciu. ■ Norwegia jest za powiększeniem NATO. W grę nie wchodzą jednak Polska, Węgry, Czechy czy Słowacja, lecz Szwecja i Finlandia. Z taką zaskakującą propozycją wystąpił przedstawiciel Oslo na spotkaniu ministrów obrony państw członkowskich paktu w Sewilli. ■ 14 października. Tegoroczna Pokojowa Nagroda Nobla jest otoczona atmosferą skandalu. Już na wiele dni przed komunikatem Instytutu Nobla prasa podaje precyzyjnie nazwiska wybrańców. *Aftenposten* 4 dni przed ogłoszeniem ujawnił nazwiska laureatów: Rabina i Arafata. Mówi się, że trzecia osoba — Szymon Peres — została dopisana w ostatniej chwili, by złagodzić skutki przecieku. Ponadto członek Komitetu Nobla, Käre Kristiansen, zrezygnował ze swej funkcji na znak protestu przeciw przyznaniu nagrody Arafatowi. Kristiansen w wywiadzie dla *Aftenposten* powiedział m.in.: „Yasir Arafat nie powinien znaleźć się wśród laureatów. Przez ostatnie trzydzieści lat był on najważniejszym stymulatorem terroryzmu". 75-letni Kristiansen jest byłym szefem Chrześcijańskiej Partii Ludowej. Karl Hagen, przywódca prawicowej Partii Postępu, nazwał Arafata ojcem światowego terroryzmu i zgryźliwie zaproponował, by w przyszłym roku nagrodę przydzielić Saddamowi. W ankiecie przeprowadzonej przez drugi program telewizji norweskiej 75% widzów było przeciw przyznaniu nagrody Arafatowi. ■ 15 października br. w akademickim mieście Trondheim znaleziono pokiereszowane zwłoki 5-letniej Silji Redegärd. Zabójcami okazali się trzej chłopcy — rówieśnicy ofiary. Norwegowie są wstrząśnięci wydarzeniem. ■ W październiku br. obchodzono w Norwegii 50-tą rocznicę wyzwolenia przez Armię Czerwoną północnych połaci kraju. Pierwsza część uroczystości odbyła się w Murmańsku. I tu wynikła afera. Do Murmańska przybyli z Oslo oficjele, natomiast zapomniano o norweskich uczestnikach ruchu oporu. Druga część odbyła się w Norwegii. Tu nie zabrakło już weteranów z obu stron granicy. Przy okazji obchodów historycy wyciągnęli na światło dzienne nie znane do niedawna dokumenty archiwalne. Rosjanie, którzy zajęli północną Norwegię wcale nie chcieli się wycofać. 11 listopada 1944 sowiecki minister spraw zagranicznych, Mołotow, wezwał swego norweskiego kolegę, Trygwe Lie, i zażądał Wyspy Niedźwiedziej, wspólnej administracji Spitsbergenu oraz wielu baz wojskowych. Norweski rząd londyński zadecydował wysłanie na terytoria zajęte przez Sowietów całego będącego w dyspozycji wojska. Zadanie to nie zostało zrealizowane na skutek sprzeciwu sojuszników? Ostatecznie Stalin ustąpił. Armia Czerwona wycofała się z województw północnych w listopadzie 1945. W zamian Stalin uzyskał od aliantów znaczne ustępstwa w Europie Wschodniej.

Oslo, 5.11.1994

Paweł GAJOWNICZEK

Listy do Redakcji

Neapol, 25.10.94

Drogi Redaktorze,

Kto za przykładem Kołakowskiego jest „raczej zbudowany" tym co się w Polsce ostatnio stało i dzieje, powinien przeczytać co następuje:

1. Artykuł Jana Nowaka-Jeziorańskiego *Gigantyczne oszustwo*, ogłoszony w dwóch częściach na łamach *Tygodnika Powszechnego* (zwłaszcza rozdział *Dziwaczna Polska*).

2. Wystąpienie Adama Strzembosza, pierwszego prezesa Sądu Najwyższego i prezesa Trybunału Konstytucyjnego, zatytułowane *Bezsilne prawo?* (również w *Tygodniku Powszechnym*).

3. Długą listę posłów, którzy 15 września 1994 głosowali za ustawą o tajemnicy państwowej i służbowej (czyli o kryptocenzurze).

4. W czasie sejmowej debaty nad projektem ustawy o tajemnicy państwowej wniesiono do niego poprawkę, zaproponowano mianowicie aby tajemnicą państwową nie obejmować przynajmniej materiałów Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego z lat 1945-1956. Poprawka przepadła w głosowaniu. Każdy „raczej zbudowany" winien przeczytać listę posłów, którzy głosowali za tym, żeby materiały UB z tego okresu pozostały tajemnicą państwową (są wśród nich posłowie UW z Kuroniem na czele, oraz posłowie UP z Bugajem i Małachowskim na czele).

Mówiących o tym, wskazujących to z uporem, oskarża się o agresywną przesadę, o niesprawiedliwy osąd rzeczywistości polskiej w pięć lat po odzyskaniu niepodległości. A mają tylko oczy do patrzenia, uszy do słuchania, rozum do myślenia. Elementarna odwaga obywatelska drożeje z dnia na dzień.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

●

Toronto, 26 października 1994 r.

W odpowiedzi na artykuł zamieszczony w Kulturze Nr 10/565 w „Wolnej Trybunie".

Wiele mamy w historii bitew przegranych a sprawcy ich czy dowódcy, którzy decyzję podjęli, nie spotykają się z taką krytyką jak Bór-Komorowski, który wydał rozkaz „do boju".

Nikt nie spodziewał się przegranej bitwy o Warszawę w sierpniu 1944 r. Idąc na Powstanie wierzyliśmy w zwycięstwo.

Inaczej wyglądała sprawa w Dieppe lub w getcie warszawskim. A jednak tak zagorzałych krytyk tych bitew nie słyszałam.

Teorię o 17 republice sowieckiej głosił również Iranek Osmecki w oparciu o dostępne dokumenty. Wielu ludzi poza Nowakiem zgadza się z tą teorią.

Powstanie zwalczane było głównie przez komunistów. Podobnie jak zwalczano AK i wszelką myśl niepodległą. Zgodne to z założeniami Komunizmu.

Stalin nie wcielił w granice wielkiego Imperium Sowieckiego krajów, które nigdy nie należały do Wielkiej Rosji. Kraje wymienione przez prof. Andrzeja Korbońskiego należały przed I Wojną Światową do Turcji lub Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Jedynie Rumunia była krótko pod protektoratem Rosji. Natomiast Polska była uzależniona od Rosji od czasów rozbiorów i uważana była za kraj nadwiślański ale rosyjski. Nie została Polska zaszczycona mianem republiki sowieckiej, ale pozostawała pod silną kuratelą sowiecką. To znana prawda.

Zabawna jest propozycja żeby AK wymaszerowała do lasu. Z bronią czy bez? Z całym dowództwem? A co byłoby z drukarniami, arsenałami, ośrodkami łączności — radiem? Bardzo łatwo jest stawiać takie sugestie ale dużo trudniej wykonać. Czy Pan Profesor zdaje sobie sprawę z tego jak na przykład nawiązuje się kontakt radiowy? W sierpniu 1944 roku podlegaliśmy w dalszym ciągu rządowi polskiemu w Londynie. Dla przykładu przypomnę, że w czasie Powstania Starówka nie mogła się porozumiewać bezpośrednio z Żoliborzem. Kontakt był za pośrednictwem Londynu. Pozostawienie zaś części dobrze uzbrojonych oddziałów w Warszawie dla ochrony ludności cywilnej — to chyba żart? Czym by to się różniło od powstania, gdyby wynikła sytuacja wymagająca udzielenia pomocy ludności cywilnej?

Czytamy również w artykule, że Niemcy nie były zdolne do akcji represyjno-zaczepnej i nic nie robiły mimo że doskonale były zorientowane w planach Powstania. Czyżby? To dlaczego sami nie wymaszerowali z Warszawy zamiast się pastwić nad nią?

Z poważaniem

Krystyna J. ORŁOWSKA

●

Katowice, 12.10.94

Szanowny Panie Redaktorze,

W imieniu autorów pierwszego tomu „Literatury emigracyjnej 1939-1989" uprzejmie proszę o zamieszczenie następującego sprostowania.

W wakacyjnym numerze *Kultury* (1994/7—8) ukazała się recenzja p. Artura Zielińskiego z pierwszego tomu naszej książki. Dobrze wiemy, że nie ma zwyczaju komentowania recenzji. Wolno nam jednak prosto-

wać oczywiste błędy rzeczowe Recenzenta i tak —

1) nieprawdą jest, że nasza książka ma ambicję bycia podręcznikiem;

2) nieprawdą jest, że nie odróżniamy pojęć: „literatura Polski walczącej" i „literatura Emigracji walczącej". Zgoda, Autorką pierwszego jest Maria Danilewicz Zielińska, ale drugie jest autorstwa Jerzego Niemojowskiego i było ono swego czasu wprowadzone do literatury przedmiotu. Oba terminy odnoszą się do w zaiste niewielkim tylko stopniu zbieżnych korpusów utworów, a więc oznaczają zasadniczo różne zjawiska literackie;

3) nieprawdą jest, że literatura emigracyjna w pojęciu wychodźców, co jest także naszym punktem widzenia, rozpoczęła się w roku 1945, wystarczy przeczytać grudniowe z roku 1939 numery tygodnika katolickiego *Nowa Polska*, który ukazywał się w Rumunii. Wszak aż wstyd odsyłać do paryskich numerów *Wiadomości Polskich Politycznych i Literackich* czy do wykładu Kazimierza Wierzyńskiego „Współczesna literatura polska na emigracji" (Nowy Jork 1943).

Pozostałe uwagi Recenzenta mają charakter opinii, ocen, pomówień lub świadczą o braku wrażliwości na ironię, tedy nie mogą być przez nas komentowane.

Z wyrazami poważania

Marek PYTASZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

M.N., Francja — Cieszymy się szczerze, że Pana tomik wierszy wydany został tak ładnie i to w tak dobrym wydawnictwie. Ale dwa nowe wiersze niezbyt nam się podobały. Proszę się wystrzegać gadatliwości, zabija poezję.

R.B., Polska — Pana próbki poetyckie są bez wartości.

A.N., Szwecja — Nie potrafił Pan wyrazić swej tęsknoty do Warszawy, którą zresztą łatwo dziś ugasić. „Księżyc idący Mariensztatem"... Czy to nie Broniewski?

M.M., Francja — Wiersze Pana wydają nam się nieudane; są ułożoną w strofy prozą (mało ciekawą).

K.L., Polska — Cykl listów poetyckich nie wróży dobrze. Pisał Pan dawniej lepsze wiersze.

K.P.-K., Polska — Słusznie kocha Pani Conrada. Jak to jednak powiedzieć językiem poezji?

L.B., Polska — Wszystkie Pana utwory mają jedną wspólną cechę: banalność.

M.T., Polska — „Stworzyłem nowy kierunek w poezji metafizycznej, nazywam go eschatologizmem". Brzmi to dumnie, ale nie znajduje

pokrycia w załączonych wierszach. Są one raczej barokowymi popłuczynami.

S.U., Polska — Wybraliśmy do druku *Balladę o lustrach.*

S.D., Polska — Udany jest Pana wiersz, inspirowany nowym tomem Iwaniuka.

G.L., Polska; A.F., USA; J.Ś.-L., Polska — Wiersze nie nadają się do druku.

T.O., USA — W poezji religijnej („katolickiej" nie ma, jak słusznie powiedział Miłosz, przyjmując doktorat honorowy na KUL.) istnieją wiersze, usiłujące dotrzeć do istoty przeżycia religijnego, metafizycznego. W Polsce przed wojną Jerzy Liebert i Wojciech Bąk, po wojnie Anna Kamieńska, ks. Jan Twardowski, ks. Janusz Pasierb. I istnieją wiersze, które nazwalibyśmy „dewocyjnymi". Tom *Przez Niepokalaną do Jezusa* należy do drugiej kategorii, niezbyt poetycko płodnej.

J.H.D., Polska — Niestety, musimy znowu odpowiedzieć, że z Pana wierszy nie skorzystamy.

SPROSTOWANIE

Do mojego szkicu autobiograficznego zamieszczonego w listopadowej *Kulturze* (11/566) zakradły się trzy przykre błędy drukarskie — będę wdzięczny za ich sprostowanie: w pierwszym wierszu na str. 3 data powinna być *8* marca 1968 — a nie 9 marca; na str. 12, w 7-mym wierszu od dołu nazwisko profesora jest *Kalinowski* a nie Malinowski jak wydrukowano; na str. 19, w wierszu pierwszym od góry jest „Odegrał sobie na książkach", a powinno być — *Odebrał...*

Józef HURWIC

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za rok 1994

Spis autorów

ADAMUS W.S., ANDRZEJEWSKI Bogumił, AUDEN W.H. — BARAN Józef, BARAN Zbigniew, BAKUŁA Bogusław, BĄKOWSKI Adam Tadeusz, B.H., BERBERYUSZ Ewa, BIELA Emil, BIENEK Horst, BIERNACKI Andrzej, BOBROWSKI Johannes, BOLECKI Włodzimierz, BONIECKI Jerzy, BÓBR-TYLINGO Stanisław, BRAUN Kazimierz, BRODA Marzena, BROŃSKI M., BYRSKI Zbigniew. — CHABROWSKI Tadeusz, CHOJNOWSKA Aldona, CZARTORYSKI Piotr Michał, CZERWIAKOWSCY Ewa i Jerzy. — DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria, DASZKIEWICZ Piotr, DŁUSKI Stanisław, DOBOSZ Andrzej, DÖNHOFF Marion Gräfin, DZIEWIĘCKA Małgorzata, DZIĘGIEL Leszek. — E.B., ESTRYN Anatol. — FIK Marta, FLASZEN Ludwik, FRAJLICH Anna, FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM, FUNDUSZ POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE. — GAJOWNICZEK Paweł, GIEDROYC Jerzy, GÖRLICH Joachim Georg, GRABOWSKA Alina, GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy. — HALIKOWSKA-SMITH Teresa, HERA Janina, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERNANDEZ DE PALUCH Maria, HERTZ Zofia, HRYNIEWIECKI Bolesław, HUCZKOWSKI Jerzy, HURWIC Józef. — ILIŃSKA Zofia, IWANIUK Wacław, IWAŃSKA Alicja. — JACKIEWICZ Mieczysław, JASTRUN Tomasz, JEŻEWSKI Krzysztof, JĘDRZEJEWICZ Wacław. — KACZMAREK Robert, KACZMARSKI Jacek, KANDZIORA Jerzy,

KAWIŃSKI Wojciech, KEMPFI Andrzej, KERSKI Basil, KLEJNOCKI Jarosław, KOBAYASHI Jan, KOMORSKI Stanisław, KOMUNIKAT, KORBOŃSKI Andrzej, KOSOBUDZKI Tadeusz, KOSSOWSKA Stefania, KOWALCZYKOWA Alina, KROCKOW Christian Graf von, KRUCZEK Adam, KRUSZEWSKA Mirosława, KUDELSKI Zdzisław, KULIK Adam W., KUROWSKA-MŁYNARCZYK Joanna, KÜNSTLER-LANGNER Danuta. — LATAWSKI Paul, LAUREACI NAGRODY KISIELA, LESIUK Wiesław, LEWANDOWSKI Józef, LIPOWSKI Maciej, LIPSKI Józef, LISOWSKI Krzysztof, LIZAKOWSKI Adam, LÖW Ryszard, L.S., L.V. — ŁĘTOWSKA Ewa, ŁUBIEŃSKI Tomasz. — MACIEJEWSKI Janusz, MACIONIS Stanisław, MAJEWSKA Barbara, MAKOWSKI Jerzy Z., MAŁACHOWSKI Aleksander, MANN Golo, MAURER Jadwiga, MAZEAUD Henri, MIŁOSZ Czesław, MISIAK Elżbieta, MODZELEWSKI Karol, MONACHIJCZYK, MONDRY Janusz, MORAWSKI Dominik, MROCZYK Piotr, MROŻEK Sławomir, MUIR Edwin. — NASIELSKI Adam, NAZWISKO ZNANE REDAKCJI, NOWAKOWSKI Tadeusz. — ODOJEWSKI Włodzimierz, OKOŁOTOWICZ Henryk ksiądz, ORŁOŚ Kazimierz, ORŁOWSKA Krystyna J., OSADCZUK Bohdan, OSSOWSKI Leonie. — PAŃTA Andrzej, PASZKOWSKI Lech, PĘDZIWOL Aureliusz Marek, PIASZCZYŃSKI Piotr, PIESZCZACHOWICZ Jan, PIETRKIEWICZ Jerzy, PLASSERAUD Y., POLACZEK Stanisław, POMIAN Krzysztof, POMIANOWSKI Jerzy, POPŁAWSKI Wojciech, POSPIESZALSKI Antoni, POURCHIER S., POŻARSKI Krzysztof, PTACZEK Józef, PYSZKO Jan, PYTASZ Marek. — RADA POWIERNIKÓW, RAJČIĆ Biserka, RATAJCZAK Józef, REDAKCJA, REDAKTOR, RIEDL Anna, ROKOSZOWA Jolanta, ROMANOWICZ Kazimierz, ROMER Andrzej, RUSZKOWSKI Andrzej. — SALONI Stanisława, SCHARF Rafael F., SIEMBIEDA Maciej, SIEWIERSKI Henryk, SIKORA Wojciech, SKARADZIŃSKI Bohdan, SKÓRZYŃSKI Piotr, SMECZ, SMOGORZEWSKI Kazimierz, SONNENBERG Ewa, STACH Andrzej, STANKIEWICZ Zygmunt, STĘPIEŃ Marian, STRUMIŁŁO Paweł, SUPRUNIUK Anna, SUPRUNIUK Mirosław, SURMACZ Ryszard, SZADURA Elżbieta, SZARUGA Leszek, SZCZEPIŃSKA-TRAMER Joanna, SZLOSAREK Artur. — ŚMIEJA Florian. — TABORSKI Bolesław, TENENBAUM Natan, TOMASZKIEWICZ Jan A., TOPOROWSKI Wiesław F.,

TORAŃSKA Teresa, TUROWICZ Jerzy, TUSZYŃSKA Agata. — UNGER Leopold, URBANOWICZ Bohdan Tadeusz. — VINCENZ Andrzej, VUJIČIĆ Petar. — WANDYCZ Piotr, WIĘCKOWSKI Andrzej, WILNIANKA Z ZARZECZA, WOLICKI Krzysztof, WÓYCICKI Kazimierz, WRÓBLEWSKA Agnieszka. — ZABROWARNY Stefan, ZACHURSKI Tadeusz, ZAGAJEWSKI Adam, ZAGÓRSKI Z.P., ZELLER Michael, ZIELIŃSKI Artur, ZUBRZYCKI Jerzy. — ŻABA Norbert.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

Akcja Kongresu Polonii Amerykańskiej (1/556-2/557).
B.H.: *Kronika kanadyjska* (1/556-2/557, 3/558, 5/560, 7/562-8/563, 11/566, 12/567).
BOLECKI Włodzimierz: *Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości* (1/556-2/557).
DZIEWIĘCKA Małgorzata: *Szansa dla pokoju* (6/561).
GAJOWNICZEK Paweł: *Kronika norweska* (5/560, 12/567).
GROT-KWAŚNIEWSKI Jerzy: *Kronika australijska i nowozelandzka* (6/561).
HUCZKOWSKI Jerzy: *Historia i skutki pewnej doktryny* (4/559).
KACZMAREK Robert: *Sojusz Atlantycki po upadku Muru* (6/561).
— *Wolny rynek międzynarodowy* (10/565).
— *Rozsądek i sprzeczności „Strategii dla Polski"* (12/567).
KERSKI Basil: *Nowy „Drang nach Osten" czy szansa współpracy?* (9/564).
KOSOBUDZKI Tadeusz: *Stracone szanse* (5/560).
ŁUBIEŃSKI Tomasz: *Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości* (1/556-2/557).
MAŁACHOWSKI Aleksander: *Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości* (1/556-2/557).
MODZELEWSKI Karol: *Pokorne cielę i bezpieczeństwo narodowe* (1/556-2/557).
MONDRY Janusz: *Europa Środkowa - Rosja w oczach Tokio* (1/556-2/557).
— *Koreańskie zagrożenia nuklearne* (5/560).
NOWAK Andrzej: *Tradycje polskiej polityki wschodniej* (7/562-8/563).
ORŁOŚ Kazimierz: *Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości* (1/556-2/557).

PĘDZIWOL Aureliusz Marek: *Czechy: Szok pod specjalnym nadzorem* (10/565).
POLACZEK Stanisław: *Jak wyrwać gospodarkę z bezwładu?* (3/558).
— *Zaniedbywany handel z Europą Wschodnią* (5/560).
RIEDL Anna: *Kronika szwedzka* (3/558, 7/562-8/563, 10/565).
SURMACZ Ryszard: *Opolszczyzna* (4/559).
SZARUGA Leszek: *Ożywienie?* (9/564).
UNGER Leopold: *Kret w Jaguarze* (4/559).
— *Polska w Europie: bez złudzeń i bez zmarszczek* (9/564).
— *Widziane z Brukseli i Kijowa. Na krańcu czego leży Ukraina?* (5/560).
— *Widziane z Brukseli i Królewca* (1/556-2/557).
WIĘCKOWSKI Andrzej: *Przeszłość ocenia się myśląc o przyszłości* (1/556-2/557).
Wydarzenia miesiąca (1/556-2/557, 3/558, 4/559, 5/560, 6/561, 7/562-8/563, 9/564, 10/565, 11/566, 12/567).
ZACHURSKI Tadeusz: *Dokąd prowadzi NAFTA?* (1/556-2/557).
Z ostatniej chwili (3/558).
ZUBRZYCKI Jerzy: *Czym jest dla mnie Polska?* (3/558).

Archiwum polityczne

KERSKI Basil: *Niemcy — krajobraz po bitwie* (12/567).
Notatki Redaktora (1/556-2/557, 3/558, 4/559, 5/560, 6/561, 7/562-8/563, 9/564, 10/565, 11/566, 12/567).
UNGER Leopold: *Widziane z Brukseli. Czy komuniści mogą zbudować kapitalizm w jednym kraju?* (11/566).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BIENEK Horst: *Odkrycie* — przeł. A. Pańta (9/564).
— *Stopniowe zadławianie się krzykiem* — przeł. A. Pańta (9/564).
CZERWIAKOWSCY Ewa i Jerzy (tłumacze) ob. Dönhoff, Krockow i Ossowski.
DÖNHOFF Marion: *Nikt już nie jechał na Wschód* — przełożyli Ewa i Jerzy Czerwiakowscy (9/564).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą* (3/558, 5/560, 9/564, 12/567).

KROCKOW Christian Graf von: *Podróż na Pomorze* — przełożyli Ewa i Jerzy Czerwiakowscy (9/564).
MANN Golo: *Nasza wieś świat w pomniejszeniu* — przeł. Andrzej Pańta (9/564).
MIŁOSZ Czesław: *Sen rozumu* (12/567).
OSSOWSKI Leonie: *Anna z pałacu* — przełożyli Ewa i Jerzy Czerwiakowscy (9/564).
PAŃTA Andrzej (tłumacz) ob. Horst Bienek i Golo Mann.
POMIANOWSKI Jerzy: *Biegun magnetyczny* (3/558).
SCHARF Rafael F.: *Z otchłani* (6/561).
SZARUGA Leszek: *Kultura ty, polska kultura...* (1/556–2/557) — (tłumacz) ob. Michael Zeller.
ZELLER Michael: *Café Europa* — przeł. Leszek Szaruga (9/564).

Powieści, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

DZIĘGIEL Leszek: *Skok z wybuchem czyli środki pozoracji* (5/560).
— *Świat wrzasku i nudy* (6/561).
HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Błogosławiona, święta* (11/566).
— *Głęboki cień* (7/562–8/563).
— *Łuk Sprawiedliwości* (6/561).
— *Portret wenecki* (1/556–2/557).
HURWIC Józef: *Szkic autobiograficzny. Marzec 1968, Francja* (11/566).
JACKIEWICZ Mieczysław: *Trzy dni w Nowogródku* (10/565).
MROŻEK Sławomir; *Fakir* (3/558).
ORŁOŚ Kazimierz: *Zimna Elka* (10/565).
POMIANOWSKI Jerzy: *Ruski miesiąc* (7/562–8/563).
SZADURA Elżbieta: *Święta Góra Grabarka* (6/561).

Utwory poetyckie

ANDRZEJEWSKI Bogumił: *Hyś i pająk* (5/560).
AUDEN W.H.: *Pogrzebowe blues* — przeł. z angielskiego Jerzy Pietrkiewicz (10/565).
BARAN Józef: *Letni, pastelowy zmierzch* (1/556–2/557).
— *Liryka polska* (1/556–2/557).
BĄKOWSKI Adam Tadeusz: *Brzozy* (4/559).
BIELA Emil: *Znaki czułości* (12/567).

BIENEK Horst: *Barak Niemcy* — przeł. Andrzej Pańta (1/556–2/557).
BOBROWSKI Johannes: *Dźwina* — przekład z niemieckiego Andrzej Pańta (9/564).
— *Litewskie pieśni* — przełożył z niemieckiego Andrzej Pańta (10/565).
— *Niewypowiedziane* — przełożył z niemieckiego Leszek Szaruga (9/564).
— *Sarmacka równina* — przełożył z niemieckiego Andrzej Pańta (3/558).
— *Wędrowiec* — przełożył z niemieckiego Leszek Szaruga (9/564).
BRODA Marzena: *Rzeki dojrzewają...* (3/558).
CHABROWSKI Tadeusz: *Brat Franciszek do siostry Klary* (4/559).
DŁUSKI Stanisław: *Kościół świętego Bartłomieja w Dębowcu* (11/566).
— *Lipiec* (1/556–2/557).
ILIŃSKA Zofia: *Niemen* (12/567).
IWANIUK Wacław: *Podróż do konsulatu polskiego w Kurytybie* (7/562–8/563).
JEŻEWSKI Krzysztof: *Europa* (7/562–8/563).
— *Kwartet na kres czasu* (6/561).
KAWIŃSKI Wojciech: *Kamienie lata* (11/566).
KLEJNOCKI Jarosław: *Miasto otwarte* (10/565).
KOBAYASHI Jan (tłumacz) ob. Muir Edwin.
KRUSZEWSKA Mirosława: *Psia tęsknota* (12/567).
— *Początek* (4/559).
— *Starość* (12/567).
KUROWSKA-MŁYNARCZYK Joanna: *Przekład* (11/566).
LISOWSKI Krzysztof: *Biedny Orfeusz* (1/556–2/557).
LIZAKOWSKI Adam: *To, czego potrzebuję* (6/561).
MUIR Edwin: *Podróż wstecz* — z angielskiego przełożył Jan Kobayashi (6/561).
PAŃTA Andrzej (tłumacz) ob. Bienek Horst, Bobrowski Johannes.
PIASZCZYŃSKI Piotr: *Oda* (10/565).
PIETRKIEWICZ Jerzy (tłumacz) ob. Auden W.H.
RATAJCZAK Józef: *Pochód* (12/567).
SALONI Stanisława: *1939* (7/562–8/563).
SONNENBERG Ewa: *Salon biedy* (3/558).
— *Wyrok* (3/558).
SZARUGA Leszek: *Biała krew* (10/565).
— *Jeszcze jedne przedśmiertne urodziny* (11/566).

— *Poeta umiera* (10/565).
— *Słowa sprzed czasu* (12/567).
— (tłumacz) ob. Bobrowski Johannes.
SZLOSAREK Artur: *Ostatnio...* (10/565).
ŚMIEJA Florian: *Festina* (4/559).
TABORSKI Bolesław: *„Es gibt keinen jüdischen Wohnbezirk..."* (3/558).
TENENBAUM Natan: *Modlitwa. O wschodzie słońca* (10/565).

Sprawy krajowe

BERBERYUSZ Ewa: *Kartki ze skażonej strefy* (1/556-2/557, 3/558, 4/559, 5/560, 6/561, 7/562-8/563, 9/564, 10/565, 12/567).
MISIAK Elżbieta: *Dlaczego wygrali* (1/556-2/557).
MODZELEWSKI Karol: *Pożytek z utraty złudzeń* (3/558).
POLACZEK Stanisław: *Po kongresie ekonomistów polskich* (1/556-2/557).
Polska orderomania (7/562-8/563).
SMECZ: *Z ukosa* (1/556-2/557, 3/558, 4/559, 6/561, 7/562-8/563, 9/564, 10/565, 11/566, 12/567).
TORAŃSKA Teresa: *Czy MY to ONI* (7/562-8/563).
WOLICKI Krzysztof: *Bijatyka w Warszawie* (11/566).
— *Brudne szyby* (3/558).
— *Idzie nowe: czy dojdzie?* (6/561).
— *O Unii Demokratycznej przed ślubem* (1/556-2/557).
— *Półtony* (4/559).
— *Wałęsa na ścieżce wojennej* (5/560).
— *Wejście smoka* (7/562-8/563).
— *W kalejdoskopie* (12/567).
— *Zastój i żywioł* (9/564).

Sąsiedzi

Konferencja Polsko-Ukraińska (7/562-8/563).
KRUCZEK Adam: *Notatki rosyjskie* (1/556-2/557, 3/558, 4/559, 5/560, 6/561, 7/562-8/563, 9/564, 10/565, 11/566, 12/567).
OSADCZUK Bohdan: *Polska i Ukraina — jak wyjść z impasu* (12/567).
— *Pożegnanie z odchodzącą epoką* (10/565).
— *Ukraina: od Leonida Pierwszego do Leonida Drugiego* (9/564).

— *Ukraina na lewym torze* (7/562-8/563).
— *Ukraina po wyborach: Czornowił, Juchnowski, Łanowyj* (6/561).
— *Ukraina: program reform Kuczmy* (11/566).
— *Ukraina 1994 — Wolność i chaos* (4/559).
— *Ukraińska mapa polityczna* (1/556-2/557).
ROMER Andrzej: *Litwa — czy jest lepiej?* (12/567).
SKARADZIŃSKI Bohdan: *Przegrywamy razem z Ukraińcami czy...* (7/562-8/563).
Spotkanie polsko-ukraińskie w Paryżu (1/556-2/557).
STACH Andrzej: *Kronika niemiecka* (1/556-2/557, 4/559, 11/566).
SZARUGA Leszek: *Problem niemiecki* (6/561).
WILNIANKA Z ZARZECZA: *Zapomnieć o wzajemnych urazach* (3/558).
W kręgu imperium (10/565).

O religii bez namaszczenia

MORAWSKI Dominik: *„Trudno im dogodzić"* (3/558).
POSPIESZALSKI Antoni: *Czy potrzebni są księża-kobiety?* (5/560).
— *Kiedy złe rzeczy zdarzają się dobrym ludziom* (3/558).
— *Książka papieża* (12/567).
— *Szemrania w katedrze* (7/562-8/563).

Wywiady „Kultury"

POPŁAWSKI Wojciech: *Rozmowa ze Stanisławem Macionisem* (10/565).
SURMACZ Ryszard: *Rozmowa z Wiesławem Lesiukiem — Szlezwik modelem uniwersalnym* (1/556-2/557).

Polemiki — Wolna Trybuna

BIERNACKI Andrzej: *Spór o spory* (3/558).
BRAUN Kazimierz: *List do Redakcji* (1/556-2/557).
CHOJNOWSKA Aldona: *O stosunkach polsko-ukraińskich bez katastrofizmu* (4/559).
HERA Janina: *List do Redakcji* (1/556-2/557).

KORBOŃSKI Andrzej: *Powstanie Warszawskie z innej strony* (10/565).
LIPOWSKI Maciej: *O szemraniu w Katedrze inaczej* (10/565).
LIPSKI Józef: *Uwagi do artykułu Stanisława Polaczka* (11/566).
NASIELSKI Adam: *O szemraniu w Katedrze inaczej* (10/565).
OKOŁOTOWICZ Henryk ks.: *List do Redakcji* (1/556-2/557).
ORŁOŚ Kazimierz: *Klucz do Europy* (3/558).
OSADCZUK Bohdan: *Stosunki polsko-ukraińskie* (4/559).
POSPIESZALSKI Antoni: *Odpowiedź* (10/565).
POŻARSKI Krzysztof: *List do Redakcji* (1/556-2/557).
SKÓRZYŃSKI Piotr: *Towarzyska szlachta* (6/561).
STANKIEWICZ Zygmunt: *O szemraniu w katedrze inaczej* (10/565).
SURMACZ Ryszard: *Problem mniejszości niemieckiej* (12/567).
TUROWICZ Jerzy: *W sprawie „doktryny odtrącenia"* (7/562-8/563).
ZAGÓRSKI Z.P.: *Odpowiedź na list p. M. Dakowskiego* (4/559).

Sprawy i troski

BERBERYUSZ Ewa: *Kartki ze skażonej strefy* (11/566).
BONIECKI Jerzy: *Refleksje emigranta* (6/561).
DASZKIEWICZ Piotr: *Dziedzictwo ekologiczne Drugiej Rzeczpospolitej* (6/561).
HERNANDEZ PALUCH DE Maria: *Zakład św. Kazimierza w Paryżu* (5/560).
KULIK Adam W.: *O Europę pojednania* (3/558).
MONACHIJCZYK: *Koniec Wolnej Europy* (1/556-2/557).
— *RWE/RS: brak kontroli nad publicznym pieniądzem* (3/558).
MONDRY Janusz: *Czechizacja Zaolzia* (12/567).
POLACZEK Stanisław: *Komentarze do czarno-białej historii* (7/562-8/563).
ROKOSZOWA Jolanta: *Polski pidgin* (4/559).
SIEMBIEDA Maciej: *Krew i żółć* (12/567).
SURMACZ Ryszard: *Śląsk Katowicki* (11/566).
SZARUGA Leszek: *Znasz-li ten kraj?* (4/559).
RADA POWIERNIKÓW: *The Polonia Aid Foundation Trust* (3/558).

TOMASZKIEWICZ Jan A.: *Wolność słowa w III RP* (1/556-2/557).
VINCENZ Andrzej: *Czy koniec „Biblioteki Narodowej"?* (3/558).

Ci, co odeszli

DASZKIEWICZ Piotr: *Bolesław Hryniewiecki* (4/559).
FRAJLICH Anna: *Halina Wittlin (1900-1994)* (9/564).
GIEDROYC Jerzy: *Ks. Wojciech Sojka* (10/565).
— *Norbert* (10/565).
JASTRUN Tomasz: *Norbert Żaba* (10/565).
LATAWSKI Paul: *Kazimierz Smogorzewski* (4/559).
Nota pośmiertna Piotra Michała Czartoryskiego (7/562-8/563).
Nota pośmiertna Anatola Estryna (7/562-8/563).
Nota pośmiertna Bohdana Tadeusza Urbanowicza (7/562-8/563).
RAJČIĆ Biserka: *Petar Vujičić* (3/558).
RUSZKOWSKI Andrzej: *Prof. Henri Mazeaud* (7/562-8/563).
SIEWIERSKI Henryk: *Wspomnienie o prof. Agostinho da Silva* (11/566).
WANDYCZ Piotr: *Wspomnienie o Wacławie Jędrzejewiczu* (1/556-2/557).

Kronika kulturalna

BAKUŁA Bogusław: *Okratowane sonety. Poezja Iwana Switłycznego* (5/560).
BIERNACKI Andrzej: *Szkice do portretu Stanisława Pigonia* (6/561).
BOLECKI Włodzimierz: *Pochwała filologii* (5/560).
BYRSKI Zbigniew: *O spinaniu i wspinaniu* (7/562-8/563).
DASZKIEWICZ Piotr: *Pamiątki związane z J.E. Gilibertem* (1/556-2/557).
— *Przyroda, podróże, ekologia, historia* (9/564).
— *Przyrodnicy Pierwszej Rzeczpospolitej* (10/565).
DŁUSKI Stanisław: *Kresy — fenomen kulturowy* (11/566).
DOBOSZ Andrzej: *Prośba o opamiętanie* (1/556-2/557).
E.B.: *Paryska sesja historyków* (1/556-2/557).
HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *Szekspirowski teatr w Gdańsku* (3/558).
— *Uparty w swoim posłannictwie — Adam Czerniawski: tłumacz i krytyk* (11/566).

HERTZ Zofia: *Laudatio dla Kazimierza Romanowicza* (1/556-2/557).
JACKIEWICZ Mieczysław: *Norwid - Staff - Leśmian - po białorusku* (10/565).
KOWALCZYKOWA Alina: *Działalność PEN-Clubu na Wschodzie* (10/565).
KUDELSKI Zdzisław: *Sesja „Kultury" w Lublinie. Spotkania z paryską „Kulturą"* (7/562-8/563).
KULIK Adam W.: *Żywy głos Cerkwi* (12/567).
KÜNSTLER-LANGNER Danuta: *Tak różne są przypadki ludzkiego cierpienia* (12/567).
MACIEJEWSKI Janusz: *Ignis ardens* (7/562-8/563).
MAJEWSKA Barbara: *Tak, i co dalej* (7/562-8/563).
MAURER Jadwiga: *Polszczyzna Isaaca Singera* (3/558).
Nagrody „Kultury" za 1993 rok: Krzysztof WOLICKI — *nagroda publicystyczna im. Juliusza Mieroszewskiego;* Adam ZAGAJEWSKI — *nagroda literacka im. Zygmunta Hertza;* Kazimierz ROMANOWICZ — *nagroda przyjaźni i współpracy* (1/556-2/557).
Nowa placówka Biblioteki Narodowej (11/566).
PLASSERAUD Y.: *Dni pamięci* (1/556-2/557).
POMIAN Krzysztof: *Europa, Europa* (7/562-8/563).
— *Laudatio dla Krzysztofa Wolickiego* (1/556-2/557).
POURCHIER S.: *Dni pamięci* (1/556-2/557).
Stulecie Polskiej Stacji Naukowej w Paryżu (7/562-8/563).
SUPRUNIUK Anna i Mirosław: *Pisarze emigracyjni w pracach doktorskich i magisterskich w Polsce* (7/562-8/563).
SZARUGA Leszek: *Laudatio dla Adama Zagajewskiego* (1/556-2/557).
— *Zwyczajny katastrofizm* (3/558).
SZCZEPIŃSKA-TRAMER Joanna: *Wystawa dzieł Augusta Zamoyskiego* (11/566).
TABORSKI Bolesław: *Kontakt 94* (7/562-8/563).
WRÓBLEWSKA Agnieszka: *Konferencja historyków w Lublinie* (9/564).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

BIERNACKI Andrzej: *Lampasy Jana Dobraczyńskiego* (10/565).
BOLECKI Włodzimierz: *Książka dla nagrody* (4/559).
BROŃSKI M.: *Czas ponurych obrazów* (12/567).
— *„Inna Rosja" w Krakowie* (4/559).
— *Kłamstwo, fikcja, blaga* (6/561).

— *„Pisemnie z Litwy"* (9/564).
— *Płynność świata* (3/558).
— *Polska niania* (6/561).
— *Ślad poety* (10/565).
DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Odsłanianie przeszłości* (4/559).
— *Wiadomości bibliograficzne* (11/566).
DASZKIEWICZ Piotr: *Archiwum Biologii Słowiańskiej* (7/562-8/563).
DOBOSZ Andrzej: *Karta* (4/559).
FLASZEN Ludwik: *Spotkanie z Pustelnikiem* (6/561).
GRABOWSKA Alina, KACZMARSKI Jacek, NOWAKOWSKI Tadeusz, ODOJEWSKI Włodzimierz, PTACZEK Józef: *Oświadczenie w sprawie spółki Antena 1* (1/556-2/557).
HALIKOWSKA-SMITH Teresa: *Bolesław Leitgeber: Polak i kosmopolita* (10/565).
— *Nowa Europa Wschodnia w oczach Zachodu* (4/559).
HERA Janina: *Poszukiwanie dokumentów dot. losu aktorów w czasie wojny* (1/556-2/557).
IWAŃSKA Alicja: *Kolaże Macieja Kledzika, kronikarza Powstania Warszawskiego* (11/566).
KANDZIORA Jerzy: *Głos w sprawie „Polskiej Bibliografii Literackiej"* (5/560).
Komunikat Uniwersytetu Kultury Polskiej, Rzym 1994 (1/556-2/557).
KOSSOWSKA Stefania: *„Napiszesz o mnie książkę"* (12/567).
— *„Na szalach losu" — rozmowa z Jerzym Pietrkiewiczem* (3/558).
— *Od Kijowa do Piccadilly* (7/562-8/563).
KRUCZEK Adam: *Niełatwo być prorokiem* (5/560).
Laureaci nagrody im. św. Brata Alberta za 1993 r. (1/556-2/557).
LEWANDOWSKI Józef: *O książce M. Siwickiego* (1/556-2/557).
LÖW Ryszard: *...„bo oni wszyscy żyją we mnie"* (4/559).
L.S.: *Nowa bibliografia druków niezależnych* (1/556-2/557).
MONDRY Janusz: *Dyplomacja Henry Kissingera* (10/565).
MORAWSKI Dominik: *Wolny strzelec w potrzasku* (1/556-2/557).
Nadesłane nowości wydawnicze (1/556-2/557, 3/558, 4/559, 5/560, 6/561, 7/562-8/563, 10/565, 11/566, 12/567).
PASZKOWSKI Lech: *Pamiętnik pisany w Australii* (5/560).
PIESZCZACHOWICZ Jan: *Edward Stachura - łagodny*

buntownik (7/562-8/563).
SUPRUNIUK Mirosław A.: *„Silva rerum"* (7/562-8/563).
SZARUGA Leszek: *Gabriel Laub wraca do Polski* (10/565).
— *Kolejna ważna publikacja* (11/566).
TUSZYŃSKA Agata: *Isaac Singer* (1/556-2/557).
Wyjaśnienie Redakcji „Tabletu" (1/556-2/557).
ZIELIŃSKI Artur: *Materii wielkie pomieszanie* (7/562-8/563).

Tłumaczenia

Z języka angielskiego

AUDEN W.H.: *Pogrzebowe blues* przełożył Jerzy Pietrkiewicz (10/565).
MUIR Edwin: *Podróż wstecz* przełożył Jan Kobayashi (6/561).

Z języka niemieckiego

BIENEK Horst: *Barak Niemcy* przełożył Andrzej Pańta (1/556-2/557).
— *Odkrycie* przełożył Andrzej Pańta (9/564).
— *Stopniowe zadławianie się krzykiem* przełożył Andrzej Pańta (9/564).
BOBROWSKI Johannes: *Dźwina* przełożył Andrzej Pańta (9/564).
— *Litewskie pieśni* przełożył Andrzej Pańta (10/565).
— *Niewypowiedziane* przełożył Leszek Szaruga (9/564).
— *Sarmacka równina* przełożył Andrzej Pańta (3/558).
— *Wędrowiec* przełożył Leszek Szaruga (9/564).
DÖNHOFF Marion Gräfin: *Nikt już nie jechał na Wschód* przełożyli Ewa i Jerzy Czerwiakowscy (9/564).
KROCKOW Christian Graf von: *Podróż na Pomorze* przełożyli Ewa i Jerzy Czerwiakowscy (9/564).
MANN Golo: *Nasza wieś — świat w pomniejszeniu* przełożył Andrzej Pańta (9/564).
OSSOWSKI Leonie: *Anna z Pałacu* przełożyli Ewa i Jerzy Czerwiakowscy (9/564).
ZELLER Michael: *Café Europa* przełożył Leszek Szaruga (9/564).

Bibliografia

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury" za rok 1994 (12/567).

Noty biograficzne

Bienek Horst (9/564).
Dönhoff Marion Gräfin (9/564).
Kerski Basil (9/564).
Krockow Christian Graf von (9/564).
Ossowski Leonie (9/564).
Zeller Michael (9/564).

Listy do Redakcji

ADAMUS W.S. (11/566). BARAN Zbigniew (5/560). BĄKOWSKI A.T. (11/566). BÓBR-TYLINGO Stanisław (6/561). DŁUSKI Stanisław (3/558). FIK Marta (5/560). GÖRLICH Joachim Georg (6/561). HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (12/567). KEMPFI Andrzej (6/561). KOMORSKI Stanisław i PYSZKO Jan z odpowiedzią Redakcji (3/558). LAUREACI NAGRODY KISIELA (1/556-2/557). LEWANDOWSKI Józef (10/565). MROCZYK Piotr (7/562-8/563). NAZWISKO ZNANE REDAKCJI (6/561). ORŁOWSKA Krystyna J. (12/567). PYTASZ Marek (12/567). ROMANOWICZ Kazimierz (4/559). SKÓRZYŃSKI Piotr (4/559). STĘPIEŃ Marian (1/556-2/557). STRUMIŁŁO Paweł (10/565). TABORSKI Roman (3/558). TOPOROWSKI Wiesław (4/559, 10/565). ZABROWARNY Stefan (6/561).

●

Odpowiedzi Redakcji: (1/556-2/557, 3/558, 4/559, 5/560, 9/564, 11/566, 12/567).

Różne

BROŃSKI M.: *Sprostowanie* (10/565).
Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim (3/558, 4/559, 11/566, 12/567).

Fundusz Jordanowskich (7/562–8/563).
HURWIC Józef: *Sprostowanie* (12/567).
Komunikat Komisji Funduszu Stypendialnego im. Jana i Suzanne Brzękowskich (10/565).
Komunikat Komisji Fundacji Stypendialnej im. Stanisława Lama (9/564).
Kongres Kultury Polskiej na Obczyźnie. Londyn 1995 (7/562–8/563).
Konkurs Koła Naukowego Polonistów przy Instytucie Filologii Polskiej U.J. (1/556–2/557).
Nagroda im. Romerów (7/562–8/563).
Nagrody Polculu (9/564).
Oświadczenie Jerzego Z. Makowskiego (4/559).
POMIANOWSKI Jerzy: *Oświadczenie* (9/564).
Sprostowanie Redakcji „Kultury" (4/559, 12/567).
Stypendium im. Benedykta Heydenkorna (9/564).
Wpłaty na Fundusz „Kultury" (1/556-2/557, 3/558, 4/559, 5/560, 7/562-8/563, 9/564, 10/565, 11/566, 12/567).
Wpłaty na pomoc Polakom w Rosji (1/556-2/557, 3/558, 4/559, 5/560, 7/562-8/563, 9/564, 10/565, 11/566, 12/567).
Wschodnia Szkoła Letnia (Sekcja III na U.W.) (7/562–8/563).
Wyróżnienia Polcul Foundation (3/558).
ZUBRZYCKI Jerzy: *Oświadczenie* (7/562–8/563).

Wydawnictwa książkowe Biblioteki „Kultury" w roku 1994

Tom 483 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 107). Str. 240.
Tom 484 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 108). Str. 240.
Tom 485 — Wacław Iwaniuk — *Moje strony świata*. Str. 76.
Tom 486 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 109). Str. 240.
Tom 487 — *Zeszyty Historyczne* (zeszyt 110). Str. 240.

●

Numery *Kultury* marcowy (3/558) i grudniowy (12/567) miały po stron 176, a wrześniowy (9/564) stron 192.

●

Dla orientacji Czytelników podajemy spis zawartości *Zeszytów Historycznych* wydanych w 1994 roku.

Zeszyt 107-my — A. Nowak: *Polityka wschodnia Józefa Piłsudskiego (1918-1921);* E. Nowak: *Z archiwum obozu pracy w Łambinowicach (1945-1946);* T. Mianowicz: *Między zbawieniem a polityką;* N. Kłosowska-Wohlman: *Wojna i druga młodość;* D. Mostwin: *Portret lekarza;* P. Mitzner: *Wspólne miejsce — Europa Wschodnia;* N.F. Bugaj: *„Specjalna teczka Stalina": Deportacje i reemigracja Polaków; Siedem listów Polaków spec-przesiedleńców w ZSSR;* J. Tischler: *Reakcje w Polsce na wiadomość o procesie i straceniu Imre Nagya;* M. Rudzki: *Korespondencja Adama Rudzkiego z min. Adamem Rapackim;* M.A. Balińska: *Korespondencja Ludwika Rajchmana;* M. A. Supruniuk: *Tajne publikacje;* J.R. Krzyżanowski: *Pamiętnik zdrady;* J. Lewandowski: *Polacy i Finowie w 1944 r.*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Zeszyt 108-my — B. W. Oppenheim: *Społeczna rola Kościoła katolickiego w Polsce. Rozmowy i wypowiedzi;* J. Łaptos, G. Mazur: *Stosunki państwo-Kościół w pierwszej połowie lat 50-tych w świetle raportów dyplomatów francuskich i belgijskich;* T. Wyrwa: *Oświata i propaganda rządu polskiego na emigracji podczas 2-ej wojny światowej;* M. Rolicka: *Polacy a tajemniczy problem epidemii w czasie wojny koreańskiej;* P. Wandycz: *O stosunkach polsko-czechosłowackich: garść refleksji;* A. Friszke, J. Poksiński: *Pomiędzy Londynem a Warszawą. Rozmowa z Marianem Utnikiem;* D. Mostwin: *Notatki z amerykańskiej prowincji (grudzień 1981 — styczeń 1982);* A. Bogusławski: *Przez Finlandię do Narviku — rok 1940;* W. Żaba: *Moje wspomnienia z okresu wojny i okupacji;* H. Martinowa: *Dokumenty KGB;* T. Wyrwa: *Studia nad historią wojskowości krajowej i emigracyjnej;* E. Halicz: *Kwestia narodowa w Europie Wschodniej;* St. Lewandowska: *Audiatur et altera pars;* OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Zeszyt 109-ty — T. Wyrwa: *Powstańcza „Burza" i jej skutki;* H. Świderska: *Angielskie usiłowania „zjednoczenia wszystkich Polaków" na tle Powstania Warszawskiego;* A. Kobos: *Kanały w Powstaniu Warszawskim;* J. Rossman: *W kanałach;* M. Podhorska: *Co wiesz o Powstaniu Warszawskim?;* S. Likiernik: *Powstanie Warszawskie. Kedyw „Kolegium A" na Okręg Warszawski — Grupa A: Stanisława Sosabowskiego;* Gen. K. Sosnkowski: *Do żołnierzy Armii Krajowej — Rozkaz nr 19;* Gen. L. Rayski: *Raport o sytuacji i pomocy dla powstania w Warszawie przedstawiony gen. Andersowi...;* W. Bartoszewski: Słowo powstańczej Warszawy: organizacja i znaczenie środków masowego przekazu; J. Wojtowicz: *Relacja Jana Wojtowicza, pseudonim „Wojtek"; Związek*

Sowiecki a Powstanie; Z. Jasiński: *Pieśń o Powstaniu* (wiersz); J. Giedroyc: *Ze wspomnień nienapisanych;* A. Friszke: *Polscy historycy o Powstaniu Warszawskim.*

Zeszyt 110-ty — E. Pałasz-Rutkowska - A. T. Romer: *Współpraca polsko-japońska w czasie II wojny światowej;* J. Łaptos, G. Mazur: *Kampania wrześniowa w świetle raportów belgijskiego attaché wojskowego w Berlinie;* E. Kossoy: *Gęsiówka (KZ Warschau);* A. Grzywacz, G. Mazur: *Ruch prometejski w Polsce;* B. Skaradziński: *„Telefony" Lenin-Piłsudski;* T. Mianowicz: *Archiwa, media, postkomunizm (Uwagi historyka);* S. S. Nicieja: *Pośmiertne życie polskiego Lwowa;* A. Essen: *Rozmowa Benesz-Beck (3 lutego 1933 w Genewie);* T. Wyrwa: *Zeszyty Historyczne WiN-u;* J. Łaptos: *Przyczynek do biografii A. Mühlsteina; Jerzy Stempowski o Żydach;* H. Świderska: *1944: Jak zdobyć „brytyjskie informacje" z Polski;* J. R. Krzyżanowski: *To nie sztuka zrobić KUK-a;* M. Kruszewska: *Panna Maria, Teksas czyli Polacy na uranie;* Z.S. Siemaszko: *Rosyjski wiersz o wyjeździe armii gen. Andersa;* J. Kowalewski: *Lista profesora — komendanta Akapjana.* WOLNA TRYBUNA. LISTY DO REDAKCJI.

SPROSTOWANIE

Z niezrozumiałych dla nas powodów w *Indeksie autorów i tematów „Kultury" za r. 1993* zabrakło dwóch artykułów Zbigniewa P. Zagórskiego, a mianowicie: „Dziedzictwo Czarnobyla" (nr 4/547), „Upadek Imperium a stan jego nauki i techniki", cz. I (nr 5/548) oraz cz. II (nr 6/549).

Za te niedopatrzenia serdecznie przepraszamy Autora.

Redakcja KULTURY

BIBLIOTEKA BIN NARODOWY

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 4e trimestre 1994.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1994		
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv, tel. i FAX: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$ can. 13,00	$ can. 75,00	$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 80328 München. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury» lub na konto pocztowe jak poniżej	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 594-2386	$ US 11,00	$ US 60,00	$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06)77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*) lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 485 — WACŁAW IWANIUK

MOJE STRONY ŚWIATA

Poezje

Str. 76 Cena F. 20,00

•

TOM 487 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO DZIESIĄTY

zawiera opracowania: E. Pałasz-Rutkowska - A. T. Romer: *Współpraca polsko-japońska w czasie II wojny światowej*; J. Łaptos, G. Mazur: *Kampania wrześniowa w świetle raportów belgijskiego attaché wojskowego w Berlinie*; E. Kossoy: *Gęsiówka (KZ Warschau);* A. Grzywacz, G. Mazur: *Ruch prometejski w Polsce;* B. Skaradziński: *„Telefony" Lenin-Piłsudski;* T. Mianowicz: *Archiwa, media, postkomunizm (Uwagi historyka);* S. S. Nicieja: *Pośmiertne życie polskiego Lwowa*; A. Essen: *Rozmowa Benesz-Beck (3 lutego 1933 w Genewie);* T. Wyrwa: *Zeszyty Historyczne WiN-u;* J. Łaptos: *Przyczynek do biografii A. Mühlsteina; Jerzy Stempowski o Żydach*; H. Świderska: *1944: Jak zdobyć „brytyjskie informacje" z Polski;* J. R. Krzyżanowski: *To nie sztuka zrobić KUK-a*; M. Kruszewska: *Panna Maria, Teksas czyli Polacy na uranie*; Z.S. Siemaszko: *Rosyjski wiersz o wyjeździe armii gen. Andersa;* J. Kowalewski: *Lista profesora — komendanta Akapjana.* WOLNA TRYBUNA. LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 90,00.

Cena 55 F

I.N. 93400 St-Ouen – 3507-1994